



Belva Plain

Spisek starszej pani

Tytuł oryginału HOMECOMING



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na biurku Anety zawsze zalegało sporo poczty listy, które nadeszły, i te, które przygotowała do wysłania. Pisały do niej towarzystwa dobroczynne, prosząc wsparcie; zwracali się politycy różnego kalibru, reprezentujący władze państwowe, stanowe czy miejskie. Przychodziły też rachunki, no i kartki od przyjaciół z całego świata. Nieraz miała wrażenie, że wszyscy koniecznie chcą nawiązać z nią kontakt i oczywiście oczekują od niej odpowiedzi.

Chwyła za pióro, aby skończyć ostatni już list. Mimo że litery przechylała do tyłu, pismo miała wyraźne. Po obu stronach kartki zostawiała szerokie marginesy. Używała papieru gładkiego jak świeżo uprasowane prześcieradło, a granatowy monogram, choć ozdobny, wolny był od przesadnych zakrętasów. Całość, łącznie z odwrotną stroną koperty, robiła bardzo estetyczne wrażenie. W miejscu, gdzie figuruje nadawca, wytłoczono jej nazwisko, a pod nim adres. Podpisywała się imieniem męża: Lewisowa M. Byrne.

Choć w obecnej dobie coraz popularniejsze staje się przekazywanie wiadomości drogą elektroniczną, Anecie nic nie dawało takiej satysfakcji jak dobrze napisany list: lubiła je zarówno pisać, jak i dostawać.

Ostatnio, aby uniknąć określenia, czy adresatka jest panną, czy panią, zaczęto się posługiwać skrótem literowym „P”, Aneta jednak zdecydowanie preferowała formę „pani”.

Zakleiła kopertę i położyła ją na wierzchu równo ułożonej sterty błękitnobiałych listów.

- Gotowe - westchnęła. - Mam to już za sobą.

Wstała i przeciągnęła się, by rozprostować kości. Choć miała już osiemdziesiąt pięć lat, zdaniem lekarzy była fizycznie o jakie dziesięć lat młodsza, niż wskazywał jej wiek. Niemniej zawsze po dłuższym siedzeniu mogła się spodziewać, że jej zeszywnieją nogi. „Właściwie wszystkiego już się teraz mogę spodziewać” - pomyślała, śmiejąc się z siebie, co wciąż jej przychodziło z łatwością.

Starzy niezmiennie młodych śmieszą. Pamiętała, jak kiedyś, gdy nie miała jeszcze dziesięciu lat, matka zabrała ją na wizytę do pewnej staruszki, mieszkającej za miastem. Jak większość minionych zdarzeń i to wydawało się Anecie czymś, co miało miejsce niedawno, nie dalej niż wczoraj.

- To bardzo wiekowa dama - wyjaśniła mama. - Ma chyba z dziewięćdziesiąt lat. Była zamężna i dzieciata jeszcze za czasów prezydentury Lincolna.

Nic to Anecie nie mówiło.

- Siostrzeniec zabrał mnie na przejażdżkę swoim wozem - opowiadała im starowina - i proszę sobie wyobrazić, że całą podróż odbyliśmy bez konia... Nie do wiary... bez konia - powtórzyła.

Anecie to spostrzeżenie staruszki wydało się wtedy nadzwyczaj śmieszne.

- A teraz - powiedziała na głos - i na mnie przysła kryska. Lecz w głębi ducha nie czuję się inaczej niż wówczas, gdy miałam dwadzieścia lat... - Znowu się zaśmiała. - Tyle tylko że wygląd **już** nie ten sam...

Spojrzała na swój portret wiszący na ścianie między oknami. Oprawiony w złoczone ramy, przedstawiał trzydziestoletnią blondynę w sukni z czerwonego aksamitu. Lewis chciał, żeby obraz znalazł się w bardziej eksponowanym miejscu, może w salonie, a nie w bibliotece, gdzie mało

kto go oglądał. Aneta nie zgodziła się na przeniesienie. Uważała, że portrety są czymś intymnym i nie powinny być wystawiane na widok publiczny.

Na przeciwległej ścianie, dokładnie naprzeciw, w oprawie dobranej złoceniami do ram jej portretu, wisiała podobizna Lewisa. Na jego twarzy malował się taki sam wyraz, jaki mu zawsze towarzyszył za życia: ożywiony, przyjacielski i jakby trochę zaciekawiony. Nieraz, gdy była sama w pokoju, rozmawiała ze zmarłym mężem.

- Wiesz co, Lewisie? - mówiła. - Uśmiełbyś się, widząc, co mi się dzisiaj przydarzyło. - Zależnie od okoliczności zastępowała słowa „uśmiełbyś się” innymi, na przykład „zmarłbyś się” lub „zezłocił”. - No i co o tym sądzisz? Zgadzasz się ze mną? - pytała.

Lewis nie żył od dziesięciu lat, lecz nadal był w tym domu obecny. Właśnie dlatego, a w każdym razie głównie z tego powodu Aneta nie chciała się stąd wyprowadzić.

Dawniej ich dom tętnił życiem, rozbrzmiewał głosami dzieci i przyjaciół, dźwięczał muzyką, ale i teraz wiele się tutaj działo. W zaadaptowanej stodole odbywały się harcerskie zbiórki, organizowano lekcje przyrody.

W odległych czasach była tu zwykła rolna farma, potem ktoś zrobił z niej ziemiańską siedzibę, jedną ze skromniejszych na tym dość sporym terenie, oddalonym od Nowego Jorku tylko o dwie lub trzy godziny jazdy samochodem. Państwo Byrne nabyli posiadłość w okresie, gdy pozwoliła im na to wzrastająca zamożność. Po śmierci Anety tę cenną własność - obejmującą pola, wzgórze, staw i łąki - miało przejść miasto z zastrzeżeniem, że posiadłość na zawsze zachowa charakter parku krajobrazowego. Był to jeszcze pomysł Lewisa. Za życia tak bardzo troszczył się o stan roślin i drzew, że w jednym skrzydle zbudował szklarnię. Przez wszystkie wspólnie przeżyte lata choinki na Boże Narodzenie były żywymi drzewkami z ich własnej hodowli. Wystarczyło skierować wzrok w dal poza linię łąk, by zobaczyć spory lasek dobrze rozwiniętych, pięćdziesięcioletnich już szkockich sosen i świerków.

Dom stał się dla samotnej teraz Anety za duży, ale go kochała. Szczególnie lubiła pokój biblioteczny. Wydawał jej się taki... jak by to nazwać? Przytulny? Nie! Nie uważała, że jest to odpowiednie słowo. Przytulność kojarzyła jej się z wielką liczbą perskich dywanów, kwiatów doniczkowych i poduszek. Tu zaś ściany zapełniały jedynie regały z książkami. Obok powieści i biografii znajdowały się na półkach tomiki poezji i dzieła historyczne. Cały pokój utrzymany był w tonacji niebieskiej, ograniczonej do spokojnych odcieni błękitu. Odbijał od nich tylko ciemnoczerwony amarylek, który stał na biurku w ceramicznej doniczce i właśnie teraz, zimą, pięknie zakwitł.

W kącie pokoju umieszczono podwójne łóżeczko dla psów - pary spanieli „King Charles”. Byrne'owie zawsze trzymali spaniele. Oprócz nich był tu jeszcze ukochany kundel Anety: duży, trochę niezdarny brzydal, który wabił się Roscoe i miał smutne oczy. Spał na własnej, oddzielnej macie. Aneta znalazła go kiedyś opuszczonego i głodnego na karaibskiej plaży i przygarnęła. Okazywał jej niesłychane przywiązanie. Nieraz się zastanawiała, czy ten pies po wielu latach, które przeżył w komforcie, pamięta jeszcze czasy, gdy cierpiał biedę. Często myślała o zwierzętach... Szczerze mówiąc, zastanawiała się nad wszystkim, co ją otaczało. Teraz jednak uświadomiła sobie, że powinna się już zająć stosem listów do wysłania, jeśli chce, żeby dziś jeszcze znalazły się na poczcie.

Ranek zapowiadał się przyjemnie: jeden z tych spokojnych, chłodnych zimowych poranków, gdy nie ma wiatru. Spojrzała na staw; gładka i nieruchoma tafla wody lśniła niczym nierdzewna stal. Jeśli mróz się utrzyma, wkrótce staw zamarznie. Aneta włożyła ciepły żakiet i zesłała w dół aleją dojazdową, na której końcu znajdowała się skrzynka pocztowa. Psy pobiegły za nią.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Ależ, tato! Nie mówiłam, że nie pojedę... Powiedziałam tylko, że nie mam na to zbyt wielkiej ochoty.

- Rozumiem. Bolejmy nad tobą, Cyntio. Sama nie wiesz, jak bardzo.

Chociaż dzieliło ich mnóstwo kilometrów, wyraźnie usłyszała w słuchawce, że westchnął. Oczami wyobraźni widziała ojca siedzącego w swoim ulubionym fotelu wysoko nad Potomakiem, ze słuchawką telefoniczną w ręce i wpatrzonego w pomnik Jeffersona.

Nie miała wątpliwości, że rodzice dzielą jej ból, ale wiedziała też, że współczują jej tak, jak się współczuje ofiarom bombardowań czy komuś, komu amputowano nogę, to znaczy nie mając najmniejszego pojęcia o katuszach, jakie tamci przeżywali.

Położyła na kolanach list od babci, napisany na papierze z dobrze jej znanej papeterii. Na takim papierze babcia przysyłała jej zawsze wszystkie okolicznościowe życzenia; takie liściki niezmiennie dołączała do urodzinowych prezentów. Cyntia otrzymywała je od lat, od chwili, gdy nauczyła się czytać.

„ Przyjedź w sobotę, o której Ci wygodnie - pisała babcia - i spędź ze mną cały dzień. Zjemy razem kolację i zostaniesz na noc. Możesz być u mnie, jak długo tylko zechcesz, jeśli oczywiście nie masz nic lepszego do roboty”.

Cyntia kochała babcię za jej słodycz, humor i staroświeckie dziwactwa, dziś jednak nie miała do nich cierpliwości. Konieczność spakowania torby podróżnej wydała jej się zbyt dużym wysiłkiem, a perspektywa spania w obcym łóżku czymś wręcz przerażającym.

- Poproś do telefonu mamę! - rzuciła w słuchawkę.

- Nie ma jej. Poszła na jedno ze swoich dobroczynnych spotkań. Twoja mama, mimo że jest urodzoną i zatwardziałą nowojorczańką, opuściła to miasto bez większego bólu. Mnie przyszło to znacznie trudniej, chociaż pracuję dla rządu, a działać w instytucji rządowej to jednak coś zupełnie innego niż obracać się w świecie biznesu, możesz mi wierzyć...

Domyśliła się, że na siłę podtrzyma rozmowę. Nie chciał odłożyć słuchawki, bo zależało mu, żeby nie zerwać kontaktu, jaki udało mu się z nią nawiązać. Pragnął usłyszeć odpowiedź na pytania, których dotąd nie ośmielił się zadać, lecz teraz się odważył:

- Wybacz, że poruszam ten temat, ale czy miałś jakieś wiadomości od Andrew?

- Nie! - odparła z goryczą w głosie. - Nie miałam z nim kontaktu od czasu, gdy niepotrzebnie starał się mnie przeprosić. To było ponad miesiąc temu, zanim mi przyznano zastrzeżony numer telefonu. Najwyraźniej Andrew nie ma jeszcze adwokata. Natomiast mój adwokat twierdzi, że nie możemy dłużej odkładać wystąpienia o rozwód.

- Czemuż, u diabła, Andrew gra na zwłokę? - spytał, a gdy nie odpowiedziała, dodał: - Podlec z niego... i po-myśleć, że go zawsze lubiłem...

- Wiem. Andrew dawał się lubić. Tym bardziej jest mi teraz przykro.

- Ciekaw jestem, czy nadal odwiedzasz tego doktora.

- Chodzi ci o psychiatrę? Zrezygnowałam z niego. W ubiegłym tygodniu zdecydowałam się zaprzestać wizyt. Doszłam do wniosku, że wystarczy, gdy będę się udzielała społecznie. Przygotowuję posiłki dla bezdomnych i ta pra-ca pomaga mi w równym stopniu co terapia pana doktora,

kto wie, czy nie bardziej...

- Masz rację. Jestem o tym przekonany.

Jej ojciec zawsze myślał takimi kategoriami. Był wzorowym przykładem człowieka wierzącego w etos pracy.

Nie uznawał litowania się nad sobą, słabości i nieudacz-nictwa. Szczególnie bolał nad nieudanymi małżeństwami. W rodzinie Byrne'ów takie się nie zdarzały... Choć delikatność nie pozwoliła mu powiedzieć tego na głos, Cyntia i tak wiedziała, co ojciec ma na myśli.

- Nie zdajesz sobie sprawy, ale wizyta u babci naprawdę dobrze ci zrobi, Cindy - zapewniał córkę. - Tak jak za dawnych czasów najpierw pójdziemy z babcinymi psami na mały spacer dookoła stawu, a potem do wsi i z powrotem. I mnie, i mamie bardzo zależy na tym, żebyś pojechała. Nie odmówisz nam, prawda?

- Ale co to za okazja? Przecież babcia nie ma teraz urodzin?

- Nie! Ona po prostu za nami tęskni. To wszystko... Jeśli możesz, zawieź jej pudło czekoladowych makaroników. To jej ulubione. Mimo że babcia nie obchodzi teraz urodzin, mama kupiła jej jedwabny szal. My się tam wybieramy pociągiem w piątek rano. A ty najlepiej zrobisz, wynajmując samochód. Jaka szkoda, że się zgodziłaś, by Andrew zatrzymał sobie waszego jaguara.

- Niech go sobie trzyma. Komu potrzebny w Nowym Jorku samochód? A zresztą jaguar był jego, kupił go za własne pieniądze.

- Niech ci będzie... Już dobrze. A więc zobaczymy się w najbliższy piątek u babci.

Zrozumiała, że nie ma sensu się spierać. Łatwiej było zgodzić się z rodzicami i pojechać.

Jakiś czas siedziała w bezruchu, z rękami bezwładnie spoczywającymi na podolku. Na czwartym palcu lewej ręki widać było wąską białą otoczkę, wyraźny ślad po obrączce. Podobny znak można było dostrzec na jej prawej dłoni, w miejscu, gdzie kiedyś błyszczał zaręczynowy pierścionek z brylantem; to dziwne, ale mimo iż minęły już cztery miesiące, ślady na palcach nie ściemniały. Nie miała dość energii, by wstać. Siedziała, wpatrując się w swoje dłonie.

- Powinno by się je sfotografować - mawiał Andrew -a nawet wyrzeźbić. Masz klasycznie piękne ręce.

W jego oczach była piękna, ale dobrze wiedziała, że tak nie jest. A już na pewno nie można było uznać jej urody za klasyczną. Owszem,

miała dobrą figurę, smukłą sylwetkę, bujne, ciemne włosy i świeżą, gładką cerę. Dbała o wygląd i staranny ubiór. Pracowała w redakcji pisma o modzie i doskonale wiedziała, jak podkreślić to, co w niej jest najładniejsze.

- Zrobiłaś na mnie wielkie wrażenie - powiedział jej pierwszego wieczoru, gdy się poznali. - Bez większej ochoty wybrałem się na jeszcze jeden nudny koktajl. Poszedłem z musu, bo to należało do moich obowiązków. I nagle ujrzałem ciebie. Byłaś pierwszą osobą, jaką zobaczyłem, wchodząc na salę. Zatrzymałem się i chwilę ci się przyglądałem. Stałaś pośrodku tłoczącej się, rozgadanej i przesadnie wystrojonej gromady - wysoka, spokojna, w ślicznej granatowej sukni... Pamiętasz?

Tak, pamiętała każdy najdrobniejszy szczegół. Lubiła nosić rzeczy w granatowym kolorze. Podczas gdy wyrafinowane nowojorskie damy ubierały się na czarno, Cyntia, by zaznaczyć odmienność, lecz jednak za bardzo się nie odróżniać, wybrała granat.

- Oczy ci się skrzyły - Andrew z upodobaniem po raz któryś z rzędu opisywał tę scenę. - Minę miałaś taką, jaką zawsze przybierasz, gdy coś cię śmieszy, a jesteś zbyt uprzejma, by dać to po sobie poznać. Nie chcę powiedzieć, że byłaś pełna pychy i chęci wywyższenia się, bo nie należysz do tych, co lubią się nad innych wynosić. Na twojej twarzy zauważyłem tylko lekkie zaciekawienie, jakbyś się zastanawiała, w czym ci ludzie ze sobą współzawodniczą i skąd to nerwowe napięcie.

Wspomniał „zaciekawienie”, które uważała za cechę typową dla babci Byrne.

- Uwielbiam twoją postawę, pięknie się nosisz - chwalił Cyntię mąż. - Witając się z ludźmi, nie wykrzykujesz słów pełnych sztucznego entuzjazmu, jak to czynią inni. Lubię, gdy siedzisz z dłońią w mojej dłoni i milczysz, póki nie przebrzmi ostatni ton muzyki.

Andrew miał wspaniałą twarz, wydatny nos i delikatną, oliwkową cerę, kontrastującą z jasnymi oczami. Były zielone, zamyślane, obrzeżone ciemnymi rzęsami. Wspominanie Andrew sprawiało jej ból nie do

zniesienia. Nastąpiła jakaś metamorfoza: to, co kiedyś napawało ją słodyczą, teraz przepajało goryczą, żółcią i złością.

Wstała i podeszła do okna. Tego popołudnia Nowy Jork przy całym swoim przepychu przypominał gmatwaninę wień i iglic, przerażającą kamienną pustynię pod ponurym niebem nasiąkniętym deszczem. Jeśli deszcz nie zamieni się w ulewę, Cyntia postanowiła wyjść na dwór i maszerować kilometrami aż do całkowitego wyczerpania.

- Co mam robić? - zadawała sobie na głos pytanie. -Staję się nieznośna dla siebie samej, ale nie wolno mi dopuścić do tego, żebym zachowywała się wobec innych ludzi w sposób trudny do wytrzymania.

Odwróciła się i rozejrzała po pokoju, jakby na tym pobojuwisku swego zrujnowanego życia mogła znaleźć wyjaśnienie tego, co się wydarzyło, jakiś drogowskaz lub wskazówkę. Spojrzała na komody z cennego owocowego drewna, na perskie dywany i na obrazy ze słynnej szkoły malarstwa pejzażowego Hudson River School, przedstawiające łagodne pagórki i śnieżne pola. Wszystkie te przedmioty, świadczące o dobrym guście ich właścicieli i będące jak najbardziej na miejscu w domu bogacącego się młodego bankiera, nie potrafiły dać żadnego wytłumaczenia, dlaczego ten dom spotkało nieszczęście. Absolutnie żadnego...

Przeszła przez hol tak długi, że, by dojść do końca, trzeba było zrobić trzydzieści jeden kroków, a może nawet więcej, jeśli się zacznie od drugiej strony salonu. Gdyby zaczęła przemierzać go nad ranem, z łatwością przeszłaby do wieczoru milę i przy pewnej dozie szczęścia poczułaby ogarniającą ją senność.

Za sypialnią, gdzie teraz w okazałym, zielonym jak mech łóżku spała sama, było dwoje zamkniętych drzwi. Zamówionej sprzątacze, mającej zrobić w obu pokojach porządek, nakazano, aby po skończonej pracy pamiętała zamknąć drzwi na klucz. Nieoczekiwanie Cyntia poczuła chęć otwarcia ich i zajrzenia do środka. Z wyjątkiem kolorów: jeden był różowy, a drugi niebieski, pokoje niczym się nie różniły. W każdym

stała kołyska, bujany fotel dla dorosłej osoby, komoda na zabawki, a na półce wzdłuż ścian paradowały ustawione rzędem wypchane zwierzątka. Zapuszczone okienne zasłony sprawiały, że światło było tu przyćmiewione, i atmosfera tchnęła spokojem i żalobą, jak w pokojach, gdzie leżą umarli... co poniekąd odpowiadało prawdzie.

Czy dobrze pamiętała, co zaszło? Tak, pamiętała wszystko, od początku do końca.

- Urodzi pani bliźniaki - zapowiedział doktor, radośnie się uśmiechając. Ludzie zawsze się uśmiechają, kiedy mowa o bliźniakach, jakby ich posiadanie było czymś sympatycznie komicznym, niczym żartobliwy wybryk natury. „Może to rzeczywiście żart” - pomyślała, wracając do domu, i wesoło zachichotała.

Dzień był jesienny, rześki. Szła różnym krokiem, gdy w czystym powietrzu poczuła coś, co przypominało zapach dymu. „Może mi się tylko wydaje - perswadowała sobie - bo skąd by się ten zapach mógł wziąć? Na pewno tu po wschodniej stronie Manhattanu nikt nie pali w ogrodzie liści”. W oknie wystawowym kwiaciarni zobaczyła małe białe chryzantemki. Weszła i kupiła bukietik miniaterek. W piekarni przyszła jej ochota na czekoladowe ciasteczka i nabyła całe ich pudło. To była chyba już ostatnia tego rodzaju zachcianka przed przyjściem na świat bliźniaków.

W domu przybrała stół kwiatami, rozłożyła na obrusie ślubne srebra, zapaliła świece, naląła do kieliszków wino i czekała na Andrew. Zwykle do późna pracowała w redakcji, więc nieczęsto się zdarzało, by witała go przy kolacji w tak uroczysty i wystawny sposób.

Andrew był zachwycony wiadomością o bliźniętach.

- Cóż za wspaniała nowina! - zawołał. - Teraz rozumiem, dlaczego stajesz się podobna do małego słonia. I pomyśleć, że kiedyśmy się pobierali, obejmowałem cię w talii połączonymi palcami obu dłoni.

Całował ją w usta, po szyi i rękach, mówił, jak bardzo czuje się szczęśliwy i jakie to wielkie dla nich błogosławieństwo. Po chwili zabrał się energicznie do ustalania nowych zasad postępowania:

- Uważam, że odtąd powinnaś codziennie jechać do pracy i wracać do domu taksówką. To absolutnie konieczne... Nadchodzi zima, na ulicach będzie ślisko, wystarczy najmniejsze przypróśnienie śniegiem i już...

- Widzę, że chcesz mną rozporządzać - broniła się na niby.

Ale Andrew nie żartował.

- Tak, podejmuję pewne kroki i nadal będę to czynił, bo ty za bardzo lubisz ryzykować. Nie zdziwiłbym się, gdybyś jutro powiedziała, że chcesz pojeździć na nartach...

- Lubię, jak się chmurzysz. Tak poważnie wtedy wyglądasz - mówiąc to, głaśkała go po czole i rozprostowywała dwie prostopadłe linie, jakie mu się utworzyły między oczami. - Podobają mi się twoje ładne, równe brwi i uwielbiam patrzeć, jak ci włosy opadają na czoło, zawsze na lewą stronę. Ciekawe dłaczego... I lubię...

- Ach, ty niemądre stworzenie! - przerwał jej wynurzenia. - Przecież mogłaś sobie znaleźć naprawdę przystojnego faceta, gdybyś tylko trochę dłużej szukała.

Ale w głowie już mu się wykluyały nowe pomysły: najmądrzej byłoby teraz zacząć się rozglądać za większym mieszkaniem. W tym małym pokoju dwie kołyski na pewno się nie zmieszczą.

Łóżeczka, koce, podwójny wózek dla bliźniaków, jeszcze jedna kompletna wyprawka, ewentualnie drugi rozkładany fotelik do karmienia, no i podwójna spacerówka -zakupienie tych i jeszcze mnóstwa innych rzeczy stało się dla obu dziadków i babć dobrą wymówką, by po latach znowu móc odwiedzać sklepy z niemowlęcą odzieżą i wyposażeniem dzieciennych pokoi.

Cyntia nie przestawała dziękować losowi za to, że tak szczęśliwie jej się układało życie. Mimo iż nigdy niczego jej nie brakowało, bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, jak czują się ci, którzy tego wszystkiego nie mają. Kiedy wyjeżdżała do ekskluzywnej szkoły wyższej, szcycącej

się patronatem Ivy League*¹, przede wszystkim cieszyła się, że przebrnęła przez egzamin wstępny. Drugim powodem do radości był fakt, że może uczęszczać do tej szkoły bez żadnych finansowych trudności, które dla wielu studentów stanowiły niełatwą do przebycia barierę. Gdy na wakacje przyjeżdżała do domu, za każdym razem odczuwała zadowolenie, widząc, jak pięknie i wygodnie żyje się tutaj jej rodzinie. Nikt z jej najbliższych nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, gdy postanowiła wyjść za Andrew. Ze strony jego rodziców też nie było najmniejszych przeszkód. Pochodzili z tej samej sfery. Obie familie z satysfakcją zapobiegły powziętą przez młodych decyzję i gotowe były we wszystkim im pomagać. Andrew i Cyntia w bardzo krótkim czasie się pobrali i byli tak pewni tego, iż dokonali właściwego wyboru, że nie czuli najmniejszej potrzeby, aby się sprawdzić, żyjąc ze sobą najpierw na próbę.

Ceremonia ślubna odbyła się zgodnie z tradycją w wielkim starym gotyckim kościele, przy dźwiękach fanfar odegranych solo na trąbce. Cyntia wystąpiła w koronkach po matce, z wiązanką białych róż.

Równie gładko jak zawarcie małżeństwa młodzi zaplanowali narodziny swoich bliźniaków.

Wiosną lekarz zdradził Cyntii jeszcze jedną ważną nowinę:

- Będiesz miała parkę, chłopczyka i dziewczynkę. -Doktor był starszym panem i powiedział to, mrużąc oko, co w jego wieku było wybaczone. - Dobrzeście to sobie zaplanowali - dodał. - Tak trzeba!

Cyntia była w siódmym niebie.

- Nie mogę uwierzyć... Czy to pewne, doktorze?

- Jeśli mogę być czegokolwiek pewny, to właśnie tego... Teraz nie mieli już wątpliwości, że potrzebne będą dwie

oddzielne sypialnie. Przecież na dłuższą metę nie da się chłopca i dziewczynki trzymać razem.

¹ * Ivy League - sportowa organizacja skupiająca osiem północno-wschodnich amerykańskich uniwersytetów, m.in. Harvard i Princeton (przyp. tłum.).

Któregoś popołudnia, gdy na dworze zrobiło się już cieplej, Cytia, idąc spacerkiem do domu, snuła marzenia o tym, jak urządzi pokoje bliźniąt. W pokoju synka będzie wystrój kowbojski, a u córeczki wnętrze jak u baleriny... Nie, to byłoby zbyt banalne... Jeśli chodzi o imiona, przez chwilę myślała, żeby obojgu dać imię zaczynające się na tę samą literę: na przykład Janice i Jim. Nie, to z kolei byłoby staromodne... Może dziewczynkę nazwać Margaret albo po prostu Daisy? Niechby miała imię po mamie... A może Aneta, po babci... Znalezienie imienia dla chłopca pozostawiała Andrew. Tyle było uroczych problemów do rozstrzygnięcia!

Tym razem, gdy Andrew przyszedł do domu, powitał go bukiet szkarłatnych tulipanów i wino chłodzące się w wiaderku z lodem.

- Potrzebne nam będzie spore mieszkanie - powiedział. - I nie możemy zapominać o pokoju dla niani.

Cytia zamierzała wrócić do pracy, więc pomoc niani wydawała się niezbędna. Jednak oboje z Andrew zdecydowali, że weekendy będą spędzać wyłącznie z dziećmi.

Najbliższe miesiące poświęcili na znalezienie nowego mieszkania. W końcu wybrali apartament na jednym z wyższych pięter niedawno wzniesionego luksusowego domu, uchodzącego za szczytowe osiągnięcie wiedzy architektonicznej. „Czy to nie za duży luksus na nasze możliwości?” - zastanawiała się Cytia. Andrew nie miał tego rodzaju wątpliwości.

- Nie jest to znowu nic aż tak nadzwyczajnego - zapewniał żonę. - Oboje pracujemy, dobrze nam się powodzi i nawet gdybyś zrezygnowała z posady, będzie nas stać na ten wydatek. Zaoszczędzimy na czymś innym. Takie mieszkanie stanowi dobrą inwestycję. Będziemy mieli solidny dom dla naszej czwórki, a może rodzina jeszcze się nam powiększy...

Zgodnie z przewidywaniami poród odbył się gładko. Timothy i Laura ważyli razem prawie pięć kilogramów. Przyszli na świat w pewien

wietrzny czerwcowy dzień, o wygodnej - jak to określiła Cyntia - porze, bo między czwartą trzydzieści a piątą po południu. Dzięki temu ojciec i dziadkowie bliźniaków - już teraz zwariowani na ich punkcie - mogli uczcić narodziny uroczystą kolacją. Dzieci nie były oczywiście identycznymi bliźniakami, ale łączyło je duże podobieństwo. Oczy miały po Andrew, a dołeczki na brodzie po Cyntii. Po niej też odziedziczyły niezwykłą u noworodków ciemną gęstą czuprynę.

Już następnego dnia po urodzeniu przeniesiono bliźniaki do ich własnych pięknych pokoi i oddano pod troskliwą opiekę niani, Marii Luz, Meksykanki, która u siebie w kraju wychowała troje zdrowych dzieci.

Przez pierwszych kilka dni w domu panowało przyjemne zamieszanie. Przyjaciele przychodzili, żeby zachwycać się maleństwami; pozostawiali po sobie góry bibulek i lśniących pudeł, których zawartość stanowiły niezliczone malutkie sweterki, haftowane pajacyki i sukienki. Nanieśli ich tyle, że można by nimi wyposażyć z pół tuzina niemowlaków. Z czasem jednak w domu nastał spokój, zaprowadzono porządek, codzienne obowiązki zamieniły się w rutynę tak dalece, że mogli się zdawać, iż Timothy i Laura mieszkali tu od zawsze.

Dzieci chowały się dobrze i nie stwarzały żadnych problemów, co potwierdzały nie tylko słowa Marii Luz, lecz także fachowe książki, które Cyntia trzymała na swoim nocnym stoliku. Maluchy prawie nie płakały, wkrótce przesypiały całą noc, na wadze przybywało im zgodnie z tabelą i we właściwym czasie zaczęły siadać. W niedzielne popołudnia w parku, wożone w podwójnym wózku, dzieci zwracały powszechną uwagę i ludzie często się za nimi oglądali. Cyntia, zdrowa i pełna wigoru, w nowych sukniach i z płaskim już brzuchem, czuła na sobie i swojej rodzinie łaskę Opatrzności.

- Nigdy bym nie przypuszczał - mówił Andrew - że tak zgłupieję na punkcie dzieci. Zawsze uważałem, że ludzie, którzy wyciągają z portfela zdjęcia swoich pociec, choć nikt ich o to nie prosi, to idioci. A teraz sam to robię...

Mijały miesiące. Pierwsze urodziny bliźniaków obchodzono z dużą pompą: urządzono im przyjęcie, obdarowano prezentami, pojawiły się

kolorowe papierowe kapelusze i torty, a wszystko to radośnie zarejestrowała kamera wideo. Stosunkowo wcześniej zrezygnowano z głębokiego wózka i dzieci jeździły na spacer w podwójnej spacerówce. Ani się obejrżeli, a Laura i Tim mieli już po półtora roku.

W głowie Cyntii zaczął kielkować nieśmiały pomysł, że może dwójka dzieci to za mało i należałoby już pomyśleć o trzecim. Dlaczegoż by nie? Właśnie otrzymała w pracy podwyżkę, nawet sporą, i wszystko doskonale się zapowiadało.

Tego popołudnia cieszyła się, że wraca do domu wcześniej niż zwykle. Dostała pół wolnego dnia, co jej się nieczęsto zdarzało. Na dworze wyczuwało się już pierwsze podmuchy zimy. Szła szybko, na nogi włożyła trampki i żwawo wymachiwała torbą. Oprócz zakupów miała w niej także eleganckie czółenka na wysokim obcasie, które nosiła w biurze. Myślała o tym, że przyjdzie do domu w samą porę, by wykąpać dzieci lub choćby jedno z nich, bo Maria może wykąpać drugie. Tim był bardzo żywym dzieckiem; zawsze musiała do kąpieli zakładać fartuch, inaczej zmokłaby do suchej nitki.

Uśmiechnęła się na wspomnienie o Timie i gdy wchodziła głównym wejściem do domu, wciąż miała uśmiech na twarzy. Zdziwiła się, że portier go nie odwzajemnił. Wyglądał niezwykle poważnie. Czyżby się na nią o coś pogniewał? Przez chwilę się nad tym zastanawiała, lecz zaraz porzuciła tę myśl i weszła do holu. W windzie sąsiadka z apartamentu po drugiej stronie korytarza szybko do niej podeszła. Ona też miała dziwny wyraz twarzy, tak dziwny, że Cyntia poczuła dreszcz przebiegający po plecach.

- Cindy... - zaczęła sąsiadka.

Cyntia już wiedziała, że stało się coś złego.

- Jedźmy na górę. Wszędzie cię szukano, ale...

- Co się stało? Powiedz, o co chodzi.

- To był wypadek. Ach, Cindy, kochanie, będziesz potrzebowała dużo...

Winda się zatrzymała, drzwi się otworzyły i Cyntię od razu uderzył ściszony gwar wielu głosów. W grupie stojących osób dostrzegła swoich rodziców, rodziców Andrew, jego brata, swoją przyjaciółkę Luizę i domowego lekarza, doktora Raymonda Marxa...

- Gdzie Andrew?! - wykrzyknęła i pobiegła w stronę mieszkania, roztrącając wszystkich po drodze.

Zastała go w pokoju, siedział na kanapie, pochylony, z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy usłyszał, że weszła, podniósł głowę; zobaczyła, że twarz ma zalaną łzami.

- Andy! - szepnęła.

- Cindy, kochanie! Zdarzył się straszny wypadek.

O Boże!...

Już wiedziała i w ustach poczuła jakby smak krwi.

- Dzieci?

Któs wziął ją za rękę i posadził obok Andrew. Dr Marx, mocno ścisnąc ją za ramiona, mruczał coś pod nosem.

- To był samochód... taksówka... za ostro wzięła zakręt i wpadła na krawężnik.

- A moje dzieci?

Znowu usłyszała ciche mruknięcie, którego treść boleśnie ją ugodziła.

- Co z moimi dziećmi?! - powtórzyła, krzycząc.

- Samochód uderzył w spacerówkę.

- Chyba nie w moje dzieci?

- Och, Cindy, Cindy...

To były ostatnie słowa, jakie do niej dotarły, zanim straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, leżała w łóżku. Zdziwiła się, zobaczywszy, że Andrew leżał w poprzek łóżka, w nogach, kompletnie ubrany. Wyciągnęła ku niemu ramię i rękaw jej nocnej koszuli opadł, co było normalne. Światło słoneczne padało na sufit i to też było najzupełniej normalne. A

jednak wszystko wydawało jej się inne, jakby zasnuwane mgłą. Na przemian przewalały się przez nią fale to wielkiego bólu, to znów niewiary. „Nie! - myślała. - To nie mogło się zdarzyć, to tylko jakiś obłądny sen, to nieprawda. Gdzie one są? Chcę zobaczyć swoje dzieci”...

Andrew klęczał przy łóżku i usiłował wziąć ją w ramiona, ale zachowała się jak szalona: odepchnęła go i pobiegła do drzwi. I tu omal nie zderzyła się z pielęgniarką, która właśnie wchodziła. Miała na sobie biały strój, a w ręku butelkę i kubek.

- Proszę zażyć lek na uspokojenie - powiedziała. - To pani pomoże.

- Kiedy ja wcale nie chcę się uspokoić... Chcę zobaczyć moje dzieci! Czy pani słyszy, co do pani mówię? Na miłość boską, czy pani mnie rozumie?! - krzyczała, prawie wyła. „Chyba oszalałam” - pomyślała. Sama nie mogła znieść głosu, który się z niej wydobywał.

- Musi pani to zażyć, proszę pani... i pan także. Trzeba, żeby się państwo uspokoiło i zasnęło. Nie zmrzyliście oka od wczorajszego rana.

- Cyntio, kochanie - prosiła matka - błagam cię, przyjmij lek i potem zaraz się połóż. Lekarz powiedział...

- Chcę je zobaczyć. One mnie potrzebują.

- Nie możesz ich zobaczyć, kochanie.

- Ale dlaczego?

- Ach, Cindy...

- Bo nie żyją? Nie mogę, dlatego że nie żyją?

- Ach, Cindy...

- Kto to zrobił? Dlaczego je zabił? O Boże, pozwól, żebym i jego zabiła... O Boże...

- Proszę cię, Cyntio, uspokój się. Pomyśl o Andrew. On ciebie potrzebuje. Jesteście sobie wzajemnie potrzebni...

Nie wiedziała, czy dali jej jeszcze jedną pigułkę, czy może zastrzyk. Wiedziała tylko, że światło słoneczne jakby nagle zgasło.

Gdy się obudziła, była noc i świeciły się lampy. Kilka osób rozmawiało przyciszonymi głosami. Była na tyle przytomna, że mogła zrozumieć, co mówią.

Świadkowie twierdzą - usłyszała - że taksówka jechała o wiele za szybko i zmiażdżyła spacerówkę w momencie, gdy ta właśnie mijała krawężnik. Bliźniaki zginęły na miejscu. Maria Luz została ranna. Zawieziono ją do szpitala, gdzie otrzymała jakieś środki uspokajające i przeciw-szokowe, a potem puszczono ją do domu. Teraz przebywa u krewnych. Dzieci mają być pochowane na wiejskim cmentarzu w rodzinnej kwaterze Byrne'ów.

W ten sposób Cyntia dowiedziała się całej prawdy. Zrozumiała, że to koniec, że jej piękne, beztrudne życie należy już do przeszłości.

Trzeciego dnia rano zbudził ją odgłos nerwowego przesuwania wieszaków w garderobie.

- Szukam czegoś, co Cyntia mogłaby włożyć na pogrzeb. Znosi się na to, że będzie zimno. - To był głos jej matki.

- Musisz jej się spytać. Ja nie wiem - odparł Andrew.

- Lekarz daje jej za dużo prochów, wciąż zapada w półsen.

- Tylko do pogrzebu. Potem nie będzie ich brała.

- Chyba masz rację... Dobrze, że już nie śpisz, Cyntio, kochanie. Szukam w twoich rzeczach, żeby znaleźć coś czarnego.

I mąż, i matka byli ubrani na czarno. Daisy w eleganckim czarnym kostiumie, a Andrew w garniturze i w krawacie, który kupił kiedyś na pogrzeb swego wuja. Cyntia uznała, że nie ma najmniejszego sensu troszczyć się teraz o to, co kto nosi. Jedynym odpowiednim dla niej strojem byłby dziś pokutny worek i popiół.

- Nigdy się nie ubieram na czarno - powiedziała.

- Wiem, kochanie, możesz śmiało włożyć granatową wełnianą suknię, na to ciepły płaszcz i będziesz zupełnie odpowiednio ubrana. Czy mam ci pomóc?

- Nie, mam! Poradzę sobie. Dziękuję!

- Więc was teraz zostawię. Ojciec załatwił samochód. Jest jeszcze czas na małą przekąskę, zanim wyruszymy.

- Nie jestem głodna.

- Musisz coś zjeść! Andrew, wpływ na nią, żeby się posiliła. I ty także coś przełknij.

- Nasi rodzice są wspaniali - powiedział, gdy jej matka wyszła. - Wszystkim się zajęli.

- Czy dzieci... czy Tim i Laura... czy my ich... - wymamrotała.

RS

- One już tam są... o Boże! Cindy!

Przez kilka długich minut trwali w uścisku, wzajemnie się podtrzymując. Zdawało im się, że gdyby stali osobno, musieliby upaść. Kiedy się wreszcie od siebie oderwali, Andrew wziął jej z tyłu sukienkę, a ona podała mu jeszcze jedną, zapasową chustkę do nosa. Razem wyszli z pokoju.

W limuzynie wszyscy milczeli. Na moment przerwano ciszę, gdy ojciec Cyntii instruował kierowcę, jak ma jechać. Andrew wziął żonę za rękę. Spłecione dłonie trzymali na siedzeniu między sobą. Cyntia tylko raz się odezwała:

- Powiedz, Andrew - spytała - czy to, co się dzieje, to prawda, czy jakiś koszmarny sen?

Zamiast odpowiedzi potrząsnął głową. Czuła, że się pogrąża w beznadziejnej pustce, w jakimś kompletnym oderwaniu od rzeczywistości, a to było dla niej równie przerażające jak świat realny. Ten zaś ukazywał jej się jedynie w ulotnych przeblaskach. Bała się, że jest bliska utraty zmysłów.

Realne było natomiast wspomnienie innego zdarzenia, w innej, długiej limuzynie, nie ponurej i czarnej jak ta, ale białej, przybranej girlandami, którą jeden z jej przyjaciół zaopatrzył w wielki napis: „świeżo poślubieni”. Cyntia była w bładozielonej lnianej sukni i tak jak teraz siedziała obok Andrew na tylnym siedzeniu; trzymali się za ręce.

Drugim, równie realnym wspomnieniem był ich powrót do domu ze szpitala położniczego, kiedy każde z nich tuliło w ramionach jedno zapakowane w becik dziecko.

Energicznie mrugała powiekami, chcąc spędzić te obrazy z oczu. Wiedziała, że nie uchodzi w tym momencie wspominać radosnych scen z przeszłości. Nie teraz, gdy jechali tam, dokąd jechali...

- Jesteśmy już na miejscu - zaanonsował w pewnej chwili jej ojciec.

Samochód skręcił, minął pole parkingowe zastawione po brzegi autami i zatrzymał się przy alejce zatłoczonej ludźmi. Cyntia pragnęła uciec, ukryć się przed współczującymi oczami i cicho wypowiedzanymi słowami kondolencji. Zrozumiała jednak, że to przecież bardzo uprzej-

me ze strony tych wszystkich osób, iż zechciały tu przyjść. Zrozumiała też, czego się po niej spodziewają: powinna teraz wziąć Andrew pod rękę i razem z nim udać się do miejsca, gdzie stały dwie małe białe trumienki. Tak też uczyniła.

Ta inna, od dwóch dni zupełnie odmieniona Cyntia, patrząca na siebie jakby z zewnątrz, zwróciła uwagę na liczne wieńce, kosze i wiązanki kwiatów zalegające podłogę. Podobnie jak gałązki lilii, położone na trumnach, wszystkie kwiaty były białe. „Biel - pomyślała - to symbol czystości i niewinności. Ale przecież Tima trudno by nazwać niewiniątkiem. Był z niego niezły kawał łobuziaka: kiedyś wyrwał Laurze ciastko z ręki i bardzo przez niego płakała. Andrew jest taki dumny z Tima... - przepraszam -był dumny... «Nasz mały Tim to prawdziwy twardziel» -mówi o nim - przepraszam... - mówił”.

Cyntia doznała czegoś w rodzaju rozdziwienia jaźni: jakby drugi element jej osobowości obserwował ją i teraz ostrzegał, że powinna wszystko dokładnie zapamiętać, bo dziś będzie miała ostatnią szansę, by móc ich dotknąć, oczywiście nie dzieci, lecz kwiatów i gładkich, białych trumiennych wiek. Pochyliła się do przodu i przyłożyła do nich końce palców. Wydały jej się śliskie jak satyna i zimne. Chłodne były także płatki lilii.

Delikatne, nieśmiałe dźwięki organów przypominały Cyntii szept lub ostrożnie stawiane kroki w pokoju, w którym śpi dziecko. Gdy muzyka ucichła, usłyszała męski, głęboki tembr głosu pastora. Jego poetyckie słowa brzmiały dziwnie znajomo: mówiły o miłosierdziu i miłości. Piękne, szlachetne przesłanie modlitwy było uosobieniem najlepszych intencji. Z tyłu dochodziły do Cyntii odgłosy ludzkiej ciszy: od czasu do czasu lekki kaszel i cichy szmer głosów dobrze wychowanych, życliwych ludzi. „Kiedy się to wszystko skończy?” - pomyślała.

I nagle się skończyło. Organy na nowo podjęły subtelne granie i jacyś mężczyźni wynieśli z kaplicy małe trumienki.

- Chodź, Cyntio! - zawołał ktoś z jej bliskich. Ludzie parami przesuwali się w stronę drzwi. Andrew i ona szli na przedzie.

Jasność dnia padała na ich twarze; przeszli przez wysypaną żwirem alejkę, obramowaną ostatnimi już letnimi źdźbłami przywiedlej, zbrązowiałej trawy, i weszli do kwatery, gdzie mieściły się groby rodziny Byrne'ów. Spoczywało tu wiele pokoleń tego rodu, przodków Laury i Tima. To miejsce nigdy nie budziło w Cyntii uczucia smutku. Gdy dawniej przyprawiano ją tutaj w Święto Zmarłych, czuła w sobie raczej ciekawość, jaką zwykle dzieci przejawiają w takich okolicznościach. Kiedy była dość duża na to, by zainteresować się historią, rodzinne groby stały się intrygującym źródłem informacji. Pod szarymi, naruszonymi zębem czasu nagrobkami, na których widniały mocno już starte inskrypcje, spoczywało wiele dzieci: „Molly. Żyła trzy lata. Teraz przebywa wśród aniołków” - głosił jeden napis. „Zuzanna. Żyła dwa lata”... Była to druga śmierć tego samego lata. Być może dzieci umierały na skutek picia zanieczyszczonego krowiego mleka. Dawniej często się tak zdarzało, gdy je w czasie upałów odłączano od piersi. „Ethan. Miała osiemnaście miesięcy i sześć dni”. „Osiemnaście miesięcy... - zamyśliła się Cyntia - tyle co moje dzieci. Powinna bym policzyć, ile żyły dni, ale teraz nie mogę się na to zdobyć, jeszcze nie pora”...

Doszli do świeżo wykopanego grobu, obłożonego zieloną draperią, aby nie było widać kamienistej, zbitej w grudy ziemi. Trzeba ją było przesuszować, ale przez delikatność nie czyniono tego, póki ludzie nie odeszli od grobu.

Tłumek stopniał. Pozostali tylko krewni i najbliżsi przyjaciele. Cyntia widziała babcię z czerwonymi, spuchniętymi od płaczu oczami, rodzinę Andrew i kuzynkę Ellen, która płakała, zakrywszy twarz chusteczką. Dostrzegła także szefa i kolegów z redakcji pisma, w którym pracowała. Zdumiała ją obecność nieszczęsnej Marii Luz, którą przyprowadził jakiś jej krewny. Wszyscy oni, aby pożegnać jej maleństwo, zostali do końca pogrzebu.

„Kochani moi, Timie i Lauro - żegnała się z nimi w myślach - Nie byliście z nami zbyt długo, ale nigdy was nie zapomnimy: waszych uśmiechów, pierwszych ząbków, długich rzęs, waszych płaczów, różowych policzków i tłustych rączek”.

- Amen! - powiedział pastor o pięknym głosie, a zebrani nad grobem odpowiedzieli:

- Amen!...

Ktoś - Cytia nie wiedziała, czy była to matka Andrew, czy jej matka, a może jeszcze ktoś inny - szepnął cicho:

- Już po wszystkim, Cytio!

Znowu chwyciła dłoń Andrew. Po stronie, którą wycierał spłakane oczy, była mokra. Grupa pogrzebowych gości utworzyła szpaler, pozwalając jej i Andrew przejść do samochodu. Przechodząc obok nich, Cytia słyszała, jak wymieniają między sobą różne uwagi.

- Byłam na ich weselu... - powiedziała jakaś pani.

- Są zadziwiająco dzielni... - zauważył ktoś inny.

- To najsmutniejsze wydarzenie, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłam...

Pewna kobieta głęboko spojrzała Cyntii w twarz, jakby chciała jej coś wyznać, ale nie wiedziała, jak to powiedzieć.

Na końcu alejki weszli do samochodu i pojechali do domu tą samą drogą, którą tu przybyli.

Przez dłuższy czas trzymali się razem i byli sobie niezwykle bliscy. Zdawali sobie sprawę, że chociaż rodzice bardzo ich kochali i wraz z nimi przeżywali żalobę, to jednak cierpienie było wyłącznym udziałem ich dwojga. Czuli się osamotnieni. Chodzili na długie spacery po pokrytych już śniegiem alejkach w parku, gdzie przedtem dumnie wozili swoje bliźniaki. Wówczas wierzyli, że mają przed sobą wspaniałą przyszłość, a życie jest łąką usianą kwiatami.

Wieczorami razem słuchali muzyki: wyłącznie muzyki klasycznej. Nie oglądali telewizji, nic ich nie interesowało, nawet nie mieli ochoty patrzeć na wiadomości. W mieszkaniu panowała głucha cisza. Nie musieli już wyostrzać słuchu, czy któreś dziecko nie płacze lub ich nie woła. Przyjaciele dzwonili i w taktownej formie zapraszali ich na kolację czy do kina, nie zrażając się odmową.

Raz na tydzień Andrew i Cyntia chodzili do poradni psychologicznej. Wszyscy wiedzą, że ludzie chodzą tam wtedy, kiedy przeżywają tragedię. Pierwszy przestał uczestniczyć w sesjach Andrew.

- Te spotkania działają jak sól na moje rany - powiedział. - Nie potrzebuję, aby mi ktoś mówił, że muszę żyć nadal jakby nigdy nic. I bez nich wiem aż nadto dobrze, że jeśli stracę pracę, to inni szybko ustawią się po nią w kolejce.

- Pracę - dziwiła się. - Nie wiem, po co ci ona...

- Przecież musimy jeść, Cindy!

- Czyżby? Ja nigdy nie jestem głodna... i wcale mi nie zależy na tym, gdzie i z czego będę żyła. Niczego nie potrzebuję.

- Wiem... ale przecież nie możemy się zabić.

- Jeśli tego nie zrobię, to tylko przez wzgląd na ciebie.

- Nie mów takich rzeczy, Cindy! - szepnęła z westchnieniem.

- Dlaczego nie? Przecież to prawda. - Wstała i zaczęła przemierzać pokój od okna do półek z książkami i z powrotem. - Nie powinnam była pójść do pracy. Należało zostać w domu i pilnować dzieci. Nigdy sobie tego nie daruję... nigdy. Patrzę na siebie w lustrze i widzę winę wypisaną na moim czole. Naprawdę! Uwierz mi! Widzę to słowo wypisane wielkimi czerwonymi literami.

- Niemądrze mówisz! Przecież to był wypadek, potworny wypadek, który mógł się równie dobrze przydarzyć tobie, mnie lub każdemu innemu.

- Wiesz, co postanowiłam? Rzucę tę swoją głupią pracę.

- Niczego nie rób w pośpiechu. Wzięłaś długi urlop, więc zaczekaj, aż się skończy, i potem zdecyduj. Na razie jest jeszcze za wcześnie na dokonywanie ważkich zmian.

Nie mogła sobie wyobrazić powrotu do redakcji. Musiałaby przyjmować kondolencje i stałaby się obiektem wielu litościwych spojrzeń. Wiedziała też, że w pracy wymagano, by była elegancka, dobrze poinformowana o ostatnich trendach i przebojowa. Postanowiła zmienić otoczenie i znaleźć sobie zajęcie, które nie będzie jej przypominało o przeszłości. Chciała obcować z nowymi, nie znanymi przedtem ludźmi.

Była przekonana, że z czasem jej się to uda, ale jeszcze nie teraz. Na razie nie była gotowa do podjęcia nowych obowiązków.

„To, co dotąd robiłam, było idiotyczne - wmawiała sobie. - Zajmowałam się rzeczami bez znaczenia. Moda!!! Głupie stroje dla kobiet, które nie mają pojęcia o tym, czym naprawdę jest życie. Czy w tym sezonie nosi się suknie długie, czy krótkie? Jakby mnie o to spytały, nie wiedziałabym, co odpowiedzieć. Wiem tylko, że żakiety mają być obcisłe, blisko ciała, co zapewne oznacza, że zeszłoroczne można wyrzucić na śmietnik”.

Zdawała sobie sprawę, że mąż lituje się nad nią. Ona też całym sercem nad nim bolała, ale Andrew nie przemierzał podłogi tam i z powrotem, tak jak ona, by choć trochę uspokoić nerwy. Nie czuł takiej potrzeby. Mężczyźni nie rozżalają się nad sobą, nie poddają się - tak ich, biedaków, uczono.

Nocą oboje leżeli blisko siebie, otoczeni ramionami. Kiedy się chcieli obrócić, układali się do siebie plecami i nawet taki niewyszukany kontakt sprawiał im przyjemność. W swojej rozpaczach nie pragnęli niczego prócz poczucia jedności.

Po jakimś czasie w Andrew zaczęło się budzić pożądanie, ale ona go nie odwzajemniała, była nieczuła jak drewno.

- Nie mogę... - tłumaczyła. - Jeszcze nie teraz.

Choć Andrew na to przystawał i nie oponował, Cyntia nie mogła zrozumieć, że mógł odczuwać potrzebę rozkoszy. Jeśli o nią chodziło, nie mogło być o tym mowy. Nie wierzyła nawet, że kiedykolwiek w przyszłości wróci jej taka potrzeba. Tkwiła w niej trucizna, żrąca jak kwas: dzika nienawiść do człowieka, który zabił jej dzieci, a sam pozostał przy życiu, chodził po ziemi i oddychał pełną piersią. Wzbierała w niej potworna złość i rósł gniew przeciw całemu światu za niezasłużone cierpienie.

Nadeszła taka chwila, kiedy Andrew nieustępliwie domagał się seksu.

- Jak możesz pragnąć rozkoszy?! - złościła się.

- Nie chodzi mi po prostu o rozkosz, jak ty to nazywasz, ale o dopełnienie aktu miłości między tobą i mną. Przecież my dwoje nadal żyjemy.

- Szybko o nich zapomniałeś? - pytała z wyrzutem.

- Zapomniałem? - dziwił się. - Jak możesz tak o mnie myśleć?

Przeprosiła go.

- Wybacz, chlapnęło mi się... To zabrzmiało gorzej, niż chciałam.

Przepraszam.

- Zabrzmiało to całkiem jednoznacznie - powiedział urażony.

- Jeszcze raz cię przepraszam - powtórzyła i westchnęła. - To dlatego, że ciągle o niczym innym nie mogę myśleć. Widzę nasze dwa skarby w spacerówce, ich różowe buzie, małe rączki w mitenkach, a potem w jednej sekundzie...

- Przestań już, Cindy. Czas najwyższy, żebyś dała temu spokój - prosił. Ale nie zawsze był taki cierpliwy.

- Zdaje mi się, że ten doktor, którego wciąż odwiedzasz, niewiele ci pomaga - zauważył.

- Tak sądzisz? Przecież mnie uratował od obłędu. Czy to mało?

Andrew przez chwilę milczał.

- Wkrótce minie sześć miesięcy... - dodał.

„Sześć miesięcy, odkąd ostatni raz kochał się ze mną -to miał na myśli...” - powiedziała sobie. Tej nocy, kiedy się do niej zbliżył, nie odwróciła się od niego, lecz mu się oddała. Leżała jednak zimna jak gład i nic przy tym nie czuła.

Andrew poznał się na tym, nie zdołała go oszukać. Nie czynił jej jednak wyrzutów, tylko ze smutkiem skwitował fakt.

- Nic nie mogę na to poradzić - odparła. Starła się, by jej słowa zabrzmiały szczerze, i tak się w pewnej mierze stało, nie była to jednak cała prawda, gdyż mogłaby na to poradzić, ale nie chciała. Nie rozumiała, jak Andrew mógł myśleć, że kiedykolwiek będą w stanie współżyć ze sobą tak samo jak przedtem, zanim w ich życie wkroczyła tragedia. Widać to prawda, że mężczyźni są ulepieni z innej gliny.

Stosunki między nimi zaczęły się psuć. Któregoś dnia zobaczył ją siedzącą przy oknie: ręce miała złożone na podolku, a oczy spuchnięte od łez. Podeszedł do niej i tonem pełnym wyrzutu powiedział:

- Prędzej czy później będziesz musiała przestać płakać. Nic więcej dla ciebie nie mogę zrobić, nie umiem ci pomóc. Nadal tak żyć nie możemy. W każdym razie ja już dłużej nie dam rady.

Poczuła się obrażona treścią i tonem jego słów.

- A ty mógłbyś przestać rzucać się po nocach - odcięła się. - Nie mogę przez ciebie spać. A jeśli chodzi o działanie komuś na nerwy, to nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że bez przerwy trzaskasz palcami. Co wieczór, gdy siedzimy przy telewizorze, muszę wysłuchiwać tego trzaskania i też mam tego dość!

Położyli się do łóżka, ale nie zbliżali się do siebie. Cyntia miotala istna burza uczuć. Całymi miesiącami żyła jak w letargu, kompletnie odętwniała, teraz zaś miała w głowie straszny zamęt, ogarniała ją panika i strach przed konfrontacją z życiem. Bała się, że będzie musiała wybierać między miłością a życiem. To ją przerażało. Panicznie się lękała, że może się znaleźć poza nawiasem życia, i czuła się straszliwie, niewypowiedzianie samotna.

Wiedziała, że musi wziąć się w garść. Zdawała sobie sprawę, że oboje z Andrew żyją jak pustelnicy i że to nie może się dobrze skończyć. Pewnego dnia, gdy zaprzyjaźnione z nimi małżeństwo, Ken i Jane Pierce'owie, zaprosili ich na kolację do swego klubu za miastem, przyjęli zaproszenie.

- Ogromnie się cieszę - zapewniała ich Jane. - Szczerze mówiąc, wątpiałam, czy się zgodzicie, ale uważałam, że powinnam spróbować.

Obie pary razem wyjechały z miasta i dobrze się stało, gdyż po drodze mogli swobodnie porozmawiać. Cyntia spodziewała się, że w klubie spotka wielu znajomych, których ostatnio unikała, i dlatego na pierwsze wystąpienie starała się włożyć jakąś szczególnie udaną kreację. Rozważając, co na siebie włożyć, zadawała sobie ironiczne pyta-

nia: „Czyżby mi już wróciły dawne ambicje? A może powoli powracam do psychicznego zdrowia?” Lekarz potwierdził, że tak właśnie jest.

Spojrzała na siebie w lustrze - hol klubu cały był wyłożony lustrami - i zobaczyła w nim bardzo szczupłą młodą kobietę o zmęczonych oczach, ubraną w jedwabną suknię w kwiaty. Kupiła tę suknię, gdy wybierali się na wakacje, do których nigdy nie doszło. Zamierzali pojechać z dziećmi na Florydę.

- Pięknie wyglądasz - powiedział jej ktoś niezwykle ugrzecznionym tonem, jakim się zazwyczaj mówi do osób ciężko chorych, które bynajmniej pięknie nie wyglądają.

Goście zasiedli do stołu na przestronnym tarasie i tu, na wolnym powietrzu, podano kolację. Cyntia jadła bez apetytu i obojętnie przysłuchiwała się rozmowom, jakie toczono ponad jej głową. Zorientowała się, że panie omawiają wybory do rad szkolnych, które budziły ostatnio silne emocje, a panowie, usadowieni na przeciwległym końcu stołu, rozprawiają jak zwykle o interesach. Andrew znalazł się między Kenem i jakąś pełną temperamentu młodą kobietą w głęboko wydekoltowanej sukni.

Cyntię bawiło przyglądanie się Andrew. Podziwiała, jak zręcznie sobie radzi z dzieleniem uwagi między dwoje sąsiadów. Zawsze umiał znaleźć się w towarzystwie i doskonale się prezentował. Mimo bladeści i zmęczenia był tego wieczoru najprzystojniejszym ze wszystkich mężczyzn w klubie. Trochę się o niego niepokoiła. Uważała, że nie zasłużył sobie na to, co ich spotkało. Postanowiła dołożyć starań, aby przestawić swoje i jego myślenie na nowe tory i już nie wracać do przeżytej tragedii.

Pole golfowe rozciągające się przed oczami Cyntii powoli pogrążało się w ciemności. Zaraz za nim, na lewo, zaczynał się las, który porastał tarasowate zbocza wzgórza. Po upale panującym tego dnia nagrzane powietrze wciąż jeszcze utrzymywało się nad trawnikiem, by niedługo unieść się w górę. Świerszcze bez końca cykały, zagłuszając ludzkie głosy.

„Już dawno powinniśmy byli wyjechać z miasta - myślała. - Dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy udali się na wieś do babci. Spacery po lesie na pewno by nam pomogły. Musimy jak najprędzej zorganizować taki wyjazd. Na wsi wróci nam spokój ducha i znów będziemy tacy jak przedtem". I gdy tak rozmyślała, poczuła, że mija jej sztywność karku. Do tej chwili nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo jest spięta. Spojrzała w dal, gdzie zmierzch ustąpił już miejsca nocy o kobaltowej barwie. Jaśniej było jedynie tam, gdzie chińskie lampiony rozświetlały ciemność małymi złotymi kółkami. Jak dobrze byłoby rozciągnąć się i zdrzemnąć pod drzewami! Od dłuższego czasu nie czuła takiej słodkiej potrzeby. Spłynął na nią spokój, spokój wsi.

Andrew się śmiał. Od dawna nie słyszała jego śmiechu. A ona sama też od dawna nie dostrzegała wokół siebie niczego, co mogłoby pobudzić ją do wesołości. Zastanawiała się, czy swoim zachowaniem nie utrudniała mężowi życia. Doszła do wniosku, że tak, że utrudniała.

Kobieta siedząca obok Andrew musiała opowiedzieć jakiś dowcip, bo otaczający ich panowie roześmiali się. Ta pani, choć niewątpliwie ładna, przypominała nieco tanią błyskotkę. W jaskrawym makijażu, z głęboko obnażonym dekoltem na pewno nie była w typie Andrew. Cynthia nie sądziła, by musiała bać się konkurencji innej kobiety. Wierzyła, że ona i Andrew są dobrym, partnerskim małżeństwem.

„Przez długi czas nie byłam sobą, czułam się chora, nie zwracałam uwagi na swój wygląd. Teraz muszę pomyśleć o sobie, wrócić do życia i wyciągnąć do Andrew ramiona. Tej nocy - postanowiła - usunę barierę, jaka tkwi między nami. Tej nocy zrobię to".

Zerwał się lekki wiatr i szeleścił liśćmi. Cynthia narzuciła na ramiona wełniany bladożółty szal z małymi frędzelkami. Czuła, że dzięki szalowi nabiera cech kobiecości i odzyskuje wdzięk, którego jej w ostatnim czasie brakowało. Ogarnęło ją dziwne ciepło, będące czymś więcej niż tylko temperaturą ciała, towarzyszyło mu uniesienie i jednocześnie poczucie ulgi.

Odczuła potrzebę spojrzenia na Andrew innym wzrokiem albo dotknięcia go i dania mu do zrozumienia, że się zmieniła.

„Kochanie! - powie mu. - Znowu będzie między nami wszystko dobrze. Przykro mi, że to tak długo trwało, ale właśnie przeżyłam coś bardzo dziwnego... i zapewniam cię, że teraz się zmienię, naprawdę!"

Przerwała rozmyślania, gdyż sąsiadka Andrew nagle podniosła głośny lament:

- Mój Boże! Nie uwierzą państwo, co mi się przytrafiło! - krzyczała.
- Zgubiłam swoją najlepszą bransoletkę, w dodatku nie była ubezpieczona. Jestem na siebie wściekła!

Ze wszystkich stron płynęły rady i słowa pocieszenia. Ludzie przeszukiwali trawę i zaglądali pod stół.

- Proszę sobie przypomnieć, kiedy ją pani ostatni raz widziała... Czy jest pani pewna, że miała ją pani dziś wieczór? Czasem nam się coś wydaje, a w rzeczywistości jest inaczej... Którędy weszła pani do klubu?

- Postawiłam samochód na samym końcu parkingu, a potem szłam pieszo w stronę klubu i weszłam przez drzwi wejściowe na salę jadalną.

- Powinna pani zacząć szukać, idąc od samochodu dokładnie tą samą drogą co przedtem, i cały czas uważać, by stąpać po swoich śladach.

- Pójdę z panią - zaoferował Andrew. - Zaczniemy od sali jadalnej. Bransoletka musi być gdzieś tutaj.

- Jak to miło z pana strony! Co dwie pary oczu, to nie jedna, na pewno ją znajdziemy.

Po chwili panowie powrócili do rozmowy o interesach, a kobiety dzieliły się uwagami o swoich dzieciach, bądź to o maluchach, które dopiero co nauczyły się chodzić, bądź też o starszych, starających się o przyjęcie do college'u. Cyntia ze zdziwieniem stwierdziła, że słuchając ich uwag, nie czuła się ani dotknięta, ani skrzywdzona przez los. Wspominanie o dzieciach wywoływało w niej ból, ale nie był tak silny jak dawniej. Nie miała już wątpliwości, że zmienia się, wraca do normalności.

Od zniknięcia Andrew minęło jakieś dwadzieścia minut. Niektórzy goście przygotowywali się już do wyjścia.

- Musi pani zrozumieć, mam w domu babysitterkę - tłumaczyła się jedna z wychodzących.

- Jutro muszę wstać o świcie - wyjaśniał ktoś inny.

- Gdzie się zawieruszył twój mąż? - spytał Cyntię Ken.

- Sama się zastanawiam, gdzie mógł się podziać - odparła.

- Chyba poszli w tamtą stronę - ktoś, wahając się, wskazał w stronę lasu.

Cyntia weszła na salę jadalną, aby się rozejrzeć, ale byli tu tylko jacyś młodzieńcy tańczący makarenę. Ze stopni schodów miała dobry widok na plac parkingowy. Na pewno by dostrzegła czerwoną suknię towarzyszki Andrew, gdyby tam byli. Wróciła do stołu. W sercu poczuła niepokój, choć wiedziała, że jakiegokolwiek obawy nie mają żadnego uzasadnienia. „Może Andrew upadł lub nagle zachorował?” - pomyślała. Tego nigdy nie można wykluczyć. Świat pełen jest nie dających się przewidzieć niebezpieczeństw. Nikt nie był tego świadomy bardziej niż ona.

Czas mijał. Któryś z mężczyzn podszedł aż na skraj pola golfowego i nawoływał gromkim głosem: „Andrew! Andrew!”, przeciągając zgłoski.

„Chyba się wygłupia, bo co on tam może robić” - zastanawiała się Cyntia.

Jane coraz wyraźniej się denerwowała. Zostawiła w domu dzieci, a przecież czeka ich jeszcze godzina drogi samochodem.

- Takie wypadki do klubu są dobre dla tych, co mają blisko do domu, a nie dla nas, mieszkających w centrum miasta... - zaczęła i urwała w pół słowa.

- Gdzieście, na miłość boską, byli?! - wykrzyknęła z wyrzutem. - Wszyscy was szukamy.

Z lasu wyszedł Andrew razem z właścicielką zagubionej bransoletki. Wymachiwała nią całą roześmiana.

- Zgadnijcie, gdzie była! - wołała. - Leżała na siedzeniu mego samochodu. Zawsze ją zdejmuję, gdy prowadzę, bo mi przeszkadzają wisiorki.

- Ale nadal nie wiemy, gdzie właściwie byliście - nalegała Jane. Cyntia usłyszała, jak inna kobieta dodała półgłosem:

- A jak myślicie...? Phyllis zawsze urządza takie kawały ze znikaniem...

Andrew na pewno też słyszał te słowa. Stał jak zawstydzony chłopiec, speszony nagłym zapadnięciem ciszy.

- Chodźmy już do samochodu! Robi się późno - powiedział półgłosem Ken.

- Muszę jeszcze wstąpić do toalety - zauważyła Cyntia. Jane poszła za nią.

- Nie pozwól, by widział, że płaczesz! Nie daj mu tej satysfakcji! - radziła.

- Chyba nic po mnie nie widać, zobacz! - odparła opanowanym głosem Cyntia. Ton jej wypowiedzi był nieco wyzywający; nie chciała się rozczulić, robiła wszystko, żeby się nie rozpląkać. Pochyliła się w stronę lustra i raz po raz przeciągała grzebieniem po włosach, które wcale nie wymagały czesania. Policzki jej płonęły ze wstydu. Zdawała sobie sprawę, że została publicznie poniżona.

- Ta cała Phyllis to prawdziwa suka. Gdy widzi przystojnego mężczyznę, nie może się powstrzymać, żeby go nie poderwać. Nie wiem, po co ją tu zaproszono, nie jest członkiem naszego klubu.

- Proszę cię - szepnęła Cyntia. - Daj spokój!

- Dobrze, już nic więcej nie powiem. Ale posłuchaj, Cyntio. Wy dwoje przeszliście piekło. Nie pozwól, żeby cię ta nowa historia w jakikolwiek sposób pograżyła. To, co się stało, jest przykre, ale zdarzają się gorsze rzeczy... Po prostu na pewne sprawy trzeba czasem przytknąć oczy.

Słowa Jane wydały się Cyntii nie do zniesienia.

- Lepiej już chodźmy! Oni czekają.

- Jeśli jesteś gotowa, wyjdziemy, a jeśli nie, to niech poczekają.

- Jestem gotowa.

- Nie przejmuj się! Wyglądasz bardzo dobrze.

- Wiesz, co ci powiem? Nie zależy mi na tym, jak wyglądam.

- Ach, ci mężczyźni... - westchnęła Jane, kiedy szły do samochodu.
- Wszyscy są tacy sami.

Andrew i Ken siedzieli obok siebie na przednim siedzeniu i rozmawiali, podczas gdy obie panie milczały: Jane celowo, a Cyntia dlatego, że miała chaos w głowie. Jej kobieca godność została podeptana na oczach innych. Budziła litość. Zdarło z niej puklerz broniący małżeńskiego honoru.

. Narastające w niej uczucie upokorzenia i złości wybuchło potokiem gniewnych słów, gdy tylko zaniknęły się za nimi drzwi do mieszkania. Stała na chwiejnych nogach, opierając się o ścianę.

- Nie było cię prawie przez całą godzinę od chwili, gdy zaczęliśmy was szukać, a Bóg jeden wie, ile czasu minęło przedtem. Zadałeś się z tanią szmatą, o której nawet Jane mówi, że podrywa każdego, kto nosi spodnie. Zachowałeś się jak idiota. Jak mogłeś mi to zrobić? Tak mnie upokorzyć?!

- Nie zamierzałem zrobić idioty z siebie ani z ciebie. Przesadzasz... nic takiego się nie stało. To było całkiem niewinne... - dukał. - Nie chciałem nikogo skrzywdzić... Może postąpiłem głupio, ale nie zdawałem sobie sprawy, że robię coś złego.

Wpatrywała się w niego zdumiona. Andrew, zazwyczaj pewny siebie i dumny, teraz wydawał jej się okropnie speszony, no i wygadywał niedorzeczności.

- To była głupota, nic więcej - powtórzył raz jeszcze, nie patrząc Cyntii w oczy. Utkwił wzrok w jej bucikach.

- Ale miałeś przecież jakiś cel... inaczej po co byś z nią poszedł?

- Poszliśmy na przechadzkę. To był tylko mały spacer.

- Rzeczywiście!!! Wcale nie „mały spacer”, ale bardzo długi spacer... Chyba że większość czasu spędziliście, nie chodząc, tylko leżąc...

- Przyznaję, że jakoś bezkrytycznie do tego podszedłem. Ale ty stanowczo przesadzasz. Za daleko się posuwasz.

- Czyżby? Nie wydaje mi się.

Jego dziwne zachowanie bulwersowało ją i budziło najgorsze podejrzenia. Ostrem tonem spytała:

- Miałaś z nią stosunek?
- Bzdura! Nie masz podstaw, by mnie posądzać.
- Ja to po prostu czuję... Miewam takie momenty, w których pewne rzeczy wyczuwam. A zresztą cóż innego mogliście robić? Przecież nie dyskutowałeś z nią o filozofii !

- Po prostu rozmawialiśmy. Tak sobie gaworzyliśmy o byle czym.
- Spędziliście ze sobą godzinę, kryjąc się po ciemnych krzakach po to, aby mówić o byle czym? Czy ty mnie uważasz za idiotkę? Chcę poznać całą prawdę, Andrew! Proszę, żebyś nie kłamał. Potrafię się uporać nawet z najgorszą prawdą, ale chcę ją znać.

Zapanowało milczenie. Z korytarza dochodziły do nich głosy ludzi wychodzących z windy. Potem znowu zapanowała cisza.

Nagle Andrew uniósł głowę i spojrzał Cyntii prosto w oczy.

- Mówisz, że chcesz poznać prawdę? A więc miałaś rację, przecucie cię nie omyliło...

W tym momencie Cyntii nerwy odmówiły posłuszeństwa. Poczula straszny ból w skroniach, musiała usiąść.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli się przyznam - ciągnął dalej Andrew. - Kiedy wyznam ci całą prawdę, nawet najgorszą, wtedy mi uwierzysz i uwierzysz także w to, że nigdy przedtem czegoś podobnego nie zrobiłem.

Zaczęła szlochać.

- Chyba oszaleję... - mówiła, łkając.

- Przysięgam ci - oznajmił spokojnym tonem - że nigdy cię przedtem nie zdradziłem. Nie wiem, co mi się dzisiaj stało. Chyba straciłem rozum.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - pytała. - Nie byłeś pijany. Nigdy nie pijesz!

- Wypiłem kilka lampek wina, ale nie zwaiałbym tego, co się stało, na alkohol. Po prostu tak się złożyło... Bardzo mi przykro, Cindy. Bóg mi świadkiem, że oddałbym wszystko, co mam, aby to się nie zdarzyło.

- Po prostu tak się złożyło... - powtórzyła jego słowa z ironią. - Ach, ty draniu! Ciekawe, co byś powiedział, gdybym ja coś takiego zrobiła.

- Pewnie bym się wściekł, oszalał ze złości.

- Nie wątpię. Przecież jestem matką twoich dzieci... twoich zmarłych dzieci.

- To było pomieszanie zmysłów... Nie wiem, jak inaczej nazwać to, co zrobiłem. Czyste szaleństwo! Bo przecież ja cię kocham, Cindy, i zawsze będę cię kochał!

Widziała, że jego oczy napęcznieją się łzami. Przynurzył się w jej stronę, jakby chciał wziąć ją za rękę albo przytulić jej głowę do piersi i prosić o przebaczenie.

Nie zastanawiając się długo, chwyciła swą białą wieczorową torebkę i grzmotnęła w niego. Torebka spadła na podłogę i jej ozdobna klamra się ułamała. Cytntia nie potrafiła się opanować. Była wściekła, trawiło ją palące poczucie zniewagi. Oczami wyobraźni widziała swego męża leżącego na trawie z tą wywłoką w błyszczącej sukni, słyszała jej ochryply śmiech...

- Nienawidzę cię! - krzyknęła. - Że też mogłeś coś takiego uczynić po wszystkim, co razem przeszliśmy i czym dla siebie byliśmy! W każdym razie ja w to wierzyłam...

- Cindy, proszę cię... W moich uczuciach do ciebie nic się nie zmieniło. To prawda, że uczyniłem rzecz straszną, ale czy nie możesz mi tego wybaczyć? Zapewniam cię, że to była tylko jakaś nagła myślowa aberracja, moment szaleństwa...

„Nie wiesz, jacy są mężczyźni - przypomniały jej się słowa Jane. - Przysięgają, że nigdy tego nie zrobią, ale nawet najlepsi z nich są do tego zdolni”.

- Przyznaję, że to, co zrobiłem, jest niewybaczalne -kajał się Andrew - ale byłaś dla mnie taka chłodna...

- Chłodna? A jaka miałam być, gdy mi serce pękało z bólu? Mówisz głupstwa. Chyba sam nie wiesz, co wygadujesz. Nie masz najmniejszego pojęcia o tym, co przeżywałam.

- A to, co się działo w moim sercu, już się nie liczy? To ty nie masz najmniejszego pojęcia, jak traktować drugiego człowieka, jak go pocieszyć... Próbowałem... Próbowałem zbliżyć się do ciebie przez te

wszystkie miesiące. Potrzebowałam trochę ludzkiego ciepła. To wszystko, czego chciałam. - Przerwał, wytarł oczy. - Jeśli się zgodzisz, Cindy, będę nadal próbował. Proszę cię, nie odrzucaj mnie. Tak bardzo żałuję tego, co się stało.

„Niezły z niego aktor - myślała. - Strzepał trawę ze spodni i jakby nigdy nic pojawił się z powrotem przy stole”.

- Nie mogę na ciebie patrzeć - powiedziała. - Przyprawiasz mnie o mdłości. Weź z sypialni swoją poduszkę, bo będziesz spał tu na sofie.

- Niech i tak będzie, skoro dzięki temu polepszy ci się samopoczucie tej nocy.

- Myślisz, że chodzi tylko o dzisiejszą noc? Nie łudź się, że kiedykolwiek nastąpi taki moment, gdy ci pozwolę wejść do swego łóżka.

„To koniec - pomyślała. - Już nigdy... O Boże, nigdy... Patrzę na niego i go nie poznaję. Chciałabym nie żyć. Boże, daj mi umrzeć!”

Wszystkiemu jest winien Andrew. To on zniszczył ich małżeństwo. W momencie, gdy po długiej ciemności w tunelu pojawiło się światło, zgasił je. Cyntia sądziła, że odtąd nigdy nikomu nie zaufa. Dawniej świat wydawał jej się przyzwoity i racjonalny. Teraz życie straciło sens. Zaskorupiała nienawiść twardą masą otoczyła jej serce. Grzęzła w coraz bardziej ponurych nastrojach; ogarniał ją gniew, wściekłość i rozpacz.

- Przecież cię już sto razy za wszystko przeproszałem -mówił jej w owych strasznych pierwszych dniach życia osobno. - Próbowałem ci wyjaśnić coś, czego sam nie rozumiem, co jest nie do wytłumaczenia. Błagam cię, Cyntio, przebacz mi!

Ona jednak uporczywie wracała do tego, co stało się owego feralnego wieczoru w klubie.

- Żona siedzi, nic nie wiedząc, przy stole, a mąż spokojnie wychodzi sobie z obcą babą w krzaki... Nie! Błagam, ile chcesz. Jestem głucha na twoje słowa. Nie chcę cię słyszeć ani widzieć! Im szybciej się stąd wyniesiesz, tym lepiej. Zostaw mnie samą! Odejdź! - powiedziała mu pewnego ranka po którejś z rzędu gorzkiej scysji.

- Chyba nie mówisz tego serio?

- Jak najbardziej. Daję ci jeden dzień. Masz czas do jutra. Dziś jeszcze spakuj swoje rzeczy. Ja też się stąd wyniosę, gdy się tylko uda sprzedać to mieszkanie.

- Mój Boże! Więc ty naprawdę tego chcesz? - zdziwił się Andrew. Po chwili jednak nerwy go poniosły. - A więc siedź tu i kiśnij! - warknął. - Wypłakuj sobie oczy, skoro nie potrafisz wziąć się w garść. Ja już dłużej nie mogę tego znosić: straciłem cierpliwość.

To był koniec ich małżeństwa. Cytia usiłowała zacząć nowe życie. Podjęła pracę w osiedlowym domu dla bezdomnych matek z dziećmi. Obecna egzystencja nie dawała jej powodów do radości, niemniej przekonanie, że wykonuje pożyteczną pracę, było źródłem niemałej satysfakcji. Ilekroć widziała młodą kobietę tulącą swoje dziecko, czuła, że chętnie zamieniłaby się z nią na rolę. Mimo że jej podopieczne cierpiały nędzę, dzięki pomocy litościwych serc mogły się z nią uporać. Bieda nie była niczym ostatecznym.

Rozmyślając o przeszłości, Cytia podeszła do okna, jakby się spodziewała, że stamtąd przyjdzie rozwiązanie jej problemów. Niebo przybrało kolor szaroróżowy. Taki kolor nieba często się pojawia nad wielkimi miastami nocą, gdy chmury przesłaniają gwiazdy. Pomyślała, że nadszedł czas, gdy trzeba będzie porzucić ten piękny widok z okna i rozstać się z rzeczami, które zapełniały pokoje. Mnóstwo tu było pięknych przedmiotów i efektownych gadżetów, które kiedyś z entuzjazmem gromadziła, sądząc, że to będzie dom na całe życie.

Na biurku leżał otwarty list od babci.

„Przyjedź i spędź ze mną cały dzień. Możesz też zostać na noc i być u mnie, jak długo tylko zechcesz. Kocham Cię”.

Jeszcze raz przeczytała zaproszenie i wyobraziła sobie babcię siedzącą przy biurku i piszącą te serdeczne słowa. Nie mogła jej odmówić...

ROZDZIAŁ TRZECI

W dalekim Waszyngtonie Lewis Byme, ojciec Cyntii, po rozmowie z nią odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział nieruchomo, pogrążony w myślach o córce.

W duchu zawsze ją nazywał radością swego życia. Wysoka, spokojna, opanowana, miała wiele cech, w których odnajdował podobieństwo do siebie i innych członków swojej rodziny. Z kolei dowcipem i wdziękiem przypominała matkę, po Daisy też odziedziczyła bystrość umysłu i solidną, atletyczną budowę ciała. Wszystkie te cechy jakby się jeszcze w Cyntii spotęgowały. Gdy się na nią patrzyło, nieodparcie narzucało się porównanie z ptakiem w locie. „Teraz jest rannym ptakiem” - pomyślał i zrobiło mu się smutno. W takim nastroju zastała go Daisy, gdy wróciwszy z miasta, stanęła w drzwiach.

- Jak było? - spytał.

- Dobrze - odparła. - Aż się zdziwiłam, że już tak dużo kobiet znam w Waszyngtonie.

- Sądząc po twoim wyglądzie, trudno się domyślić, że trapi cię wielkie zmartwienie.

Daisy wniosła ze sobą powiew świeżości, jakby właśnie wróciła z pływania, konnej przejażdżki czy tenisa. Z każdego jej kroku biła energia; tchnęło nią każde spojrzenie jej błękitnych oczu.

- Jakiż sens miałyby odkrywanie swoich ran przed obcymi?

- Żadnego - przyznał. - Rozmawiałem z Cyntią.

- Zaszło coś nowego?

- Nic, poza tym, że wybiera się z nami do mamy.

- To dobrze! Bałam się, że nie zechce.
- Kocha moją matkę.
- W to nie wątpię. Miałam na myśli stres, jakim będą dla niej spacer po mieście: widok kościoła, w którym brali ślub, no i cmentarz...

- Nie pojmuję, jak Andrew mógł jej to zrobić. Rozumiem, że mężczyznachodzi nieraz taka chwila, ale on postąpił niegodziwie. Czynnie do wybaczenia. Cios poniżej pasa, szczególnie po tym, co razem przeszli. I zadał go w momencie, kiedy sądziliśmy, że Cyntia zaczyna już przychodzić do siebie.

Lewis potrząsał głową, wzdychając:

- Nigdy nie przestajemy martwić się o nasze dzieci, bez względu na ich wiek, prawda? Pamiętasz, co przeżywaliśmy, gdy Cyntia złamała rękę, i to aż w trzech miejscach? Albo kiedy miała siedem lat i zgubiła się na harcerskim pikniku. Należała wtedy do zuchów... baliśmy się, że zaginęła na dobre.

- A przypomnij sobie, co się działo, gdy miała piętnaście lat i głupio się zakochała w tym okropnym chłopcu.

Przez parę minut milczeli, po czym Daisy z czułością zwróciła się do męża:

- Wstań, mój drogi! Zjemy kolację, a po niej proponuję, żebyśmy się wybrali do kina. Najlepiej na komedię, jeśli uda się jakąś znaleźć. Rozdrapywanie ran nic nie da i Cyntii też nie pomoże.

- Masz rację! - przyznał, wstając. - Ale nigdy nie przestanę nienawidzić grudnia.

Właśnie w krótkie i szare grudniowe popołudnie otrzymali wiadomość, która spowodowała, że musieli natychmiast udać się do córki: trzeba było pożegnać tragicznie zmarłe wnuczeta. Od tego momentu zaczęły się ich niepowodzenia.

- Tak, zgadzam się, że grudzień to rzeczywiście straszny miesiąc... Ale włoż palto, kochanie, i chodźmy!

Wstał. Zrobił to dla żony. Poszli na kolację; chociaż jedzenie było dobre, nie miał na nie ochoty. W kinie film tylko mu migał przed

oczami; nie potrafił wczuć się w akcję. Gdy wrócili do domu, żona położyła się spać, a on wymówił się pracą:

- Wkrótce też się położę, ale muszę jeszcze zapoznać się z pewnym artykułem na temat budownictwa komunalnego.

Znów usadowił się w fotelu przy oknie. W pokoju, jak zawsze, było ciepło, ale Lewisowi się zdawało, że przez ściany przenika do wnętrza chłód. Pomnik Jeffersona przypominał z daleka lodową rzeźbę, a świat wyglądał jak zakuty w okowy mrozu. Lewis poczuł dreszcze. Sięgnął po wino i nalał sobie kieliszek. Liczył na to, że alkohol nie tylko go rozgrzeje, lecz także pomoże mu zasnąć. Ostatnio bardzo źle sypiał.

Ponownie przypomniały mu się grudniowe kłęski.

- Dla mnie ten miesiąc na zawsze pozostanie najbardziej zniechęcającą porą - powiedział głośno do siebie. Prócz nieszczęścia, jakie dotknęło Cyntię, w tych dniach zbliżała się szóstka rocznica jeszcze jednej tragedii: bankructwa firmy Byrne i Synowie. Jego firma, jedno z najlepszych przedsiębiorstw budowlanych w kraju, przestała istnieć w sobotni wieczór dokładnie sześć lat temu. Wówczas właśnie wydarzyła się owa katastrofa, która ich wyeliminowała z rynku, zmiotła z powierzchni ziemi.

Lewisowi na samo wspomnienie zatrzęsły się dłonie i kilka kropli wina spadło na nie przeczytane jeszcze sprawozdanie o stanie budownictwa. „Ta katastrofa nigdy nie zniknie z mapy mojej pamięci” - pomyślał. Wciąż jeszcze miał w oczach nagłówki gazet, a ich czarne litery tańczyły szalony, diabelski taniec.

„Trzy żelbetowe tarasy zapadły się w nowo zbudowanym hotelu należącym do sieci ARROW INTERNATIONAL. Osiemdziesiąt trzy osoby zostały zabite, a ponad sześćset rannych. Robotnicy odgruzowujący hotel obawiają się, że pod zwałami żelbetu jest jeszcze wiele ciał. Ostateczna liczba ofiar może się okazać znacznie wyższa”.

To była groza. „A mój brat, Gene - myślał z żalem Lewis - i jednocześnie mój partner w firmie, uznał mnie za winnego tego wypadku i co gorsza - nadal tak uważa.

Nie trafiają do niego żadne wyjaśnienia, nie jest skłonny wybaczyć, nie stara się zrozumieć, tylko wciąż mnie obwinia".

Lewis cofnął się pamięcią do chwili, gdy zapoznał się z projektem gmachu. Widział go tak wyraźnie, jakby teraz przed nim stał. Jego elegancka, mlecznobiała, skrząca się bryła wyrastała w miejscu, które tylko lasok palmowy dzielił od brzegów Atlantyku. Ten hotel miał być szczytowym osiągnięciem firmy, jeszcze jednym jej triumfem wśród wielu innych sukcesów, jakie odniosła na terenie kraju - od jednego wybrzeża do drugiego. Miał przypieczętować chwałę spółki architektonicznej Byrne i Synowie, której sieć ARROW od dwudziestu już lat powierzała projektowanie swoich hoteli. To wszystko należało teraz do przeszłości.

A zaczęło się od wizyty w biurze Lewisa pewnego młodzieniaszka o niezbyt ciekawym wyglądzie. Lewis doskonale to zdarzenie pamiętał. Pewnego ranka sekretarka zaanonsowała mu „jakiegoś młodego faceta, który usilnie nalega, by się z panem zobaczyć”.

- Czy to czasem nie jakiś przygłup lub wariat? - zapytał z niepokojem.

- Nie sędzę - odparła - chociaż trudno kogoś tak na oko ocenić. Nazywa się Jerry Victor. Twierdzi, że ma ważną sprawę, bardzo istotną dla firmy. „Tu chodzi o sumienie” - powiedział.

- A więc dobrze, zobaczę go - zgodził się Lewis. - Zrobię to dla świętego spokoju.

- I słusznie pan postanowił - przyznała sekretarka - bo ten facet wygląda na takiego, który nie przestanie przychodzić, póki go pan nie przyjmie.

Jerry Victor był kimś w rodzaju wyższego urzędnika w firmie budowlanej Harold Sprague i Spółka. Wygląd miał celowo niedbały, fryzurę typową dla takich osobników: nie uczesane włosy, związane w koński ogon. Mówił z dużą swadą, był poważny i najwyraźniej wykształcony. Wystarczyło, że powiedział kilka słów, a już Lewis potrafił go określić jako „bojownika, walczącego o sprawę”. Niektórzy ludzie, i Lewis się do nich zaliczał, umięją z miejsca rozpoznać, że facet, z któ-

rym mają do czynienia, jest typem agitatora. Lewis był człowiekiem o konserwatywnych poglądach i nie tolerował osobników o wyraźnych odchyleniach od normy. Niemniej wysłuchał uprzejmie tego, co mu Jerry Victor miał do powiedzenia.

Jego historia była dość prosta. Otóż Victor pracował w małym pomieszczeniu na samym końcu wąskiego korytarza, przedzielającego dwa leżące naprzeciw siebie pokoje biurowe. Któregoś dnia wrócił po pracy do biura, aby zabrać potrzebne mu klucze, pozostawione w szufladzie. Prócz sprzętaczek w biurze nikogo już nie było, zdziwił się więc, usłyszawszy rozmowę dwóch mężczyzn, dochodzącą z pokoju po drugiej stronie korytarza. Był pewien, że jednym z rozmawiających był jego szef, pan Sprague. Mówili cicho, ale przez cienkie ściany dochodziło do Vic-tora każde słowo. Szukał kluczy, ale że nie mógł ich znaleźć, niechcący wysłuchał rozmowę szefa z nieznajomym. Nie zwykł podsłuchiwać, lecz już pierwsze słowa obu panów były tak szokujące, że celowo został, aby dowiedzieć się reszty.

- Więc oferuje mi pan osiem procent? - pytał obcy mężczyzna.
- Tak i jest to bardzo korzystna dla pana oferta.
- Ale była mowa o dziesięciu procentach!
- To trochę za dużo... Niech pan weźmie pod uwagę, że po Byrne'em będziemy dla pana mieli jeszcze dwa inne zlecenia, więc na pewno się to panu opłaci.
- A co by pan powiedział, gdybym zażądał dziewięciu procent?
- Zgoda! Jestem gotów pójść na kompromis, chociaż pan nic nie ryzykuje... Przecież cement można mieszać na różne sposoby, no nie?
- W tym momencie któryś z nich się zaśmiał - zakończył swą relację Victor.

A więc to jest ta rzekomo nieprawdopodobna historia... Mój Boże! Harold Sprague był uniwersyteckim kolegą Lewisa z Yale, a jeszcze przedtem przyjaźnił się z nim w szkole średniej. Podróżowali razem po Europie, a ich rodziny zwykły spędzać wakacje w tej samej miejscowości, w Maine, gdzie mieszkwały w bliskim sąsiedztwie. Nie był w stanie przypisać staremu druhowi podłości, o jaką podejrzewał go ten chło-

piec. Przypuszczał, że młodzieniaszek albo nie zrozumiał, o co w pod-
słuchanej rozmowie chodziło, albo nie dosłyszał słów. Być może chciał
też przy okazji upiec własną pieczeń. Mógł otrzymać upomnienie i
chciał się zemścić. Mógł też być skrajnym radykałem, który świadomie
kłamał i robił to po prostu dla zasady, chcąc zniszczyć firmę, w której
pracował. Ostatnio pojawiali się tego rodzaju maniacy... Sądzę, że
głównie ten cel mu przyświecał - rozumował Lewis.

W każdym razie tak myślał wtedy, gdy go młody pracownik Harolda
Sprague'a odwiedził. Czas i wypadki, jakie nastąpiły później, wpłynęły
na zmianę jego ówczesnych przekonań. Zadumany patrzył teraz przez
okno, przyglądając się światłom miasta, jarzącym się wyraźnie na tle
pograżonego w ciemności Waszyngtonu.

W głębi ducha przyznawał, że przeciwstawił się osądowi Victora
głównie dlatego, że był pod wpływem magii nazwiska Sprague'a. Po-
pełnił błąd. Nie należało tak się zachować. Przebiegł go dreszcz na
wspomnienie tamtego dnia.

- Pańskie oskarżenia są absurdalne! - oburzył się wtedy na swego
gościa. - Przecież nawet pan tych ludzi nie widział.

- Ale poznałem pana Sprague'a po głosie.

- Też coś! To żaden dowód. Radzę panu zapomnieć o tej historii.
Niech pan robi, co do pana należy, i myśli raczej o sobie! - Po reprzy-
mendzie odprawił faceta, a później, jak dobry dowcip, o tej niedo-
rzecznej sprawie opowiedział bratu.

- A ja bym mimo wszystko sprawdził, co się za tym kryje - zapro-
ponował Gene.

- Coś ty? Chyba nie mówisz serio! Naprawdę chciałbyś, żebym tego
rodzaju niepoważnym oskarżeniem obraził Harolda Sprague'a?

- Pomyśl raczej o tym, że w gruncie rzeczy niewiele wiemy o firmie
Sprague'a i jego dostawcach - upierał się Gene. - Przecież jest to pierw-
szy kontrakt, jaki z nim zawarliśmy.

- Ale wiem, jak dobrą reputacją cieszy się Harold na całym zachod-
nim wybrzeżu.

- Nie należało jednak zmieniać podwykonawców. Przynajmniej takie jest moje zdanie. Przecież od dwudziestu lat korzystaliśmy z usług innej godnej zaufania firmy.

- Przeniosłem się do Harolda, bo chciałem dać mu szansę teraz, gdy się zdecydował na ekspansję na wschodnie tereny. I nie zapominaj, że zaferował nam konkurencyjne ceny.

- Mimo wszystko uważam przyjęcie jego oferty za błąd i jestem zdania, że należy się z nim poważnie rozmówić. Jeśli tobie niezręcznie, to ja mogę się z nim spotkać.

- Nie, Gene! Stanowczo ci tego zakazuję.

Jednak Gene udał się do Sprague'a na rozmowę i po tygodniu zrelekcjonował ją bratu.

- Staralem się być taktowny. Powiedziałem mu, że krążą różne dziwne pogłoski i że powinien o nich wiedzieć. Podkreśliłem, że sam w nie nie wierzę. Oczywiście Sprague się wściekł, był bardzo zdenerwowany, ale możesz być spokojny, nie na mnie się złościł.

- Co nie zmienia faktu, że popełniłeś nietakt. To było całkiem niepotrzebne, szczególnie, że opierałeś się jedynie na zarzutach zrzedłego faceta, który ma nie po kolei w głowie.

- Ja bym go tak nie nazwał. Był u mnie przed paroma dniami. Przeżywa trudny okres. Rzucił pracę u Sprague'a.

- I bardzo dobrze. Ten Victor to arogant i rozrabiaka. Rozpytywałem ludzi o niego. Nikt go nie lubi. Wszczął nawet jakieś afery w związku zawodowym.

- Nic o tym nie wiem, ale wystarczy mi spojrzeć na człowieka, by rozpoznać, czy mam do czynienia z kimś honorowym i prawdomównym, czy nie. W większości wypadków się nie mylę. Wierzę, że ten chłopiec jest w porządku.

- Wybacz, ale ja nie ufam tego rodzaju sprawdzianom.

- A ja nie wierzyłbym komuś tylko dlatego, że studiowałem z nim razem w Yale.

Różnica zdań spowodowała dystans między braćmi. Nie była to otwarta wojna, lecz niewielkie ochłodzenie stosunków, jakby w przy-

tulnym i ciepłym pokoju nagle powstał przeciąg. Ten chłód trwał już dwa lata i nie zmienił tej sytuacji fakt, że budowa hotelu została tymczasem zakończona i była uwieńczona ogromnym sukcesem. Powstało istne cacko: wspaniały, luksusowy gmach. Hotel pozbawiony był przesadnych ozdób, gdyż Lewis ich nie uznawał. „Kiedy architektura jest na poziomie, niepotrzebne są żadne ozdóbki” - mawiał.

Tego dnia Lewis stał w miejscu, gdzie niski kwitnący żywopłot oddzielał trawnik od nadmorskiego piasku. Przebiegał wzrokiem cudowną architekturę gmachu, zachwycił się arkadami, które z obu stron okalały budynek, i aleją królewskich palm, tworzących szpaler od głównego wejścia z frontu do ulicy. Stojąc u wejścia, widziało się tylko błękit morskiej wody. Spojrzał w ciemne nocne niebo, na chmury powoli zakrywające nieliczne migające gwiazdy i pomyślał, że wkrótce zacznie padać i pewnie będzie lało przez cały jutrzejszy dzień. Dobrze się stało, że Daisy nie mogła mu tym razem towarzyszyć, po cóż miałyby moknąć? I tak uczestniczyła już w wielu zjazdach architektów i budowniczych, w których on się czynnie udzielał. Obecne spotkanie było jednak dla Lewisa szczególnie ważne, większość zaproszonych gości miała bowiem tu właśnie po raz pierwszy na własne oczy zobaczyć nowe, wspaniałe osiągnięcie firmy Byrne i Synowie. Już zamierzał wejść do środka, gdzie spodziewał się, że czekać go będą muzyka, szampan i coś, na co, szczerze mówiąc, najbardziej się cieszył: gratulacje, gdy nagle powietrzem wstrząsnął straszliwy grzmot. Przypominał piorun, co rozłupuje i powala drzewa, wzbudzając potworny strach u zwierząt i ludzi. Po chwili grzmot rozległ się powtórnie. Szukając schronienia, Lewis instynktownie wbiegł do hotelu. Gdy dopadł drzwi, w upiornym ułamku sekundy zobaczył, że we wnętrzu gmachu, właśnie tam, gdzie się chciał schronić, panuje nieopisany wprost zamęt. To go dobiło. Zdawało mu się, że dostaje zawału, że umiera.

Potężne głązy betonu, poskręcane elementy ze stali, roztrzaskane szkło - wszystko to zalegało podłogę wysokiego na pięć pięter atrium. Trzy ogromne tarasy hotelu runęły na ziemię. Na jego oczach zawalił się na drugim piętrze ostatni, na który stoczył się taras z piętra wyżej.

Razem z nimi spadli na ziemię krzyczący, wymachujący rękami, koziółkujący w powietrzu ludzie.

Teraz Lewis był już pewien, że umiera, i co więcej - chciał umrzeć.

Słychać było, jak obserwujący tę tragedię głośno wciągali do płuc powietrze, by po chwili dać wyraz temu, co czują, głośnym krzykiem, płaczem i przekleństwami. Potem jak jeden mąż wszyscy z miejsca i spontanicznie rzucili się do udzielania pomocy rannym. Lewis wyciągnął spod potężnej belki dziewczynkę, która straciła ramię. Jakiś mężczyzna leżał w kałuży krwi, buchającej mu z ust. Miał szeroko otwarte oczy i za moment już nie żył. Ludzie przywaleni pokładami betonowego gruzu, spod którego ledwie widać było ich głowy, płakali, błagając o pomoc. Ratownicy w samorzutnie utworzonych grupach, po dwie lub trzy osoby, starali się usunąć rumowisko i uwolnić zasypanych. Lewis rozglądał się za bratem, ale nigdzie Gene'a nie widział, a nie było czasu ani możliwości, by go szukać. Betonowe głązy i gruz wypełniły dokładnie całą przestrzeń, nie zostawiając ani kawałka wolnego miejsca, po którym można by się swobodnie poruszać.

Z pękniętych rur wydobywała się woda, tryskając dookoła i zalewając śliską podłogę. Olbrzymia bryła betonu, zbyt ciężka, by ją siłą ludzkich rąk przesunąć, leżała na czyichś nogach. Lewis próbował ruszyć ją z miejsca. Mężczyzna, który znalazł się w potrzasku, krzyczał z bólu i przerażenia, zaklinając Lewisa, by mu pomógł. Po chwili jednak krzyk ustał. Lewis zajął się starszą kobietą, która choć zalana krwią, była w stanie utrzymać się na nogach. Obok leżało dziecko z poszarpaną i pociętą twarzą. Zapewne chłopczyk upadł na ostrą krawędź metalowego ornamentu zdobiącego tarasy. Lewis, patrząc na te makabryczne sceny, dostał gwałtownych torsji.

Z jednej strony holu, na stolikach przykrytych kolorowymi obrusami i przystrojonych kwiatami, położono już sztućce, w drugiej, gdzie mieścił się bar koktajlowy, stało nietknięte pianino, a tuż za nim w Błękitnej Sali układano na kanapkach i dywanach rannych, których udało się wydostać spod gruzu.

Pokojówki, ubrani na biało kucharze i portierzy w kar-mazynowych liberiach zlecieli się tu z całego hotelu, by pomagać przy ratowaniu ludzi.

- Proszę mi pomóc! - ktoś zawołał do Lewisa. - Niech ją pan weźmie za nogi.

Lewis posłuchał. Razem z nieznanym mężczyzną podnieśli z ziemi zemdloną kobietę. Wydała im się bardzo ciężka. Niebawem pojawili się ludzie z ulicy chcący nieść pomoc rannym. „Chyba na dworze już pada” - pomyślał Lewis, widząc, że ubrania nowo przybyłych są mokre.

Choć sam na wpół przytomny, nie ustawał w udzielaniu pomocy potrzebującym. Wciąż się przenośli z miejsca na miejsce, by dotrzeć do każdego rannego. Pracował niezwykle intensywnie, nie przejmując się kurzem, jaki się wokół unosił, ani odłamkami szkła zalegającymi wszędzie, gdzie tylko się ruszył.

Był taki moment, kiedy Lewis miał dziwne wrażenie, że jest świadkiem jakiejś straszliwej rzezi czy masakry dokonującej się na polu bitwy. Czytał o tym w wielu książkach, oglądał takie sceny w niezliczonych filmach. Ale tutaj jeszcze przed kilkoma minutami grała orkiestra i panie miały na sobie wieczorowe stroje!

Wciąż oszołomiony, usłyszał rozdzierające dźwięki syren karetok pogotowia i straży pożarnej. Nadeszły posiłki. Teraz kontrolę nad wszystkim przejęli policjanci, strażacy i sanitariusze. Salę balową, całą w lustrach, zamieniono w kostnicę. Tu właśnie postanowiono przechowywać zwłoki. Było ich bardzo dużo. Wkrótce pojawiła się chmara dziennikarzy i fotoreporterów z kamerami.

Lewis nie był w stanie sobie potem przypomnieć, ile godzin trwała ta makabra. Wydawało mu się, że tkwił na posterunku kilka dni, i dopiero doprowadzony do granic wytrzymałości, w szoku, zdecydował się udać na spoczynek do apartamentu przygotowanego dla niego i Gene'a w hotelu.

Z holu wyniesiono już zmarłych i rannych. Zrobiono dla nich wszystko, co było możliwe na miejscu; reszta należała do szpitali.

W owym feralnym dniu doszło jeszcze do straszliwej kłótni między Lewisem i jego bratem, Gene'em. Lewis zapamiętał każdy jej szczegół.

Gene otworzył butelkę brandy.

- Bóg jeden wie, jak bardzo jej potrzebujemy - powiedział. - To, co się działo w holu, było istnym piekłem -dodał.

Na tarasie siąpił deszcz. Podniósł się silny wiatr i szeleścił wśród palm. W pewnej chwili podmuch otworzył drzwi.

- Jakiś idiota ich nie domknał! - zawołał Lewis i wstał, by je zatrzasnąć. - Jestem zły na cały świat, Gene! To, co się stało, nie powinno się było zdarzyć. Jeszcze przed chwilą był tu bal i muzyka, a teraz amputują w tej sali nogi. Posłuchaj, jak wyje wiatr. Tylko huraganu nam teraz brakuje...

Gene nalał sobie kieliszek i siedział, gapiąc się w ścianę. Lewis wciąż stał w oknie, wstrząsały nim dreszcze i patrzył przed siebie, nic nie widząc. Po chwili usłyszał, że Gene coś mamrocze, i odwrócił się w jego stronę.

- Co tam mruczysz pod nosem? - zapytał.

- Tak sobie mamroczę. Próbuję zsumować, ilu było zmarłych, a ilu rannych. Jak myślisz, ilu?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że o wiele za dużo. O Boże! Dlaczego się tak stało? - zapłakał. - Jak mogło do tego dojść?

- Powiem ci jak... Wtedy, gdy przyszedł do nas Jerry Victor i przestrzegał nas przed panem Sprague'em, powinniśmy byli od razu zacząć działać. Teraz chyba zrozumiałeś, że wówczas - a było to dwa lata temu - miałem rację. Przykro mi, że ci to mówię, ale taka jest prawda.

- Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski. Jeszcze nie wiemy, co było przyczyną katastrofy, a ty już wyrokujesz, kogo należy obarczyć winą.

- Doskonale wiemy, jaka była przyczyna katastrofy: zły cement! Nawet pod palcami dawało się wyczuć, że to tani materiał i źle wiąże. Tej nocy sprawdziłem wszystko, co tylko możliwe, i mogę przysiąc, że prętów stalowych też dali za mało. A przecież właśnie zbrojenie prętami wzmacnia wytrzymałość betonu. Zaufaliśmy wykonawcy i to był błąd, choć tak naprawdę tylko ty mu zaufałeś, bo ja nie! A teraz nas uczynią

odpowiedzialnymi za katastrofę i, prawdę mówiąc, zasługujemy na to, by nas obarczyć winą.

- Nie widzę powodu. Przecież sam mówisz, że to dostawca oszukał Sprague'a. Czy jesteś pewien, że beton był zły jakości?

- Oczywiście, że tak. Idź na dół i sam sprawdź! Ale trzeba zacząć od tego, że nigdy nie chciałem współpracować ze Spragiem - perorował Gene. - Dobrze wiesz, że nie chciałem. A teraz już po nas... Firma jest skończona, zniosą ją z powierzchni ziemi. Czy ty zdajesz sobie z tego sprawę?

- Powtórzę jeszcze raz, że zbyt pochopnie wyciągasz wnioski, a poza tym jesteś pijany... Pamiętaj, że pijesz brandy, a nie wodę.

- Chcę się upić. Czy ty sobie uświadamiasz, ilu ludzi zginęło tej nocy? A wielu jest takich, co pozostali przy życiu, lecz nigdy już nie będą mogli chodzić? To wszystko stało się z powodu twojej głupoty!

- Do diabła! Jak śmiesz tak mówić?

- Owszem, śmiem! Przecież do katastrofy doszło z winy twego przyjaciela. Boże, chroń nas przed takimi przyjaciółmi! Bałeś się tylko o jedno: żeby broń Boże Sprague się nie obraził. Tobie najwyraźniej brak społecznej wrażliwości... ot co!

- Chyba straciłeś rozum. Wszystko jedno, czyś mój brat, czy swat... Gdy wytrzeźwiejesz, nie pozwolę, by ci to uszło na sucho.

Przed świtem zadzwonili właściciele sieci ARROW HOTELS INTERNATIONAL. Cała ich wściekłość skrupiła się na obu współnikach.

- Uchodziliście za najlepszych w tej branży i dlatego wam powierzyliśmy tę robotę, a wy ją spapraliście. Coście, u diabła, zrobili? A raczej - czegoście nie zrobili? O dziesiątej waszego czasu oczekujcie, że zadzwonią do was nasi prawnicy, a my staniemy przed wami jutro rano, gdy tylko wyląduje concord.

„I tak wkroczyliśmy w gąszcz prawnych przepisów i czynności - wspominał Lewis - i nadal błądzimy po tej nieprzebytej puszczy, krążąc po niej po omacku od wielu miesięcy, by nie powiedzieć: lat, i wciąż na próżno szukamy jakiegoś światełka”.

Prawnicy usiłują znaleźć winnych, na których można by zwalić odpowiedzialność lub choćby w jakiś sposób rozłożyć winę na kilka podmiotów. Dostawca na pewno oszukał wykonawcę (O, tak! Przyznaję, że Gene miał rację, cement był podłego gatunku). Wykonawca zaś albo jest niewinną ofiarą, albo kimś, kto powinien odpowiadać za karygodne zaniedbanie. Na samej górze tej piramidy są architekci i właściciele hotelu i też nie wiadomo, czy należy traktować ich jako ofiary, czy jako współwinnych. Jak tu dojść prawdy? Jedni obwiniają drugich, wszyscy się wzajemnie oskarżają, a rodziny tych, co zmarli lub odnieśli rany, pozywają do sądu każdego, kto znajdzie się w zasięgu ich wzroku.

Jakby tego było mało, w pewnym momencie w bojowe szranki wkroczył także pan Jerry Victor, starszy już o parę lat, ubrany w przyzwoity garnitur i dobrze uczesany. Okazało się, że wnikliwemu reporterowi ma do opowiedzenia bardzo interesującą historię. Zgadnijcie, dokąd udał się reporter po przeprowadzeniu wywiadu z Jerrym Victorem. Oczywiście, prosto do Lewisa Byrne'a. Potem Lewis dostał wezwanie z sądu, aby się wytłumaczył i wyjaśnił najlepiej jak potrafi, jaki to idiotyczny powód powstrzymał go od przeprowadzenia śledztwa w sprawie betonu. Na tejże sali sądowej Eugene Byrne zrelacjonował, jaki był w tym jego udział, i opowiedział, jak to prosił swego brata, by się rozmówił ze Spragiem, a brat odmówił...

Dobrze, że cała sprawa wreszcie dobiegła końca, choć Lewis uważał, że dla niego nigdy się ona nie zakończy. „Czy kiedykolwiek - myślał - przestanę widzieć straszny wyraz twarzy tej dziewczynki z krwawym, potwornie okaleczonym barkiem, która straciła ramię? Nie znam się do

statecznie na fizjologii ludzkiego ciała, by wiedzieć, czy już nie żyła, gdy ją podniosłem, czy była umierająca, czy też w szoku. Ciągłe także słyszę głos starszego oszalałego mężczyzny, który, krzyżąc, wciąż przyzywał kobietę o imieniu Julia".

- Co ty tam szepczesz, Lewisie? - spytała Daisy. - Już usypiałam, gdy nagle usłyszałam, że coś mówisz. Chodź do łóżka! Dochodzi północ.

- Rozmyślałem o różnych sprawach - odpowiedział. - Między innymi o moim wrednym bracie.

- Daj już temu spokój, kochanie! Nie warto o nim myśleć.

- Owszem, zgadzam się, że popełniłem wielki błąd. Ale mój brat nie okazuje mi ani odrobiny zrozumienia, nie ma dla mnie cienia litości. Świadczy przeciw mnie w sądzie, oskarża o brak społecznej wrażliwości. Możesz to sobie wyobrazić? Mnie, człowieka, który bezinteresownie pracuje dla rządu tylko za symbolicznego dolara, oskarża o brak społecznej wrażliwości, podczas gdy sam nadal zarabia krocie jako doradca!

- Przestań już, Lewisie! Niepotrzebnie się ekscytujesz. - Przytuliła się do niego, objęła ramionami i wargami muskała po karku. Mimo iż wspólnie przeżyli już tyle lat, wciąż jeszcze potrafiła wyjść naprzeciw jego pragnieniom. Ale tej nocy zbyt mocno dręczyły go ciężkie myśli, by mógł zareagować na jej pieszczoty. Wyczuła to i delikatnie się wycofała.

- Nasze ostatnie lata - powiedziała - były chude. Zaslugujemy teraz na kilka lat tłustych i jestem pewna, że takie właśnie nas czekają...

- Społeczna wrażliwość... - powtórzył, jakby nie słyszał słów żony. - Taki snob! Gene wciąż nie przestaje się chlubić, że jego żona, Susan, pochodzi z rodu pierwszych osadników, którzy przyплыли do Ameryki na statku „May-flower”. Wystarczyło zobaczyć, jak traktował Ellen, gdy się zakochała w Marku. Możesz mi wierzyć, Daisy, że sto razy wolalbym mieć Marka za zięcia niż tego, którego my mamy, choć Andrew pochodzi z lepszej rodziny. I co z tego, że Mark jest Żydem? Nie wiem, czy wiesz, że Ellen skarżyła się Cyntii. Mówiła, że mieli ciężkie

przejścia z Gene'em z powodu Marka. Mój Boże, przecież **Artur** Roth też jest Żydem, a mnie to nie przeszkadza. Był **moim** księgowym przez trzydzieści lat, a przedtem pracował u mego ojca. Dla mnie ten człowiek to prawdziwy skarb... sól ziemi.

- Na miłość boską, Lewisie, przestań się irytować, bo ci to zaszkodzi. Dostaniesz zadyszki.

- Nic ci nie mówiłem, ale kiedy ostatnio byliśmy w Nowym Jorku z wizytą u Cyntii, przypadkowo na ulicy spotkałem Gene'a. Nie powiedziałem ci o tym, bo nie chciałem cię denerwować. Zobaczyłem go, gdy zbliżał się w moją stronę z drugiego końca bloku. Co za szczęście, że jestem dalekowzroczny... Miałem dość czasu, żeby przejść na drugą stronę ulicy i zatrzymać się przed jakąś wystawą. Możesz mi wierzyć lub nie, ale na jego widok wszystko się we mnie gotuje.

- Dobrze, że go nie musisz widywać. Teraz powinniśmy się starać zrobić coś dla Cyntii. Mam nadzieję, że pobyt u mamy będzie udany. Ilekroć jesteśmy w twoim starym domu, mam wrażenie, że czas się cofnął i przenoszę się w dawną epokę, kiedy ludziom żyło się łatwiej i spokojniej. Zadbane mahoniowe meble, kwiaty na stole, psy wy-czesane i wy szczotkowane... Stary George jak dawniej zajmuje się ogrodem, Jenny nadal jest w kuchni, a twoja matka jak zawsze pogodna i w dobrym humorze.

Dopiero te słowa wywołały wreszcie uśmiech na twarzy Lewisa.

- Masz rację - powiedział. - Mama ma w sobie coś, co przyciąga do niej ludzi. Jenny zapewniła mnie ostatnio, że oboje z George'em pragną zostać z mamą do końca jej życia. - Zachmurzył się i dodał: - Biedna mama... W jej wieku nie powinno się przeżywać bolesnych wstrząsów. Nie wiem, czy i ty coś podejrzewasz, ale ja się zastanawiam, czy mama nie poprosiła nas o przybycie, bo z jej zdrowiem jest coś nie w porządku. Mama nigdy nie narzeka, jeśli jednak rzeczywiście niedobrze się czuje, to się cieszę, że właśnie mnie chce w takim momencie zobaczyć.

Ze strony Gene'a na pewno nie otrzymałaby potrzebnej jej pomocy.

- Nie martw się, mój drogi! Nie sędę, żeby mama źle się czuła. Po prostu chciała dać Cyntii jakąś szansę... To będzie wspaniała okazja dla całej naszej trójki... A teraz chodźmy już spać.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po powrocie do domu Gene Byrne rzucił okiem na stertę listów piętrzącą się na biurku i od razu zwrócił uwagę na kopertę leżącą na samym wierzchu. Jego gosposia, Anna, położyła ją tam, wiedząc, że list od matki jest dla niego najważniejszy.

Uśmiechnął się i od razu zasiadł do czytania. Matka zapraszała go na obiad i proponowała, żeby spędził u niej cały dzień. Mogła mu to zaproponowanie przekazać przez telefon, ale takie załatwienie sprawy nie byłoby w jej stylu.

„ Chcą Cię prosić - pisała - żebyś nie wspomniał o moim Uście Elen. Byłoby jej przykro, a chyba nie muszą Ci mówić, jak bardzo kocham Twoją córkę i jej dzieci. Zaproszą ich wkrótce, ale tym razem chciałabym gościć tylko Ciebie”.

Czyżby niezmordowana dotąd Aneta Byrne zaczynała się starzeć? - zastanawiał się Gene. Małe dzieci, a już szczególnie jego ukochana wnuczka, Lucy, są męczące; mogą wyprowadzić z równowagi nawet młode, mające zdrowe nerwy, osoby. Cały dzień biegają, wszędzie ich pełno, co chwila coś rozleją i bez przerwy zadają pytania. Doskonale rozumiał, co matką powodowało, a jednak miał do niej żal.

Właśnie wrócił z biura. Lubił swoją pracę i rad był, że dokładnie wypełnia mu czas. Mieszkając w Nowym Jorku, nie mógł też uskarżać się na brak rozrywek: bywał w teatrze, chodził na koncerty, często miał zajęte wieczory.

Niemniej zdarzały mu się takie dni i godziny, kiedy boleśnie odczuwał swoją samotność.

Jego życie uległo radykalnej zmianie, odkąd córka wyszła za mąż, syn przeniósł się do Londynu, a przede wszystkim od kiedy umarła mu żona. Wydawało się oczywiste, że w tej nowej dla siebie sytuacji nieraz będzie czuł się samotny, ale nie narzekał. Uważał, że nie ma prawa narzekać, choć czasem trudno mu było ukryć żal.

Gospoia zostawiła mu jedzenie w piekarniku. Znając jego upodobania, nakryła do kolacji stół przy oknie, z którego miał widok na East River. Lubił podczas posiłku obserwować pływające po rzece łodzie i patrząc z wysoka na ulice, po których hulał wiatr, popijać wino z kryształowego kieliszka. Haftowana serweta pod jego talerzem oznaczona była inicjałem SJB od pierwszych liter imion i nazwiska jego żony, Susan Jane Byrne. Serweta wciąż dobrze się prezentowała, chociaż należała do wyprawy, jaką Susan dostała od rodziców, gdy wychodziła za Gene'a za mąż, a było to trzydzieści dwa lata temu.

O wiele za wcześnie go opuściła, ale rak nie wybiera swych ofiar według wieku. W przyszłym tygodniu - uświadomił sobie nagle Gene - minie dziesięć lat, od kiedy przeniósł się do tego „kawalerskiego”, jak je nazywał, mieszkania. Przeprowadził się po śmierci żony i po ślubie Ellen, który nastąpił w kilka miesięcy potem. Gene nieraz myślał, że skoro już Susan musiała umrzeć, to chociaż dobrze, że oszczędzone jej zostały takie nieprzewidziane zmartwienia jak fatalne małżeństwo córki czy ta straszna katastrofa, która wydarzyła się w hotelu.

Sam wolał tych spraw nie rozpamiętywać. Na szczęście miał pracę, był zajęty, nie tak jak jego brat, który, jak można się było domyślić ze skąpych wiadomości, jakie do Gene'a docierały, popadł w gnuśną bezczynność.

Z faktami się nie dyskutuje, trzeba się z nimi pogodzić, i Gene się pogodził. Uznał nawet, że małżeństwo Ellen okazało się nie tak złe, jak to się na początku wydawało. Szczególnie dzieci były cudowne... Natomiast jeśli chodzi o ten drugi słaby punkt w jego raczej szczęśliwym życiu - miał bowiem dobrych rodziców i kochaną żonę - to wiedział, że ta plama nigdy nie da się wymazać. Po prostu musi się starać nie wracać myślami do tego wydarzenia.

W tym tygodniu wypada szósta rocznica tej tragicznej katastrofy, więc trudno by mu było o niej nie myśleć. Kiedy wczoraj wracał do domu, nadciągnęła gwałtowna ulewa i od razu przypomniała mu się tropikalna burza, jaka rozszalała się owej feralnej nocy. Przyszły mu na pamięć ociekające wodą peleryny policjantów, błyszczące w deszczu płyty chodników, podjeżdżające ambulanse, szaleńcza biegania, głośne nawoływania, krzyki i warkot unoszących się nad głowami helikopterów. „W kostnicy nie ma już miejsca - ktoś wtedy referował. - Trupy kładzie się na podłodze”.

Ta tragedia nie powinna się była wydarzyć. Rozważając jej przyczyny, można wysnuć wniosek, że w tym wypadku chodziło jedynie o dwie sprawy: honor i prawdę. Gdyby tylko Lewis dał Victorowi posłuch, kiedy przyszedł, by opowiedzieć mu swoją historię, nie doszłoby do katastrofy. Ale Lewisowi za bardzo imponowała rodzina Sprague'ow i ich letni domek we Francji, gdzie w każde wakacje przyjmowali u siebie ambasadorów i ludzi finansjery. Dlatego ani sam nie zbadał sprawy, ani nie otworzył ust, by dać świadectwo prawdzie.

- Nikt mnie nigdy nie przekona - powiedział sam do siebie po raz tysięczny - że Victor nie mówił nam wtedy prawdy. Kłamstwem natomiast jest sugerowanie, że chciał wszcząć rozróbę. Przecież mógł złożyć skargę do sądu i udowodnić, że złamano w stosunku do niego prawo, gdy ujawnił nadużycia w firmie. Obiecano mu podwyżkę, a potem nagle mu jej odmówiono. Zlecono mu wykonanie pewnej pracy, do której nie był przygotowany i którą w rezultacie sknocił. Zrobili to celowo: chcieli, żeby ją sknocił. Przeznaczyci go na odstrzał i on o tym wiedział. Dlaczego nie zaskarżył ich do sądu? Nie zrobił tego - jak sam stwierdził - „bo jest młody i ma jeszcze przed sobą całe życie”. Podziwiam go.

Najmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że gdyby Victor, zjawiając się w naszej firmie, wyglądał tak elegancko i solidnie jak kilka lat później w sądzie, Lewis z pewnością poważniej by go potraktował.

Daisy jest skończoną snobką i na pewno ma zły wpływ na Lewisa. Za kogo się ona, do diabła, uważa? Pochodzi z rodziny, która niewarta

jest funta kłaków. Nikt o niej nigdy nie słyszał. I pomyśleć, że moja Susan była taka skromna, chociaż należała do rodu, który właściwie można by uznać za arystokratyczny, wywodził się bowiem z pierwszych imigrantów, tych, co przyплыnęli do Ameryki na statku „Mayflower”.

Niemniej to córka Daisy wyszła dobrze za mąż, a nie nasza Ellen. Takie niespodzianki sprawia nam życie... Nigdy nie wiesz, co cię czeka za rogiem. Jak ten niewypowiedziane tragiczny wypadek, który się przydarzył bliźniakom Cyntii. Szczęśliwie byłem w tym czasie w Londynie i nie uczestniczyłem w ich pogrzebie. Jakże smutna musiała to być ceremonia! Wiem z tego, co mi opowiadała Ellen, że wszyscy strasznie przeżywali... Mogę sobie wyobrazić... chociaż nie, nie mogę... Gdyby coś takiego spotkało Lucy i Freddiego, chyba bym oszalał.

Moje wnuki są nie tylko piękne, ale także mądre, słodkie i całkiem podobne do Ellen. Nie chcę przez to powiedzieć, że Mark nie jest przystojnym mężczyzną. Jest, i to bardzo, a także ubiera się naprawdę elegancko. Jeśli się pracuje w znanej galerii sztuki w samym sercu miasta, to oczywiście musi się przyzwoicie wyglądać. Ciekaw jestem, ile on zarabia. Sądzę, że niezbyt wiele, bo inaczej nie gnieździłby się w budynku przerobionym z dawnego domu towarowego, w złym punkcie, zamiast mieszkać tu, w naszym sąsiedztwie, blisko parku, tak jak Cyntia. Mieszkanie w dzielnicy przemysłowej wśród szarych i ponurych magazynów i fabryk musi być przygnębiające. Pełno tam wszędzie platform i lor, a chodniki są rozklekotane. Człowiek ma uczucie, jakby oddychał zatrutym powietrzem. Najprawdopodobniej jest ono rzeczywiście skażone przemysłowymi wylizkami. W dodatku nie ma tam żadnych drzew czy zieleni, które mogłyby te wylizki absorbować. Gdzie, na miłość boską, będą się ich dzieciaki bawić?

I jakie towarzystwo będą tam miały? Z kim się będą spotykać?

Ale Ellen wydaje się całkiem zadowolona, więc może to był jej wybór. Nie wiem. Zawsze była niezależna i nie dawała sobie niczego narzucić. Jak większość artystów... Być może któregoś dnia Ellen wyrobi sobie nazwisko i będzie sławna. Taka szansa powstanie jednak dopiero

wtedy, gdy jej dzieci podrosną i pójdą do szkoły. Kiedyś widziałem u niej na sztalugach naprawdę bardzo dobry obraz... Pracownię malarską urządziła sobie od północnej strony tego wielkiego pokoju. Jest co prawda ogromny, jak fabryczna hala, ale mój Boże, tam skupia się ich życie. Tam gotują, jedzą, ona pracuje, dzieci się bawią; właściwie robią wszystko prócz spania i najwyraźniej wydają się szczęśliwi, będąc cały czas razem.

Gdy Ellen uciekła z domu, omal nie dostałem ataku serca. Dlaczego, mając tyle kontaktów i możliwości, musiała akurat wybrać sobie na męża kogoś, kto się nazywa Mark Sachs? Nie żebym miał coś przeciwko Żydom... Choć, prawdę mówiąc, nie za bardzo ich lubię. To dziwni ludzie. Nigdy nie wiem, co naprawdę myślą. Nie czuję się swojsko w ich towarzystwie. Lecz właściwie niczego nie mogę zarzucić Markowi. Skłamałbym, mówiąc, że Mark nie jest dżentelmenem. Ale jego rodzice, a zwłaszcza ojciec...! Co z tego, że jest lekarzem, ma podobno pod sobą cały szpitalny oddział i spory personel, ja i tak nie mogę na niego patrzeć. Wystarczył mi ten jeden jedyny raz, kiedy go widziałem dziewięć lat temu... Tego było aż nadto... Nie chciałbym nigdy więcej oglądać jego czarnej brody. Siedział z kwaśną miną i nie chciał nic jeść. Ellen mi obiecała, że więcej nie będę go już musiał oglądać, i chwała Bogu, dotrzymała słowa. Muszę przyznać, że ten doktor także nie jest ciekaw mnie widzieć... To była wzajemna niechęć od pierwszego wejrzenia, szczególnie z jego strony. Wyczułem to natychmiast, w tej samej chwili, w której wszedł do pokoju. Matka Marka nie wydaje się taka zła, ale ma donośny i płaczliwy głos, jest przeczulona i nadpobudliwa. To są ortodoksi. Nie podoba im się, że moja córka została ich synową. Nie jest dla nich wystarczająco dobra. Mogę sobie wyobrazić, co na nas wygadywali potem w domu. Ze też muszę mieć coś wspólnego z ludźmi tego pokroju... A moje wnuki na zawsze będzie łączyć z nimi pokrewieństwo i będą z nimi całe życie związani...

Mogę się założyć, że stary Sachs nie dał Markowi i Ellen ani grosza, bo nie akceptuje tego małżeństwa. Ja natomiast złożyłem dla nich pieniądze w funduszu powierniczym, o czym oni nawet nie wiedzą.

Chciałbym już teraz wiele rzeczy im dać, ale nie chcą przyjąć. Ellen mówi, że niczego nie potrzebuje, a Mark twierdzi, że ceni sobie swoją całkowitą niezależność. Właściwie należy im się za to uznanie i mam je dla nich. A to, co dla nich przeznaczyłem, dostaną po mojej śmierci. Z wyjątkiem biżuterii po Susan, którą Ellen odziedziczyła i ma u siebie. Bardzo piękne klejnoty, ale Bóg jeden wie, czy ona w ogóle je nosi. A swoją drogą nie by tym Żydom nie zaszkodziło, gdyby sprezentowali coś matce swoich wnuków, nawet jeśli jej nie lubią. Dobrze chociaż, że ja nie muszę z nimi mieć żadnego kontaktu. I tak będzie do końca, co do tego nie ma dwóch zdań...

Gene wypił kawę. Jeszcze raz spojrzął na list od matki i znowu się zastanowił, czy nie kryje się za tym jakiś powód do zmartwienia.

„ Przyjedź wcześniej - pisała. - Oczekują Cię nie później niż o dziesiątej”.

W porządku. I tak zawsze wcześniej wstaje; szybko zje śniadanie i wyruszy w drogę. Ale dlaczego akurat o dziesiątej? Może matka chce zwołać jakąś konferencję z udziałem lekarza i adwokata? To go zaniepokoiło, bo spotkania z lekarzami czy adwokatami niemal zawsze oznaczały zmartwienie. Matka ma i bez tego dość zmartwień: tragedię Cynthii i pogłębiającą się wrogość między swoimi dwoma synami.

Wstał i przygotował sobie notatkę, aby nie zapomnieć: „Pójść do księgarni - kupić mamie album o angielskich zamkach i dobrą powieść - także duże pudło czekoladowych makaroników”.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W pięknym mieszkaniu po drugiej stronie parku Centralnego Aaron Sachs i jego żona, Brenda, właśnie zasiedli do kolacji.

- Musimy jutro wcześniej wyjechać z domu, jeśli mamy po drodze wstąpić po Marka i Ellen - przypomniała mężowi Brenda.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego oni nie kupią sobie samochodu. Przecież na tani wóz na pewno byłoby ich stać.

- Oczywiście, że tak. Ale po co komu na Manhattanie samochód?

- Słusznie! Ty zawsze masz rację, kochanie... - zauważył Aaron i mrugnął figlarnie do żony.

Nieraz, zwłaszcza gdy zdarzało mu się być w złym humorze, jej trzeźwy sposób myślenia nieco go raził, ale przeżyli razem wiele lat i ona wciąż mu się wydawała nieocenionym skarbem. Dostrzegał w niej sporo zalet: była dobronudna, życzliwa, a jednocześnie pełna temperamentu i niemal tak samo piękna jak w dniu ich ślubu.

Tego wieczoru nie tyle nie miał humoru, co czuł się bardzo zmęczony. W dzień przeprowadzał skomplikowaną operację: przypadek wydawał się raczej beznadziejny i zabieg po prostu nie mógł się udać. A teraz jeszcze ten list od Anety Byrne, wprowadzający dodatkowe zamieszanie w jego niełatwe życie. Komu by się chciało w środku zimy wyjeżdżać samochodem za miasto po to, by złożyć wizytę kobiecie, której prawie nie znał? Tylko jeden raz był w jej domu i od tego czasu minęło dziewięć lat. Wziął jej list do ręki i ustawił przed talerzem, ale zrobił to tak niezręcznie, że go poplamiał pomidorowym sosem.

- Jaka szkoda... To taka piękna papeteria... - usłyszał od żony.

- Mam w nosie jej papeterię. Wiesz, co pisze?

„Bardzo mi zależy na tym, żebyście się wszyscy u mnie zjawili. Lucy i Freddiego czeka miła niespodzianka: mamy nową labędźką rodzinę, którą będą mogli sobie obejrzeć. Raz jeszcze najserdeczniej Was zapraszam”.

- Nie rozumiem, dlaczego jej tak bardzo zależy na naszym przyjeździe. Nie domyślasz się przypadkiem, o co tu chodzi?

- Nie widzę niczego dziwnego w jej prośbie. Jest stara i samotna. Chce spędzić trochę czasu ze swoimi wnukami i z ich najbliższą rodziną. To bardzo taktowne z jej strony, że nas do tego grona zaliczyła.

- Przecież jesteśmy rodzicami Marka, no nie?

- Mimo to wcale nie musiała nas zapraszać.

- Co mi z tego, kiedy nie będę mógł u nich nic jeść? Pewnie poda pieczoną szynkę.

- Nie sądzę, żeby miała nas podejmować właśnie szynką. A jeśli nawet, to bez względu na to, jakie będzie mięso, zawsze możemy poprzestać na samych jarzynach. Zwykle tak postępujemy, więc i tym razem postąpimy podobnie.

- Moim zdaniem oni nie mają pojęcia o dobrym jedzeniu. Cokolwiek podadzą, wszystko jest bez smaku.

- Na ogół nie ma u nas dobrego jedzenia, pewnie dlatego ludzie chodzą do francuskich restauracji.

- Ależ ja tylko żartowałem, moja droga, a ty to bierzesz dosłownie... Jeśli dobrze pamiętam, starsza pani wciąż jest piękną kobietą i ma bezpośredni sposób bycia. Sam nie wiem, czemu przebywanie w ich domu zawsze trochę mnie krępuje. Trudno przypuszczać, że dlatego, iż nie jestem przyzwyczajony do wielkopańskiego przepychu, bo przecież ich dom nie ma w sobie nic z pałacu, przeciwnie -cehuje go niezwykła prostota. Inna rzecz, że właśnie uzyskanie takiego efektu jest szczególnie trudne i kosztowne.

Trzeba ogromnego majątku, żeby utrzymać taki dom, nie mówiąc już o jego zielonych terenach i ogrodzie.

- Słuchając ciebie, można by pomyśleć, że sam mieszkasz w jakiejś ruderze. A tymczasem mamy eleganckie, pięciopokojowe mieszkanie, usytuowane w tak dobrym punkcie, jakim jest Central Park West. Nieźle mieszkamy, naprawdę!

- Ależ oczywiście! Przecież wcale nie mówiłem, że my źle mieszkamy.

- Więc zachowuj się odpowiednio do naszego statusu. Nie bądź za skromny, bo podobno należysz do arystokracji.

- Powiedziałbym, że to bardzo swoista arystokracja.

- Dla mnie jesteś amerykańskim arystokratą... Mieszkałeś we własnym domu pod miastem. Chodziłeś do prywatnej szkoły. I co więcej, już twoi dziadkowie urodzili się w tym kraju. Ja natomiast mieszkałam w podłej dzielnicy Washington Heights, tam gdzie gnieździła się większość uciekinierów i azylowców z Europy, i za pożyczone pieniądze kończyłam szkołę pielęgniarstwa. Kiedy porównuję nasze życiorysy, jawisz mi się jako prawdziwy arystokrata.

Aaron lubił żartować i prowokować żonę. Może dlatego, że była poważna i wszystko brała na serio. Zawsze mógł się z niej pośmiać, choć często trwało to tylko kilka sekund - od chwili, gdy usłyszała, co powiedział, do momentu, kiedy zrozumiała, że to żart.

- Mark szczerze ją kocha - powiedziała. - Wiele razy mi to mówił.

- Kogo kocha? Ellen? Przecież powinien... jest jego żoną.

- Nie, Aaronie, dobrze wiesz, że mam na myśli nie Ellen, ale jej babkę. Była im zawsze bardzo bliska. To przykre, że jej dwaj synowie od lat ze sobą nie rozmawiają. Wiem o tym od Marka. Biedna pani Aneta musi cały czas balansować między jednym a drugim.

- Ach te „osy”^{*2}...! Nie mają poczucia więzi rodzinnej.

² * Osa - to po angielsku *wasp*; skrót WASP powstał z początkowych liter *White Anglo-Saxon Protestants*, biali anglosascy protestanci (przyp. tłum.).

- Dlaczego tak brzydko ich nazywasz? Przecież osy to wredne insekty!

- Dobrze! Niech ci będzie! A więc Anglosasi nie mają poczucia rodzinnej więzi. Nic przeciwko nim nie mam... choć właściwie mam, zwłaszcza przeciwko niektórym. Są zimni, wyrachowani i skąpi. W chwili, gdy dzieci dorastają, rodzice przestają się nimi interesować: dorosły, wyszły z domu, więc mają je z głowy... Ciekaw jestem, czy ojciec Ellen wie o perłach, które jej ofiarowałaś, i o tym, co odłożyliśmy dla wnuków. Moim zdaniem ci ludzie zamykają się we własnych domach jak w lodówkach. Nie umieją wyrażać swoich uczuć. Jedyne, co potrafią, to uprzejmie, półszepem ze sobą rozmawiać, no i zawsze są zapięci na ostatni guzik. Ci ludzie wydają się pozbawieni uczuć.

- Mówisz głupstwa, Aaronie. Przecież niewiele o nich wiesz. Powtarzasz tylko utarte, szablonowe stereotypy, nic więcej.

- Znam się na ludziach.

- Nieprawda! Wcale się nie znasz. Tak naprawdę znasz się jedynie na ludzkich połamanych kościach. Jak możesz tak źle o tych ludziach mówić, skoro twoja własna synowa jest najłodszą osobą pod słońcem? Przecież dobrze o tym wiesz! - Ciemne, delikatnie zarysowane brwi Brendy coraz wyżej się unosiły, w miarę jak obserwując męża, czekała na jego odpowiedź. Wiedziała, że Aaron bardzo lubi Ellen, że jest jej wdzięczny za to, iż dała szczęście jego synowi.

Aaron lubił Ellen, ale uważał, że byłoby równie dobrze, gdyby Mark ożenił się nie z nią, lecz na przykład z córką Cohenów. Jennifer Cohen była piękna i Aaron długo miał nadzieję, że z jej znajomości z Markiem wyniknie coś dobrego. A jeśli nawet nie z nią, to syn mógłby się przecież ożenić z kimś pochodzącym z każdej innej zaprzyjaźnionej z Sachsami rodziny. Razem obchodziliby wtedy wszystkie święta i czuiliby się w rodzinie synowej tak swojsko jak u siebie. A o czym miałyby mówić u Anety Byrne, w jej wspaniałym ziemskim majątku? Zirytowany mruknął pod nosem coś, czego Brenda nie rozumiała.

- Jesteś zmęczony, kochanie - powiedziała.

- Wcale nie - zaprotestował. Nigdy nie chciał się przyznać do zmęczenia.

- Owszem, jesteś! Poznaję to po twoim gderaniu. Jesteś nie tylko zmęczony, ale jeszcze dodatkowo przejęty zaproszeniem do Anety Byrne.

- Nie, nie jestem. Ale zaproszenie sprawiło, że przypomniały mi się sprawy, o których wolałbym zapomnieć. Przecież nasz Mark przestał chodzić do synagogi, chociaż niejedną raz go o to prosiłem.

- Ale Mark czuje się Żydem i mówi o tym bez żenady. Tyle że uważa się za człowieka świeckiego.

- Świeckiego? Do diabła z tym! Nie ma w tym nic godnego pochwały.

Brenda westchnęła.

- Nie potrafię ci powiedzieć, czy jest w tym coś dobrego, czy nie... Ale takie jest dzisiaj życie, taki jest świat, a przynajmniej duża jego część, i nic na to nie poradzimy.

- Ciekaw jestem, jakie będą ich dzieci. Spójrz, jakie są ładne! - powiedział, wskazując ręką na zdjęcie stojące na pianinie.

Fotografie umieszczone w podwójnej ramce przedstawiały siedzące obok siebie dzieci. Freddie nie miał jeszcze wtedy dwóch lat, trzymał piłkę i uśmiechał się wesoło, pokazując drobne ząbki. Lucy, która właśnie skończyła sześć lat, miała jasne włosy całe w loczkach i sukienkę w falbankach. Uśmiechała się z kobiecym niemal wdziękiem.

- Kiedy na nie patrzę, wydaje mi się, że są podobne do mojej mamy - powiedziała Brenda. - Chyba dziedziczą urodę po mojej rodzinie.

- Są bardzo ładne - powtórzył Aaron i oczy mu zwilgotniały. - Ale co z nich wyrosnie? Kim w przyszłości będą?

- Sądzę, że rodzina Ellen też się nad tym zastanawia. W każdym razie my nic w tej sprawie nie możemy zrobić.

Przez kilka minut żadne się nie odezwało. Niewielki stół, przy którym jedli kolację, stał przy oknie. Patrzyli przez nie na rozciągający się na dole park, a w nim na lodowisko. Z tej wysokości wyglądało jak lustro usiane poruszającymi się czarnymi kropkami.

- Nie jest chyba aż tak mroźno, by można się bezpiecznie ślizgać - zastanawiała się zaniepokojona Brenda.

- Coś ty! Przecież to jest sztuczny lód.

- Nie pamiętam, czy ci już mówiłam - celowo zmieniła temat - że jeden z obrazów Ellen ma znaleźć się na wystawie w którejś galerii blisko ich domu.

- Tak! Już mi o tym mówiłaś. - Wiedział, że Brenda na siłę stara się podtrzymać rozmowę. Jego ponury humor i ciągle nawiązywanie do spraw z odległej przeszłości wydawały jej się nie na miejscu. Zmusił się więc do weselszego tonu: - Myślę, że Ellen rzeczywiście ma talent - powiedział. - Pejzaże, które ostatnio maluje, są naprawdę piękne.

- To właśnie jest ich słabą stroną. Są zbyt piękne. Obawiam się, że to tylko zręczna imitacja wiejskich scenek rodzajowych Winslowa Homera. Niedawno na którymś płótnie umieściła nawet jelenia.

- Nie uda ci się tego obrazu zdyskredytować. Mnie się podoba!

- Wybacz mi, kochanie, jesteś wspaniałym chirurgiem, ale o sztuce nie masz zielonego pojęcia.

Aaron wskazał dłonią na ogromnych rozmiarów obraz wiszący na przeciwległej ścianie. Wisiał nad rzędem ultranowoczesnych krzeseł ze stali i skóry i przedstawiał jadowicie zielone i krwistopurpurowe rury, wężowo się wzajem oplatające.

- A ty się znasz? - odparował. - Według ciebie jest to sztuka? Bo mnie przypomina jelita...

- Ależ, Aaronie! Ten obraz jest naprawdę doskonały, świetne malarstwo!

- Pleciesz głupstwa! Podejrzewam, że w ten sposób odreagowujesz narzucone ci kiedyś opinie. Lubisz sztukę abstrakcyjną tylko dlatego, że twoi rodzice z niej kpili. -I zaśmiał się, rad, że może z nią trochę podroczyć.

- Śmieję się, śmieję! - zawołała. - Miło cię widzieć w tak zabawowym nastroju.

- A przy okazji chciałbym cię zapytać, jak to się dzieje, że podziwiasz wystrój domu Anety. Skoro podobają ci się nasze nowoczesne meble, jak możesz jednocześnie zachwycać się jej chippendale'ami?

- Prawdę mówiąc, nie lubię chippendali, ale muszę przyznać, że meble Anety są w swojej klasie naprawdę bardzo dobre. Urządziła dom z ogromnym gustem. - Pomyślała chwilę. - Trzeba przyznać, że także Ellen ma doskonały gust, niezależnie od jej innych zalet.

- To prawda - zgodził się Aaron - absolutna prawda. Nie wiem tylko, po co mnie tak energicznie namawiasz, żebym się w przyszłym tygodniu wybrał z tobą do Anety. Zaoszczędź sobie wysiłku! Skoro zostałem zaproszony, to i tak tam pojedę. Nie powiem, żebym czekał na ten ewenement z radością, ale na pewno się tam zjawię. Zadzwoń do niej, podziękuj za zaproszenie i powiedz, że będziemy.

- Nie, lepiej napiszę. Na otrzymany list wypada odpowiedzieć listownie. Tak postępują ludzie dobrze wychowani, a Aneta i jej rodzina niewątpliwie do nich należą. -I nagle jakiś cień przemknął po twarzy Brendy. - Z jednym zastrzeżeniem - dodała. - Z trudem toleruję ojca Ellen. Na jego widok czuję niesmak w ustach.

- Chyba tylko raz się z nim spotkałaś?

- Tak, o ten jeden raz za dużo... Byłam na niego wściekła. Pierwszy i jedyny raz w życiu poczułam do kogoś taką złość. Aż mnie zatkało z oburzenia. Znienawidziłam go!

- Możesz być przekonana, że on w pełni odwzajemnia to uczucie.

- Nie wątpię... Straszny typ: zmarszczony jak suszona śliwka, wąskie wargi, oczy jak szpilki... Wbił we mnie wzrok i widziałam, że kipi złością. Za kogo on się uważa? Myśli, że jest księciem Westminsteru, czy co... A zresztą książę, sędzę, zachowałby się taktowniej.

- Nie wiem, jak by się zachował książę, gdyby jego córka uciekła z domu i wyszła za naszego syna... Nie jestem tego pewien, kochanie.

Oboje się roześmiali; po chwili Brenda już poważnie powiedziała:

- Nie wiem, co by się stało, gdybym się kiedykolwiek znowu na niego natknęła. Chybabym mu zrobiła piekielną awanturę.

- I nazajutrz twoje nazwisko znalazłoby się w gazetach. Niemniej miałbym wielką ochotę przyłączyć się do ciebie i dać temu facetowi wycisk. Jak on traktuje naszego Marka? Patrzy na niego z góry. Zachowuje się jak Hitler. Dać mu wąsik, a będzie do niego całkiem podobny.

- Nie rozumiem, jak to możliwe, żeby taka wspaiała dziewczyna jak Ellen miała takiego ojca, a taka kobieta jak Aneta takiego syna.

- Tylko Bóg jeden wie, jak to się stało. Może za sprawą genów... Nie pytaj mnie, nie jestem psychiatrą, a tym bardziej Panem Bogiem. Chodźmy już - powiedział, wstając. - Wystarczy tego dobrego... Jeśli nadal masz ochotę na kino, powkładam naczynia do zlewozmywaka, a ty tymczasem popraw sobie makijaż. Pośpiesz się, bo się spóźnimy!

- Posłuchaj, Aaronie! Przyszła mi do głowy straszna myśl. Chyba nie sądzisz, że ona zaprosi także tego okropnego człowieka?

- Jakiego człowieka?

- Ojca Ellen.

- Czyś ty oszalała? Oczywiście, że tego nie zrobi. A przy okazji chcę ci przypomnieć, żebyś zabrała ze sobą jakiś mały prezent.

- Wiem, co jej dać. Marek mi powiedział, w której piekarni na East Side można dostać czekoladowe makaroniki, za którymi Aneta przepada.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Był grudzień i o czwartej po południu zapadał zmrok. Zapalono światło elektryczne, które rozjaśniło cały ogromny pokój. Najmocniej skupiło się na dywanie, na którym Freddie bawił się klockami, a Lucy, leżąc na brzuchu, przeglądała czy tanke do pierwszej klasy. Łagodniejszy blask docierał do foteli i półek z książkami na samym końcu pokoju i do sztalug z nie dokończonym obrazem, rozstawionych przy północnym oknie. Rozświetlał także przeciwległą stronę pokoju, gdzie znajdowały się kuchenka i zlewozmywak i gdzie pochylona nad deską do prasowania stała Ellen.

Mimo krótkiego popołudnia dzień się dłużył. Freddie pierwszy powitał budzący się ranek. Jeszcze przed szóstą zaczął się ruszać w kołysce. Zza ścianki dzielącej pokój na trzy małe sypialnie dobiegało z początku tylko ćwierkanie, będące czymś pośrednim pomiędzy mową a śpiewem. Nie wiadomo, jaką myśl chciał Freddie tym dźwiękiem wyrazić i z jakiej zasłyszanej melodii zapożyczał niektóre wesoło brzmiące nutki. Po chwili dał się słyszeć głośny stukot, a potem mocne uderzenia rozhuśtanej kołyski o ścianę. Na koniec chłopczyk zaczął się bardzo energicznie domagać większego zainteresowania swoją osobą; najwyraźniej chodziło mu o zmianę pieluszki i śniadanie.

Nie miałyby sensu i nic by jego rodzicom nie pomogło, gdyby spróbowali schować głowę pod koc. Nawet w święta i w niedzielę nie było ucieczki od tego głośno wyrażanego żądania. Musieli wstawać. Zresztą była już najwyższa po temu pora.

- Wstawaj i do dzieła! - zwykł mawiać ojciec Ellen, gdy ją budził, by zdążyła na czas do szkoły. Teraz takim samym porannym wezwaniem

witała własne dzieci. „To śmieszne - pomyślała - że przechodząc z jednego etapu życia do drugiego, często różniące się nawet o sto osiemdziesiąt stopni, ciągniemy za sobą cały bagaż różnych powiedzonek, nawyków i zwyczajów”.

Wciąż jeszcze nakrywała do stołu, używając matczynych lnianych serwet, choć wymagały prasowania i nikt jej w tym nie wyręczał. Uważała, że są zbyt cenne, by je prać w automatycznej osiedlowej pralni, podobnie jak ręcznie haftowane sukienki, które Lucy dostała w prezencie od babci. Co prawda Lucy nie miała wielu okazji, by je włożyć, ale trzeba przyznać, że były piękne. Ellen sama nosiła takie sukienki, gdy wiele lat temu bywała na koncertach dla dzieci i na urodzinowych przyjęciach często urządzanych w bogatej dzielnicy Upper East Side. Pamiętała kapelusze z gpfrowanej bibułki, jakimi przystrajano dziecięce główki, a także pełne prezentów torby, które dzieci zabierały ze sobą do domu.

Świat, w którym obecnie żyła, był całkiem inny. W żadnym wypadku nie nazwałaby go światem nędzy, ale na pewno bardzo się różnił od tamtego z lat dzieciństwa. Tu liczone było z każdym groszem. Trzeba się było pilnować i dokonywać ostrożnych wyliczeń, zanim się cokolwiek wydało. To ogromnie martwiło jej ojca. Zadawał mnóstwo pytań, ofiarował się, że kupi, że zapłaci za to czy za tamto, i zawsze spotykał się z odmową. Rodzice Marka postępowali podobnie i także spotykali się z odmową.

Ellen i Mark chcieli się wystawić na próbę i wykazać, że potrafią dać sobie radę. Kiedy dwoje ludzi się pobiera, musi walczyć z setkami różnych obiekcji i okrutnych ostrzeżeń zapowiadających, że czeka ich klęska; nie pozostaje im więc nic innego, jak tylko wziąć się za bary z przeciwnościami i udowodnić sceptykom, że miłość wszystko zwycięża. Ten stary, oklepany, lecz prawdziwy slogan zawsze wywoływał w niej uśmiech. Bo przecież wiedziała, że nie musi tak być. Wystarczało wspomnieć nieszczęśliwą kuzynkę Cyntię. Ale w jej i Marka wypadku miłość zwyciężyła.

Rzuciła okiem na bawiące się dzieci. Zrodzone z miłości, obdarzone były inteligencją i urodą. Czekąca je wkrótce pyszna kolacja. W piekarniku dochodziły paszteciki, nadziewane kurczakiem, i jarzyny. Lada chwila głowa rodziny wróci z pracy do domu. „Czegóż jeszcze mogłabym żądać od losu?” - pomyślała.

W miarę jak zbliżał się wieczór, wyteżała słuch, by wyłowić dźwięk wjeżdżającej na górę windy. Kiedyś, gdy budynek był jeszcze domem towarowym, windą tą przewożono towary; była bardzo powolna. Gdy tylko Ellen usłyszała spieszne kroki Marka przebiegającego hol, otwierała drzwi. Mąż rzadko kiedy szedł normalnym krokiem, prawie zawsze biegł, i to wszędzie, dokądkolwiek się udawał. Witął ją u wejścia uśmiechem i ustami złożonymi do pocałunku. Zwykle był już bez krawata, pozbywał go się gdzieś po drodze.

Mark należał do ludzi, którzy najlepiej się czują w dzinsach i adidassach. Ci, co go dobrze znali, ubawiliby się, widząc, że do pracy w galerii wkłada elegancki ciemny garnitur i krawat w paski, jak jakiś bankier czy prawnik z Wall Street. Mark lubił swoją pracę i miał własną teorię na temat dostosowywania ubioru do miejsca. To, w którym teraz pracował, wymagało szczególnego stroju. Zresztą bardzo dobrze się w nim prezentował. Wysoki i szczupły, miał poważny wyraz twarzy i przyjemnie wymodulowany głos. Innymi słowy, był z niego elegancki pan.

Babcia twierdziła, że stanowią z Ellen piękną parę. Nikt inny im tego nie mówił, tylko ona jedna. Przyjaciele raczej takich uwag w stosunku do siebie nie robią, a na skutek okoliczności, w jakich zawarty został ich ślub, od nikogo z rodziny nie mogli się spodziewać komplementów. Ale Ellen i tak nie wątpiła, że, istotnie ładna z nich para.

Ellen też była słusznego wzrostu, włosy miała kasztanowe i czesała się na balerinę, ściągając je do tyłu. W ten sposób odsłaniała długą szyję i szlachetny profil. Dawniej była jasną blondynką, taką samą, jaką teraz jest Lucy; dziś pozostały jej tylko nieliczne jasne pasma. Ubierała się sportowo. Jak większość ludzi nosiła dzinsy, gdy załatwiała sprawy w pobliżu domu. W nich robiła zakupy na targu, odprowadzała Lucy do szkoły i zabierała ją z powrotem, a także chodziła z Freddie'm do nie-

wielkiego lokalnego parku, by się bawił z innymi dziećmi. Na inne okazje wybierała proste suknie w żywych kolorach. Do jej ulubionych należała akwamaryna, morelowy i lapis-lazuli. Nie lubiła obwieszać się biżuterią; ograniczała się do tanich kolczyków, które kupowała w sklepach lansujących nowości, i skromnej ślubnej obrączki, takiej samej jak obrączka Marka. Tylko od wielkiego dzwonu wkładała piękny perłowy naszyjnik, który ofiarowała jej matka Marka w geście pojednania, gdy urodziła się Lucy. Mimo wszystko Ellen lubiła Brendę: ceniła ją za tolerancję i dobre serce.

Klejnoty odziedziczone po swojej matce trzymała w bezpiecznym sejfie w banku. Były zbyt wytworne i cenne, by je nosić; nie pasowały do niej, tak jak kiedyś do Susan. Ostatnio, myśląc i mówiąc o swojej matce, zaczęła nazywać ją Susan. Zjawiała jej się wtedy jako młoda i pełna szczęścia istota, taka jaką kiedyś była. Ludzie zwykli mówić o niej „słoneczko”... pewnie tak ją odbierali. Dopiero przewlekła choroba Susan utrwaliła ją w pamięci córki jako matkę, mamusię.

„Gdyby Susan żyła dłużej, gdyby doczekała chwili, kiedy Mark i ja staliśmy się małżeństwem - myślała Ellen -zadałabym jej kilka pytań. Wydaje mi się, że wiem, jak by na nie odpowiedziała. Ale jest też możliwe, że poddając się presji, jaką wywierał na nią tata, nie odpowiedziałaby na nie wcale. A jednak myślę, że mama wiedziała, co się dzieje, lecz po prostu nie miała dość siły, by stanąć po mojej stronie. Wyczuwałam, że tak jest, i pewnie dlatego Mark i ja czekaliśmy i odkładaliśmy ślub, póki nie umarła. Było jej wystarczająco ciężko, nie chcieliśmy jej dodatkowo obarczać towarzyskim skandalem, choć był absurdalny i nieuzasadniony”.

Pierwszego roku po ukończeniu studiów, z dyplomem Akademii Sztuk Pięknych w kieszeni, Ellen lubiła wędrować po mieście i obchodzić galerie sztuki. Zaliczyła je wszystkie - od najdalszego końca Manhattanu po Upper East Side. Czasem nie wchodziła do środka, tylko zaglądała w okna wystawowe i nie widząc niczego, co by ją szczególnie kusilo, szła dalej. Innym razem, gdy ją coś zainteresowało, zwiedzała

galerię, choć z góry wiedziała, że nic nie kupi. Po prostu chciała za-
spokoić swoją zawodową ciekawość.

Szczególnie lubiła stare pejzaże, a ze współczesnego malarstwa ob-
razy, które przywoływały wizję świata bez przemysłu, tchnącego spo-
kojem, wręcz sielankowego. Zdawała sobie sprawę, że te jej upodoba-
nia są przejawem pozbawionej praktyczności nostalgii za światem zie-
leni i wolną przestrzenią, za domowymi zwierzętami, żniwami i zmie-
niającymi się porami roku. Ta nostalgia miała wyraźny związek z jej
dzieciństwem, z dawnymi czasami, kiedy to wszystkie letnie miesiące
spędzała u babci na wsi.

Pewnego wiosennego dnia znalazła się w galerii sztuki na ulicy
Pięćdziesiątej Siódmej. Naprzeciw niej wyszedł sympatycznie wyglą-
dający młody mężczyzna.

- Czy interesuje panią jakiś konkretny obraz? - spytał. - Co mam pani
pokażać?

Nie lubiła, gdy jej się narzucano z usługami.

- Chcę się tylko rozejrzeć - odparła.

- Bardzo proszę! Jeśli miałaby pani jakieś pytania, chętnie na nie
odpowiem.

Powoli przechadzała się po galerii, wzdłuż ścian obwieszonych zna-
komitymi obrazami, oprawionymi we wspinałe złocone ramy, które
same kosztowały więcej, niż Ellen mogłaby wydać. Cenne obrazy wi-
siały także w domu rodziców, ale większość ich nie była w jej guście. A
poza tym należały do rodziców, nie do niej. Stała przed obrazem,
który przedstawiał strumyk płynący przez ośnieżony las. „Wiele bym
dała za to, by mieć ten obraz na własność -pomyślała - albo jeszcze
lepiej, żeby sama potrafiła coś takiego namalować”.

Galeria składała się z dwóch sal. Obchodząc je, Ellen dokładnie
przyglądała się obrazom na każdej ścianie, a potem wróciła do pejzażu
ze strumykiem i długo przed nim stała, zaabsorbowana jego zimowym
kolorytem. Emanowała z niego cisza, w której zdawała się słyszeć szum
wody spływającej po skałach.

- Ten obraz przemawia do pani, prawda? - doszedł ją nieoczekiwanie głos sprzedawcy, stojącego tuż za jej plecami.

- Tak! - odparła. - A ja jemu odpowiadam - dodała żartem.

Zaśmiał się. Jego krótki, dyskretny śmiech zabrzmiał tu bardzo na miejscu, w zgodzie z rolą, jaką młody człowiek odgrywał w galerii. Ellen uznała, że znamionuje go postawa godności i może pewna sztywność, którą to cechę zwykle przypisywała Brytyjczykom. Nie miała wielkiego pojęcia o tym, co jest, a co nie jest brytyjskie. Jej wiedza opierała się na obserwacjach poczynionych w Anglii, którą tylko raz odwiedziła, i oczywiście na tym, co widziała w telewizji czy w kinie. Potem się okazało, że angielski był jedynie garnitur młodego człowieka: kupili mu go rodzice, gdy byli z wycieczką w Anglii... ale to już zupełnie inna historia...

- Czy miałyby pani ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o obrazie? - spytał.

- Tak, chciałabym się przede wszystkim dowiedzieć, jaka jest jego cena. - Jako absolwentka Akademii Sztuk Pięknych, bez trudu rozszyfrowała nazwiska malarzy, których prace wisały na ścianach galerii, i na pewno potrafiłaby z łatwością określić rynkową wartość tych dzieł.

- Pejzaż ze strumykiem kosztuje trzydzieści pięć tysięcy dolarów - poinformował ją sprzedawca. - Wyjątkowo udany przykład twórczości tego artysty, który notabene zmarł w ubiegłym roku. Wiedziała pani o tym?

- Tak, słyszałam, że nie żyje.

- Ceny jego obrazów na pewno pójdą w górę, jest to więc szczególnie dobra inwestycja.

Nie odpowiedziała. Młody człowiek miał piękne i trochę niezwykle piwne oczy: brąz tęczówki w pobliżu źrenicy przybierał kolor złota. A może tak się załamywało światło wpadające do galerii z ulicy...

- Rozumiem, że pani chce nabyć płótno tylko dlatego, iż się pani podoba. Niemniej zawsze jest przyjemnie wiedzieć, że tego rodzaju inwestycja przyniosłaby duże korzyści.

Widać było, że młody człowiek bardzo pragnie sprzedać obraz, co było zrozumiałe, gdyż niewątpliwie pracował na procencie lub prowizji. A poza tym niewielu było kupujących - galeria wydawała się prawie pusta. Zauważyła, że prócz niej są tu tylko dwaj klienci. Jeden stał, przyglądając się obrazom, a drugi, siedząc, pilnie wertował strony katalogu. „Praca w takiej galerii - pomyślała - jest chyba i ciężka, i dość frustrująca”.

- W tej chwili nie podejmę decyzji - powiedziała. - Muszę to jeszcze przemyśleć. - Zdawała sobie sprawę, że być może setki razy słyszała takie słowa od ludzi, którzy przychodzili tylko po to, by popatrzeć, a nie kupić.

Przez chwilę stali, zastanawiając się, co dalej. Spojrzenie młodego człowieka zatrzymało się na jej dłoni. Przyglądał się oślepiającemu blaskowi czterokaratowego brylantu o okrągłym szlifie, zdobiącego jej serdeczny palec. Był to zaręczynowy pierścionek od Kevina. Gdy młodzieniec w końcu przemówił, wyczuła w jego głosie nutę nadziei. Widać uważał, że młoda kobieta, mająca tak cenny pierścień, może na serio rozważyć kupno obrazu i, zafascynowana leśnym strumykiem i zimowym pejzażem, w końcu sfinalizuje transakcję. Lekko się skłonił i wręczył jej swoją wizytówkę.

„Mark Sachs” - przeczytała.

- Ja się nazywam Ellen Byrne. Jeszcze pomyślę o tym obrazie - powtórzyła. - Bardzo panu dziękuję.

Wracała do domu Piątą aleją. Po lewej stronie tej ulicy nie było sklepów, tylko park. Ellen szła powoli i przyglądała się powozom, pięknym dzieciom w modnych space-rówkach i rasowym psom, prowadzonym przez zawodowych wyprowadzaczy. Po prawej stronie, na całej długości ulicy aż po Muzeum Sztuki i jeszcze dalej, wznosiły się luksusowe, obłożone kamiennymi płytami budynki, w których mieściły się apartamenty. Nad portalami widniały zielone markizy, w drzwiach stali portierzy w brązowych liberjach. W jednym z tych domów Ellen wciąż mieszkała razem z rodzicami. Bez sensu bowiem byłoby myśleć teraz o własnym lokum, skoro i tak miała wkrótce wyjść za mąż.

Przewidywała, że najprawdopodobniej spędzi swoje życie w takich właśnie mieszkaniach: przestronnych, cichych, urządzonych prosto i z gustem cennymi, pięknymi przedmiotami. Jej dzieci otrzymają takie samo staranne wychowanie, jakie ona odebrała w domu. Będą jeździły na łyżwach na ślizgawce w parku, będą żeglowały po stawie w cudownej łodzi, którą rodzice obdarowali ją na siódme urodziny. Późnym popołudniem będą odrabiały domowe zadania w swoich małych pokojach, których okna wychodzą na boczną ulicę. Natomiast najważniejsze pokoje: salon, biblioteka i sypialnia pana domu, będą miały okna wychodzące na park.

„Sypialnia pana domu” - jak władczo, niemal patriarchalnie zabrzmiały te słowa, doskonale pasujące do Kevina, który był apodyktyczny i wszytkowiedzący, ale jednocześnie dobry i uczynny.

- Ten młodzieniec daleko zajdzie - taką opinię o nim wygłosił ojciec Ellen po pierwszej wizycie Kevina w ich domu; jego przewidywania wkrótce się spełniły. Kevin, mając niespełna trzydzieści lat i będąc dopiero cztery lata po ukończeniu studiów, otrzymał propozycję objęcia wysokiego stanowiska w paryskiej filii swojej firmy. Właśnie teraz przebywał w Paryżu, żeby się rozejrzeć i zorientować w przyszłej pracy. Niebawem miał wrócić do domu; postanowili, że tu się pobiorą i razem wyjadą na jakie dwa, trzy lata do Francji. Zgodnie z utartym zwyczajem po powrocie z zagranicznego pobytu do centrali w Nowym Jorku dostałby awans na jeszcze wyższe stanowisko.

Perspektywa zamieszkania we Francji wprawiła Ellen w prawdziwie młodzieńczy zachwyty. Przeanalizowała swoje uczucia i nie miała co do tego żadnej wątpliwości. Cieszyła się wyjazdem jak dziecko. Zakochała się we Francji jeszcze wtedy, gdy przebywała z rodzicami na wakacjach w Paryżu. Nie była to jednak jedyna miłość w jej życiu: o wiele poważniejszy romans łączył ją z Kevinem.

Poznała go w uniwersyteckim miasteczku. Była wówczas na ostatnim roku college'u, Kevin zaś niedawno ukończył wydział prawa tamtejszego uniwersytetu. Na kampus przyjechał jako gość, w odwiedziny

do kolegów. Ellen wraz z grupą kilku dziewczyn wybrała się do kawiarni. Oprócz Kevina towarzyszył im jeszcze jeden chłopak, ale wydał jej się mało interesujący. Natomiast Kevin ze swoją urodziwą męską twarzą i niebieskimi oczami zrobił duże wrażenie nie tylko na dziewczynach, ale i na chłopcach z jej roku.

Właśnie wszedł w świat ludzi dorosłych. Wielu młodym ten świat wydawał się niebezpieczną dżunglą lub w najlepszym razie przypominał grę w „muzykalne krzesła”, kiedy to uczestnicy chodzą w takt muzyki wokół krzeseł, wiedząc, że jest ich o jedno mniej niż grających. Gdy milknie muzyka, rzucają się na miejsca. Osoba bez krzesła wypada z gry. Patrząc na Kevina, miało się absolutną pewność, że to nie on będzie tym, który wypadnie.

Ellen wcale się nie spodziewała, że ktoś zwróci na nią uwagę. Spotykała się z wieloma kolegami - byli wśród nich członkowie studenckich korporacji, sportowcy i poeci samotnicy - ale oni wszyscy należeli do tej samej lub zbliżonej grupy wiekowej, Kevin natomiast był starszy i poważniejszy. Niepomierne się więc zdziwiła - nawet jęknęła z wrażenia, co jednak udało jej się sprytnie zakamuflować - gdy w zgiełku ogólnej głośnej rozmowy Kevin ją poprosił, by mu dała swój numer telefonu.

Koleżanka, z którą dzieliła pokój w akademiku, była równie zdumiona jak ona. Rzuciła Ellen szybkie, taksujące spojrzenie, jakby chciała zapytać: „Dlaczego ty? Co jest w tobie takiego szczególnego?” Wkrótce się okazało, że ta właśnie koleżanka zna parę interesujących faktów z życia Kevina, których nie omieszkała przekazać Ellen. Kevin miał więc pochodzić z Ohio, z zamożnej rodziny związanej z przemysłem stalowym. W Nowym Jorku, gdzie mieszkał samotnie, zajmował apartament w pobliżu wieżowców World Trade Center.

- Nie sądzę, żeby miał naprawdę do ciebie zadzwonić - przepowiadała towarzyszka z pokoju. - Za bardzo troszczy się o swoją karierę, żeby zwracać sobie głowę smarkatą studentką z college'u. Jesteś dla niego za młoda.

W rzeczywistości jednak Kevin wcale nie był taki zadufany w sobie, lecz raczej skromny, zbytnio siebie nie przeceniał i już po paru dniach do niej zadzwonił, pytając, kiedy wraca do Nowego Jorku.

Powiedziała mu, że na święta Bożego Narodzenia, i podała swój nowojorski numer. Kiedy się po raz pierwszy umówili, nie czekał na nią na dole w holu, ale wszedł na górę, żeby się przedstawić rodzicom, co spotkało się z ogromnym uznaniem jej ojca.

- Właśnie tego się oczekuje po mężczyźnie z klasą - twierdził.

Potem wypadki potoczyły się niezwykle szybko. Na pierwszej randce obejrżeli przedstawienie w teatrze na Broadwayu. Drugą przetańczyli w Rainbow Room. Na trzeciej zjedli kolację w eleganckiej nowo otwartej francuskiej restauracji. Położona dość daleko od centrum, zajmowała pierwsze miejsce w rankingu wytwornych lokali. Światła były tu przygaszone, malowidła ścienne przybliżyły patrzącym różne piękne okolice Francji. Zależnie od tego, w którą stronę się spojrzalo, można było podziwiać północne wybrzeża Bretanii lub uroki Alp na południu. Stoliki rozstawiono daleko od siebie, by goście mogli prowadzić intymne rozmowy bez skrzepowania.

To jednak, o czym mówili Ellen i Kevin, nie miało z intymnością nic wspólnego. Oboje chcieli jak najwięcej o sobie wiedzieć. A więc Ellen się dowiedziała, że Kevin zna już biegle trzy obce języki, a teraz usiłuje znaleźć czas, by się nauczyć po chińsku. Uważał, że Chiny, bez względu na to, czy się je lubi, czy nie (a on ich nie lubił!), na pewno staną się w przyszłości dominującą siłą na naszym globie.

Z kolei Kevin usłyszał, że Ellen ma nadzieję otrzymać jakieś prominentne stanowisko w jednym z ważniejszych muzeów sztuki. Było jej wszystko jedno, w jakim to będzie mieście czy stanie; zdawała sobie sprawę, że o taką posadę wcale nie jest łatwo. Zależało jej głównie na tym, aby wejść do świata sztuki. Kochała sztukę i chociaż we własnym odczuciu miała raczej mierny talent, próbowała rysować i malować, traktując te zajęcia jako hobby. Oboje doszli do wniosku, że mają pokrewne zainteresowania i sporo wspólnych znajomych.

W jakiś dziwny i niesprecyzowany sposób ich dotychczasowe kontakty sprawiły, że Kevin przestał być dla Ellen kimś obcym. Po jakimś czasie mieli już dość siedzenia przy stole i picia wina. Ellen nie przepadała za winem, bo działało na nią usypiająco i aby się ożywić, musiała aplikować sobie kawę. W końcu nadszedł moment, że trzeba było wyjść z lokalu. Stali na dworze narażeni na ostre poddmuchy lodowatego wiatru, kiedy więc Kevin zasugerował, żeby wstąpiła do jego mieszkania, aby się ogrzać, Ellen nie oponowała. Jej ten pomysł też wydawał się w tych okolicznościach najśluszniejszy.

W późniejszych latach, gdy Ellen była już zamężna, nieraz wracała myślami do tamtego okresu swego życia. Doszła do przekonania, że w owych czasach ludzie mieli zadziwiająco niepoważny stosunek do spraw seksualnych. Po prostu uważało się, że już po kilkudniowej znajomości młodzi mogą pójść do łóżka. Postępowali tak nawet wtedy, gdy któraś ze stron nie miała na to specjalnej ochoty. Ellen właśnie takiej ochoty nie przejawiała. Do tej pory żaden mężczyzna nie działał na nią tak, jak się spodziewała, że powinien. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek znajdzie się ktoś, kto naprawdę obudzi jej zmysły.

Kevin starał się być delikatny, ale nie zawsze mu się to udawało. Nieustannie się nią zachwycał i wciąż jej powtarzał, jaka jest piękna i cudowna, co nie pozwalało jej pozostać obojętną. Zawiózł ją do domu taksówką, odprowadził do drzwi, ucałował, a następnego dnia posłał jej wspaniały bukiet z dwóch tuzinów róż. Te kwiaty były wystarczająco wymowne, aby się wszystkiego domyślić. „Gdybym ja była rodzicem - dziwiła się Ellen - od razu wiedziałabym, co się święci”. Ale jej matka właśnie przechodziła drugą już chemoterapię i czuła się tak źle, że nie była w stanie niczego zauważyć. Ojciec zaś był do tego stopnia przejęty osobowością Kevina Clarka i jego towarzyskim statusem, że o nic nie pytał. Zresztą niewiele by mógł w tej sytuacji zrobić i dobrze o tym wiedział.

Kobieta łatwo się przywiązuje do kogoś, kto ją ubóstwia i nosi na rękach, jeśli oczywiście ten ktoś sam jest atrakcyjny. Gdy Ellen wróciła do college'u, Kevin co wieczór do niej dzwoniła a ona cały dzień cze-

kała na jego telefon. Rozmowa z nim, nawet na odległość, dawała jej miłe poczucie spełnienia. Tak często, jak tylko mogła, wracała teraz na weekendy do domu, choć przedtem nigdy tego nie robiła. Kiedyś Kevin zabrał ją z college'u swoim samochodem i część weekendu spędzili w motelu. Tego także nigdy przedtem nie robiła...

- Ellen jest prostą i skromną dziewczyną - powiedział o niej ktoś, kto ją dobrze znał. - Nie ma zbyt wielkich wymagań.

Teraz jednak zapragnęła żyć bogato i szumnie, i wcale jej nie chodziło o jakieś materialne korzyści, lecz jedynie o doznania miłosne i zmysłowe. W wyobraźni ciągle na nowo przeżywała wieczory z Kevinem. Rodzice wcale się nie domyślali ich przebiegu, przekonani, że Ellen spędza je w teatrze czy w innych kulturalnych przybytkach. Czuła też nieprzepartą potrzebę kupowania sobie drogich perfum i bielizny. Wiedziała, że koleżanki jej zazdroszczą. Jedynie przyjaciółki rekrutujące się spośród radykalnych feministek okazywały jej zrozumienie.

Zbliżał się koniec studiów. Doskonale pozdawała wszystkie egzaminy i w maju otrzymała dyplom. Kevin wyraził chęć uczestniczenia w uroczystości rozdania dyplomów, więc go zaprosiła. Stał obok jej rodziców i babci w tłumie gości, przyglądających się procesji absolwentów w togach i biretach, i wypatrywał Ellen. Wszyscy wiedzieli, jaki będzie następny krok i co teraz w jej życiu nastąpi, ale nikt nie odważył się głośno o tym mówić.

Do oświadczyn doszło w mieszkaniu Kevina jeszcze tego samego tygodnia. Znaleźli się razem w pokoju na dwudziestym drugim piętrze. Ellen wyglądała przez okno, podziwiając widok, jaki roztaczał się na dole. Gdy się patrzyło na północ, lśniące fale rzeki Hudson widoczne były aż do mostu, który spinał oba jej brzegi. Na południu zaś rzeka mijiała wysepki i uchodziła do zatoki.

- Wydaje mi się - mruzczała pod nosem Ellen - że w tym mieście ludzie wymagają od swoich mieszkań przede wszystkim ładnego widoku z okien. Oczywiście wtedy, gdy ich na takie mieszkania stać.

- To zależy... - odparł Kevin. - Mnie się tutaj podoba, ale przyznaję, że na dłuższą metę wolałbym widok roztaczający się z twego mieszka-

nia. Poza tym tam jest niżej i bliżej parku; nasze dzieci mogłyby się bawić wśród zieleni, tak jak ty się bawiłaś w dzieciństwie.

Odwróciła się od okna i spojrzała na niego. „To najważniejszy moment w moim życiu - pomyślała. - Dlaczego się więc nie rozplakałam i nie mam wrażenia, jakbym przeżywała coś wielkiego i niewiarygodnego?” Było jej przyjemnie, nawet bardzo przyjemnie, ale nie czuła żadnego oszałamiającego zaskoczenia. Otoczyła Kevina ramionami i zatonęła w długim pocałunku.

- Wiedziałem, że powiesz „tak”! - zawołał - i już się z góry na tę okoliczność przygotowałem. Oto on...

I wręczył jej bardzo cenny brylantowy pierścień, który w jego rodzinie przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie. Teraz miał przypaść zonie Kevina.

A zatem ich małżeństwo zostało już przypieczętowane, teraz trzeba było tylko załatwić formalności. Na zawarcie ślubu mieli poczekać niespełna rok, póki się Kevin nie urządzi w Paryżu. Na razie kursował między Ameryką i Europą, gdzie z ramienia firmy odwiedzał różne kraje i badał rynek. W tym czasie narzeczeni bawili się i ucztowali. Z Ohio przybyli rodzice Kevina i zostali zaproszeni na uroczystą kolację najpierw do jej rodziców, a potem do babci na wieś. Był szampan, kwiaty i wznoszono wiele toastów.

- Szczęściarz z tego Kevina - mówili jedni.
- Ale ma szczęście ta Ellen - twierdzili drudzy.

To wszystko Ellen dokładnie sobie uzmysłowiła tego dnia, gdy wracała do domu z galerii na ulicy Pięćdziesiątej Siódmej, gdzie poznała Marka Sachsa.

Matkę zastała jak zwykle polegającą na kanapie w bibliotece. Od roku odpoczywała tak każdego niemal popołudnia. Nadal jednak nie chciała się przyznać, że choroba robi postępy i jej stan się pogarsza. Udawała, że to, co się z nią dzieje, jest czymś nowym i dla niej samej stanowi zaskoczenie. Ellen z bólem słuchała wykrętnego tłumaczenia się matki:

- Nie wiem, co mi się dzisiaj stało - mówiła. - Może to wina wiosny i tej sennej pogody... Wiesz, kochanie, Kevin dzwonił z Paryża. Powiedziała mu, że jeszcze nie wróciłaś do domu. Zadzwoń znowu o piątej.

Punktualny, jak zawsze, zadzwonił równo o piątej.

- Strasznie za tobą tęsknię - wyznał jej.

- Ja za tobą też...

- Co dzisiaj robiłaś? Zdawało mi się, że w środy wychodzisz wcześniej.

- Tak, ale po pracy wybrałam się na spacer.

- Dokąd poszłaś? - indagował.

Kevin zawsze domagał się od niej szczegółowych wyjaśnień, co ją nieraz nudziło. Ponieważ jednak on sam bardzo chętnie udzielał jej wszelkich informacji o tym, czym się przez cały dzień zajmował, nie pokazała po sobie, że nie lubi drobiazgowych wynurzeń.

- Ach, wiesz... łąziłam po galeriach - zbyła go.

- Widziałas coś, co ci się spodobało?

- Tak, obraz za trzydzieści pięć tysięcy dolarów.

- Niestety, nie mogę obiecać, że ci go za takie pieniądze kupię. Ale powiem ci coś: we Francji, w każdym, nawet średniej wielkości miasteczku, znajduje się galeria sztuki i ceny nie są zbyt wysokie. Zaczekaj do przyjazdu tutaj! Zobacysz mnóstwo ciekawych pejzaży, właśnie w twoim guście... A jaką macie dziś pogodę?

- Mieliśmy wspaniałe wiosenne popołudnie. Napływa ciepłe i ładne powietrze.

- Ładnie to opisałaś... Tu padało cały dzień, a i teraz, w nocy, nadal leje. Co robisz w tej chwili?

- Właśnie opróżniłam torebkę z niepotrzebnych drobiazgów.

- A ja liczyłem minuty, żeby już była piąta. Ale teraz gaszę światło i idę spać. Jutro czeka mnie pracowity dzień.

Odłożyła słuchawkę i siedziała z torebką na kolanach, wyrzucając wszystko, co uznała za niepotrzebne, do kosza na śmieci. Pozbyła się zużytej pomadki do ust, podartej chusteczki i papierka, w który kiedyś

był zawinięty cukierek. Zatrzymała się nad wizytówką. Pod nazwą galerii widniało nazwisko: Mark Sachs.

Na moment zrobiło jej się go żal. Aleby się ten młody człowiek ucieszył, gdyby mu powiedziała: „Tak! Podoba mi się ten obraz. Biorę go!” Z przyjemnością obserwowałyby wówczas jego twarz. „Co mi chodzi po głowie? To absurd!” - pomyślała. Podarła wizytówkę i wrzuciła ją do kosza.

Jakieś dwa tygodnie później Ellen szła ulicą Pięćdziesiątą Siódmą i w ręku niosła paczkę z butami, które właśnie sobie kupiła. Okna wystawowe pełne były różnych kolorowych przedmiotów. Nazywała je zabawkami dla dorosłych, choć sama też lubiła się nimi bawić. Przechodząc obok galerii, zobaczyła na wystawie „swój” obraz. „Jest naprawdę piękny” - pomyślała. I może to było głupie, lecz zaczęła się zastanawiać, czy nie mogłaby sama spróbować coś takiego namalować: strumyk, dookoła pada śnieg, ciemna woda, ponure, ogołocone z liści drzewa i niebo jasnoszare, niemal białe...

- Widzę, że się pani jeszcze zastanawia nad tym obrazem - powiedział sprzedawca, stanąwszy w drzwiach.

- Nie, proszę pana! W żadnym wypadku nie byłoby mnie na niego stać. Powiedziałam, że muszę to jeszcze przemyśleć, ale tylko dlatego, że w ten sposób mogłam wyjść z galerii bez zakłopotania.

Uśmiechnął się.

- Wielu ludzi tak postępuje, ale to zrozumiałe.

- Tak naprawdę to rozmyślałam nad tym, czy nie mogłabym spróbować sama taki obraz namalować.

- Pani jest malarką?

- Nie ośmieliłabym się tak o sobie powiedzieć, ale mam nadzieję, że będę malarką.

- Nawet najwięksi kiedyś musieli zaczynać. Nastąpiła przerwa, której nie potrafili niczym zappełnić.

Ellen odsunęła się od wystawy.

- W którą stronę pani idzie? - spytał sprzedawca.
- Na Piątą Aleję, a potem do górnego miasta.
- Idę w tym samym kierunku.

Razem doszli do rogu, poczekali, bo było czerwone światło, i skręcili, kierując się na północ. Ellen czuła się trochę nieswojo i niezręcznie, że towarzyszy jej ktoś, kogo prawie nie zna, i niewiele mają sobie do powiedzenia.

Nazywa się Mark Sachs. Pamiętała to nazwisko wydrukowane kaligraficznym pismem na wizytówce. Wyglądało niemal jak wygrawerowane.

- Jak to przyjemnie wcześniej skończyć zajęcia! - powiedział. - O tej porze roku nie ma za dużo roboty. Dobrze jest zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

- Ja też uważam, że miło jest na odmianę pospacerować, zwłaszcza gdy na dworze nie jest zbyt gorąco. Nie będę dłużej szła aleją; wolę przejść się parkiem.

- Miałem taki sam plan. Ilekroć odwiedzam rodziców w Central Park West, zawsze idę na przełaj przez park i wychodzę od razu na Muzeum Historii Naturalnej. W ten sposób pokonuję odległość trzech kilometrów; to niezły spacer na świeżym powietrzu.

Powoli rozmowa szła im coraz lepiej.

- W Muzeum Historii Naturalnej sporo ostatnio zainwestowano i zmieniło się nie do poznania, ale moją niezmienną miłością pozostają muzea sztuki. Miałam nadzieję, że gdy zrobię dyplom, od razu otrzymam w jednym z nich odpowiednie stanowisko. Niestety, nikt mi takiej posady nie zaproponował. Szkoda, że na uczelni nie uprzedzają nas, jak ciężko będzie potem znaleźć pracę. W końcu zatrudniłam się w sklepie przy muzeum. Sprzedajemy głównie dobre reprodukcje, albumy i katalogi z wystaw. To całkiem zabawne. Być może i tą drogą do czegoś dojdę.

- Moja droga zawodowa była podobna. Od wczesnej młodości zależało mi na tym, by być blisko dobrej sztuki. Nie chciałem zostać lekarzem, adwokatem ani nauczycielem. Możliwe, że gdybym mieszkał

na zachodzie kraju, byłbym hodowcą owiec. Sam nie wiem... Zdecydowałem się na studia w Akademii Sztuk Pięknych, zrobiłem magisterium i liczę na to, że może kiedyś będę miał własną galerię.

Doszli spacerkiem nad staw i spotkali tu małych chłopców puszczaćcych na wodę łódeczki. Przez moment stali, przyglądając im się.

- I czym byłby Nowy Jork bez tego parku? - refleksyjnie zauważyła Ellen. - Też się tu kiedyś bawiłam łódeczkami. Właściwie w tym parku wzrastałam. Do dziś czuję się w nim jak w domu, jakby był moją własnością.

- Ja tak samo... Jeździłem tu na wrotkach, potem grałem w baseball...

- Pan, zdaje się, mieszka dokładnie naprzeciw nas. Ja mieszkam blisko Muzeum Sztuki, a pan bliżej Muzeum Historii Naturalnej.

- Nie, ja mieszkam w innej dzielnicy, w Greenwich Village. Dzielę mieszkanie z dwoma kolegami z college'u. Natomiast tutaj, w górnym mieście, rezydują moi rodzice. Staram się ich odwiedzać co tydzień, w środę.

- To ładnie z pana strony. Ja, odkąd w maju zeszłego roku zrobiłam dyplom i wróciłam do domu, wciąż jeszcze mieszkam z rodzicami. Na razie się nie wyprowadzam, bo... - Nagle sobie uświadomiła, że udzielanie obcemu człowiekowi takich informacji jest nie na miejscu, i zamilkła.

Spojrzał na zegarek.

- Widzę, że jeszcze za wcześnie na kolację. Rodzice by się zdziwili, gdybym się już teraz zjawił. - Chociaż w tym miejscu ich drogi się rozchodziły, Mark zwlekał z odejściem. - Tak miło się z panią rozmawia - dodał.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem i także spojrzała na zegarek. - Rzeczywiście jest za wcześnie na kolację, ale u mnie w domu nikogo nie ma, więc nikt się nie będzie dziwił. Rodzice wyjechali do Maine.

- Więc pani będzie jadła sama i pewnie z otwartą książką na stole. Ja zawsze tak robię...

Znaleźli się w niesłychanie śmiesznej sytuacji. Zamiast się pożegnać i pójść w swoją stronę tych dwoje obcych sobie przecież ludzi stało i prowadziło nieco sztuczną, banalną rozmowę.

- Nie, raczej przejrzę prasę. Zapomniałam o gazetach rano, więc teraz wezmę jakieś pisma i poczytam je sobie, jedząc kanapkę w barze.

- Kanapkę? Na tym zamierza pani poprzestać?

- Jeszcze nie wiem. W tym barze oprócz kanapek mają także wiele innych potraw. Coś sobie wybiorę. To świetny lokal... mieści się przy Madison. Chyba zjem coś większego, nie samą kanapkę.

Oboje wciąż stali w miejscu, gdzie się ich drogi miały rozejść. Mark wpatrywał się w nią, jakby starał się zapamiętać jej twarz. Potem chciał coś powiedzieć, ale zamknął usta i dopiero po chwili przemówił:

- Czy pani się na mnie nie pogniewa, jeśli zaproponuję, że pójdę z panią do tego baru?

Na moment Ellen ogarnęło zwątpienie. Nie była pewna, czy to nie jest z jego strony zwykle podrywanie. Doszła jednak do wniosku, że nie ma w tym niczego złego. Po prostu trafiła jej się taka krótka, mało znacząca przygoda. Trochę zabawy, chwila radości. Cóż to szkodzi?

Przed restauracją stało kilka stolików, nad którymi rozciągnięto markizę. Usiedli, zamówili jedzenie i znowu pograżyli się w przykrym milczeniu. Ellen pierwsza je przerwała.

- Przepraszam - powiedziała ze szczerością w głosie. - Tamtego dnia niepotrzebnie zajęłam panu tyle czasu. Pan się pewnie spodziewał, że kupię ten obraz, prawda?

- Zawsze się ma nadzieję. A gdy ludzie wyglądają, jakby... gdy robią wrażenie, że mogą...

- To przez ten pierścień - ze śmiechem wpadła mu w słowo. - Widząc go, ludzie wyobrażają sobie Bóg wie co. Trudno ich za to winić, chociaż nie jest to dla mnie zbyt miłe.

- Więc po co go pani nosi?

- To mój pierścionek zaręczynowy.

Mark wydawał się zaszokowany, jakby popełnił jakiś towarzyski nietakt. Ellen jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że wina leży po jej stronie. Przecież to ona ten temat podjęła.

- Mój narzeczony obecnie przebywa w Paryżu. Jest prawnikiem i jego firma wysłała go na jakiś czas do swojej francuskiej filii.

- A więc pani też będzie mieszkała w Paryżu?

- Tak, ale nie dłużej niż rok lub dwa. Mam nadzieję, że uda mi się tam poszerzyć wiedzę w wielu dziedzinach sztuki. Przyda mi się, gdy wrócę do Stanów i na nowo podejmę pracę.

- Wie pani, że w czasie studiów ja też spędziłem rok w Paryżu. Po-tem jeszcze dwukrotnie wyjeżdżałem tam na letnie ferie. Napisałem nawet artykuł omawiający zmiany w architekturze Paryża po przebudowie miasta przez Hausmanna.

- Czy pańska praca ukazała się drukiem?

- Tak, ale w niezbyt znanym czasopiśmie. Nie powiedziałbym, że jest szczególnie interesująca czy oryginalna. W przyszłości zamierzam napisać poważną książkę o metodach Hausmanna i o tym, jak, opierając się na nich, można przebudować całe miasto.

- A czy lubi pan swoją obecną pracę?

- Muszę ją lubić, bo dzięki niej zbieram pieniądze na własną galerię sztuki, którą mam zamiar kupić w przyszłości, a także na wspomnianą przed chwilą książkę. Przy okazji uczę się różnych rzeczy i stale przebywam wśród ludzi. Galeria to miejsce otwarte, codziennie coś interesującego się zdarza. Czasem są to smutne przeżycia, ale bywają i wesołe.

Ich spojrzenia się spotkały i znowu dojrzała w jego oczach złocistą otoczkę wokół źrenic. Zdawało jej się, że ten złoty błysk je ożywia, a jednak, gdyby jej się ktoś spytał, jakie on ma oczy, powiedziałyby, że zamyślane...

- A co się panu dzisiaj przydarzyło i jak pan ocenia tę przygodę?

- Opowiem tę historię i sama pani osądzi, czy była smutna, czy wesoła. Otóż do galerii przyszła dziś para starszków. Z początku kręcili się jakiś czas przed galerią, nie wchodząc do środka. Od razu widać

było, że to ludzie ze wsi i chyba pierwszy raz wybrali się do Nowego Jorku. Staruszek miał zamiar kupić żonie prezent. Powiedziała, że chciałaby dostać obraz, który by mogła zawiesić nad kanapą. Spodobał jej się ten sam co pani: strumyk płynący w lesie, ośnieżone brzegi... Trzeba przyznać, że zrobiła dobry wybór.

„Podoba ci się, mamusiu?” - spytał mężczyzna, choć było oczywiste, że kobieta nie jest jego matką. Zainteresował się ceną. Rzuciłem krótko: „Trzydzieści pięć!” „To bardzo dużo - powiedział - ale żona ma urodziny, zasłużyła na drogi prezent”. I wyciągnął portfel. „Mogę zapłacić gotówką” - zaznaczył. Mój kolega z galerii zrobił się czerwony na twarzy i dusił się, tłumiąc śmiech. Powiedziałem temu panu w bardzo delikatnej formie, że powstało pewne nieporozumienie, że powinienem był mu wyjaśnić, iż do trzydziestu pięciu należy dodać trzy zera. Staruszek się zdumiał: „Czy to ma znaczyć, że życzy pan sobie za ten obraz ponad tysiąc dolarów? Pan wybaczy, nie chciałbym być niegrzeczny, ale to rozbój na równej drodze!” Starsza pani była bardzo zawiedziona; wyszli z galerii, potrząsając głowami.

- I co pani sądzi o tej historii? - chciał wiedzieć Mark.
- Jest wzruszająca i raczej smutna niż wesoła.
- Oczywiście, ja też odniosłem takie wrażenie.

Nie wiedziała, dlaczego ta prosta anegdota tak bardzo ją wzruszyła. Z jakiegoś powodu miała dziś dziwnie wyostrome zmysły: blask popołudniowego słońca odbity od metalowego blatu stolika boleśnie raził jej oczy, kostki lodu wydawały się więc z bólu w szklance, a przechodząca obok kobieta wyglądała na bardzo przestraszona.

- A teraz proszę, żeby mi pan opowiedział jakąś wesołą historię - zaproponowała.

Mark, jakby chciał zademonstrować, że jej życzenie jest dla niego rozkazem, od razu zaczął opowiadać. Był urodzonym gawędziarzem i chyba każdego potrafiłby rozbawić. Wypili drugą szklankę mrożonej kawy i zanim zdali sobie sprawę, że robi się późno, słońce już się skryło za budynkami po drugiej stronie alei.

- Prawdziwy z pana komik. Jest pan niesłychanie dowcipny, naprawdę - zapewniała.

- Dziękuję za komplement. Jeśli w ogóle mam jakieś poczucie humoru, to odziedziczyłem je po ojcu. Pamiętam z dzieciństwa, jak niesłychanie wesołe były kolacje, gdy ojciec zasiadał z nami do stołu. Tak zresztą jest nadal, co mi przypomina, że już na mnie czas.

Wracając do domu, Ellen nie przestawała myśleć o Marku. Był interesującym mężczyzną, pełnym energii i temperamentu. Odnosiła wrażenie, że żadnej chwili nie marnuje, ale stara się żyć pełnią życia. A potem inna myśl przeleciała jej przez głowę. „Ciekawa jestem, jaki on jest, gdy się z kimś kocha”. Natychmiast poczuła się strasznie głupio i zawstydzona zdusiła tę myśl w zarodku. „Kim on właściwie jest? Nikim znaczącym. Nigdy go więcej nie spotkam” - pomyślała.

I znowu nadeszła środa. Na dworze było tak gorąco, że nic się nie chciało robić. Najlepiej byłoby leżeć nad wodą, a jeśli nie miało się takiej możliwości, to przynajmniej usiąść w cieniu i poczytać książkę. Do tego celu doskonale nadawała się ławeczka w parku, w miejscu, gdzie ścieżka skręcała w stronę West Side. Było tam nawet przewiewnie i bardzo cicho.

Od czasu do czasu Ellen podnosiła wzrok znad książki i patrzyła na przechodzących obok ludzi. Jacyś chłopcy przejechali blisko na łyżwo-rolkach. Dwie pielęgniarki pchały przed sobą wózki z niemowlętami. Pewien starszy pan, idąc, rozrzucał dookoła okruszki dla ptaków. Nagle pojawił się Mark.

Usiadł przy niej i zajrzał do książki, którą czytała.

- Francuska? Widzę, że się pani przygotowuje. I kiedy pani myśli wyjechać, czyżby już na dniach?

- Jeszcze nie ustaliliśmy daty wyjazdu, mógłby nastąpić wkrótce, ale wciąż jeszcze szukamy w Paryżu mieszkania.

- Polecam moje ulubione miejsce: plac des Vosges.

- Ma pan dobry gust, ale tam jest bardzo drogo.

- Wiem, żartowałem, a co by pani wybrała?

- Wszystko zależy od tego, jak szybko i wysoko awansują Kevina w jego firmie. - Nagle sobie uświadomiła, że obowiązuje ją lojalność wobec przyszłego męża, i dodała: - Kevin jest bardzo zdolny. Ktoś kiedyś porównał jego karierę do rakiety wystrzelonej w górę i szybującej coraz wyżej.

- A więc z czasem będzie pani mogła sobie pozwolić na ten zimowy pejzaż ze strumykiem lub na coś podobnego.

- Przecież już panu mówiłam, że sama postaram się coś takiego namalować.

- Naprawdę potrafi pani dobrze malować? Mówi pani serio?

Ellen potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nie bardzo wierzę w swój talent, ale raz się zdarzyło, że namalowany przeze mnie obraz podobał się i zawieszono go nawet w zakrystii naszego wiejskiego kościółka.

Potakiwał bez słowa, a potem nagle odezwał się dziwnie ostrym tonem:

- Jestem Żydem i w dodatku ortodoksyjnym... Chociaż właściwie ortodoksami są moi rodzice, a nie ja...

- Ach tak? A ja należę do kościoła episkopalnego. I co z tego?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem... Po prostu chciałem, żeby wszystko między nami było jasne.

Trochę ją to zdziwiło. Zastanawiała się, dlaczego mu na tym zależy. Postanowiła wrócić do żydowskiego tematu.

- To, co pan powiedział, zabrzmiało bardzo interesująco. Proszę mi więcej o sobie opowiedzieć. Jeśli, oczywiście, ma pan na to ochotę - dodała.

- Mam niewiele do powiedzenia...

- No, nie! Zawsze się coś ciekawego znajdzie. Na przykład: dlaczego nie jest pan ortodoksyjny, tak jak pańscy rodzice?

- Jakoś mnie to nie pociągało. Mój ojciec jest dobrym człowiekiem, choć czasem trudno z nim wytrzymać. Nie lubi, jeśli się ktoś z nim nie

zgadza. Ojciec chciał, żebym został chirurgiem, jak on. Bardzo tego chciał... i ogromnie się rozczarował, gdy tak się nie stało. Muszę jednak przyznać, że, przegrawszy, nigdy więcej do tego tematu nie wracał. Jakoś się zmusił, żeby zaakceptować mnie takiego, jakim jestem. Z matką o wiele łatwiej się dogadać. Ona mnie akceptuje... Albo dobrze udaje, że akceptuje... -Uśmiechnął się. - Mama jest aktywistką społeczną, nauczono ją, jak rozwiązywać skomplikowane ludzkie sprawy i jak nakłaniać zwaśnionych do zawarcia pokoju. Doskonale sobie z tym radzi. Ale mama pochodzi z zupełnie innego środowiska niż mój ojciec. On nigdy nie musiał

O nic walczyć, a ona tak, i to ich właśnie różni.

Jego szczerość wzruszyła Ellen. Wprawdzie nie odsłonił przed nią żadnych intymnych tajemnic, ale był otwarty

i okazał jej, zupełnie przeciw obcej osobie, zaufanie, wyjaśniając sprawy, które ją zainteresowały.

- Czekałam tu dziś na pana. Pamiętałam, że pan tędy przechodzi w każdą środę. - Nie zamierzała tego powiedzieć, ale słowa same jej się wysnęły.

- Domyśliłem się - odparł.

Od razu pożałowała swojej szczerości: nie trzeba się było przyznawać. Facet gotów pomyśleć, że ona za nim lata. A to przecież i tak nie była cała prawda, najwyżej jakaś półprawda.

- Właściwie chciałam powiedzieć... - dukała, starając się wycofać z tego, co przedtem palnęła - że i tak tutaj zawsze przychodzę. To mój ulubiony zakątek. Dopiero potem przyszło mi na myśl, że to byłby zabawny zbieg okoliczności, gdybyśmy się znowu spotkali.

Patrzył na jej usta, na wargi, które dziś miały odcień koralu, dobrany do koloru jej letniej sukienki. Potem podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w twarz. Jego oczy zaśmiały się do niej.

- Może byśmy się wybrali na kolację któregoś wieczoru? - spytał. - Jeśli jednak pani uważa, że propozycja jest nie na miejscu, proszę mi powiedzieć.

- Nie na miejscu? - zdziwiła się.

- Tak, jest pani przecież zaręczona.

- Ależ ja często wychodzę z przyjaciółmi. Kevin nie ma zastrzeżeń. Przecież kolacja to nic takiego...

- Wobec tego dobrze, zadzwonię do pani. Ale najpierw chciałbym, żeby pani coś innego zrobiła. Proszę sprawdzić w książce telefonicznej nazwisko, adres i miejsce pracy mego ojca. Nazywa się Aaron Sachs. W ten sposób dowie się pani, kim jestem i że mam szacowną rodzinę.

- I bez tego potrafię się na pana poznać.

- Nie wiem. Przecież mógłbym być Kubą Rozpruwaczem przebranym w elegancki garnitur. Powinna pani być ostrożniejsza.

- W porządku, Kubo! - zaśmiała się. - Na przyszłość będę bardziej przezorna.

Gdy odszedł, siedziała i patrzyła za nim. Na zakręcie odwrócił się i spojrzał na nią, ale nie pomachał jej ręką, tylko poszedł dalej.

Słońce już zaszło i na dworze zrobiło się nieprzyjemnie parno. Wracając do domu, z trudem unosiła nogi. Poczowała się bardzo zmęczona. Na automatycznej sekretarce usłyszała wiadomość od ojca.

- Matka nie czuje się dobrze - mówił. - Nie jest to nagłe zaostrzenie się choroby, ale oboje sądzimy, że lepiej jej będzie w domu. Wracamy jutro.

Ellen od razu zrozumiała, że choroba matki zbliża się do punktu krytycznego. Od dawna się na to zanosilo i dla rodziny przestało być szokiem, raczej zapowiadało wybawienie. A jednak, kiedy przechodziła obok fotografii matki na pianinie, odwróciła głowę, aby się nie rozplakać.

Zadzwonił telefon i jego ostre brzmienie zakłóciło ciszę pokoju.

- Gdzieś ty się podziewała? - pytał Kevin. - W ciągu ostatniej godziny trzy razy próbowałem się połączyć.

- Byłam w parku, czytałam.

- Moje ty biedactwo! Pewnie czujesz się bardzo osamotniona.

- No, nie... Mam przecież pracę i dużo czytam. - Nie wiedziała, co ma mu powiedzieć. Nic jej nie przychodziło do głowy.

- Twój głos wydaje mi się zmieniony. Co się dzieje, Ellen?

- Mama ma nawrót choroby. Jutro tata przywozi ją do domu.

- O Boże, tak mi przykro. Ale przecież wiedziałas, że to musi nadejść. Bądź dzielna! Będę się starał ci pomóc, na ile jest to w mojej mocy.

- Wiem, Kevin!

- A teraz posłuchaj! Mam dla ciebie dobrą nowinę. Przyjeżdżam do domu na Święto Dziękczynienia i zostanę w Stanach przez dwa miesiące. Możemy się pobrać i razem wrócimy do Francji z początkiem lutego.

- Dobrze, ale co będzie, jeśli coś się stanie z mamą?

- Bez względu na to, jak się sprawy potoczą, zaplanujemy cichy ślub. Tylko w gronie rodziny, bardzo skromnie... Wolę to niż wysadza-nie się na Bóg wie co...

Gdy skończyli rozmowę, Ellen po odłożeniu słuchawki nagle się rozplakała. Zdawała sobie sprawę, że płacze nie tylko z powodu mamy, że jest jeszcze inny powód. To dlatego, rozmawiając z Kevinem, była speszona i skonsternowana.

Ellen była z Markiem na kolacji, na koncercie w parku i na jeszcze jednym koncercie gdzie indziej... W pewien deszczowy wieczór wybrali się do kina, a wracając, wzięli taksówkę, która odwiozła ją pod dom. Przez całą drogę poważnie ze sobą rozmawiali i wymieniali uwagi na temat filmu. Tym razem Mark nie był w humorze i nie dowcipkował.

Gdy wróciła do domu, zastała ojca pogodnie usposobionego. W tych dniach każde z nich w obecności mamy udawało dobry nastrój.

- Jak ci się podobał film? - spytał.

- Bardzo ciekawy i dobrze zrobiony.

- Czy twoja koleżanka też tak uważa? Która to koleżanka, przypomnij, jak się nazywa!

- Franka, chodziła ze mną do jednej klasy.

- Kevin telefonował - powiedziała matka. - Myślę, iż się obraził, gdy się dowiedział, że poszłaś do kina. Przecież prosił, żebyś czekała na jego telefon.

- Ach, jak mi przykro! Chyba go dobrze nie zrozumiałam... - Lecz to nie było nieporozumienie, Ellen po prostu o nim zapomniała.

Gdy ojciec wyszedł z pokoju, matka zadała jej dość nieoczekiwane pytanie:

- Czy jesteś szczęśliwa, Ellen?

- Wszystko u mnie w porządku, mam, ale czuła bym się lepiej, gdybym widziała, że u ciebie następuje poprawa.

Matka słabo się uśmiechnęła i już się nie odezwała.

Ellen poszła do swego pokoju. Szykując się do spania, zdjęła z palca pierścionek, położyła go na nocnym stoliku i przez chwilę stała, patrząc na niego. Czuła, jak jej serce kołacze w piersi.

Któregoś dnia matka rzuciła jakby mimochodem:

- Nasza dentystka widziała cię na koncercie z jakimś młodym człowiekiem.

- Czyżby? Ach tak, poszłam na koncert z koleżanką z naszego sklepu i jej przyjacielem. Byliśmy w trójkę.

Nadszedł październik, a z nim chłody i trudno było spotykać się w parku. Pewnego niedzielnego popołudnia Mark zjawił się w górnym mieście w grubym swetrze i ciężkich butach. Wybierali się na spacer do lasu. Ellen też włożyła sportowy strój. Pierwszy raz spotkali się ubrani inaczej niż do pracy.

- W tym ubraniu jest pan całkiem odmieniony! - zawołała.

- Pani też wydaje się bardziej naturalna. Nie, to nie jest właściwe słowo. Chciałem powiedzieć, że robi pani wrażenie swobodniejszej, swojskiej, oczywiście z wyjątkiem pierścionka.

Zgięła dłoń i wpatrzyła się w pierścionek.

- Jest bardzo piękny - wycodziła powoli - ale byłabym szczęśliwsza bez niego.

- To po co go pani nosi?

- Tak się nieraz zdarza. Nie zawsze wiemy, dlaczego tak, a nie inaczej życie nam się układa.

Patrzył ponad nią na dalekie drzewa.

- Pani narzeczony zapewne podoba się pani rodzicom.

- Tak, bardzo.

- To nie jest w porządku, że pani jest tu ze mną. Nic na to nie odpowiedziała, a wtedy dodał ze złością:

- Gdybym ja był zaręczony i miał poślubić dziewczynę, nie zniósłbym tego, aby się spotykała z innym mężczyzną, i to w parku Centralnym w niedzielne popołudnie. Patrzyła na niego i wciąż milczała.

- Chodź do mnie! - krzyknął, chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. W gęstych zaroślach, których można się było spodziewać daleko stąd, a nie zaledwie o krok od Piątej alei, połączył ich pierwszy pocałunek i trwał tak długo, jakby się nigdy nie miał skończyć.

- O Boże! - szepnęła Ellen. - O Boże! - I rozplakała się.

Musieli się gdzieś spotykać, więc w następnym tygodniu Mark wynajął pokój w luksusowym hotelu. Udawali turystów i weszli tam, jak przystało, z bagażami.

- Tu jest za drogo - protestowała Ellen. - Nie stać cię na taki hotel.

- Nie! - odparł. - Zaslugujemy na to, by spotykać się w pięknym otoczeniu. - Ach, moja ty! - szeptał - oddałbym życie za ciebie, wiesz?

Całą noc przeleżeli w czułym objęciu, spleceni ramionami. O spaniu nie było mowy. Pragnęli, by ta noc nigdy się nie skończyła.

- Boże, jak ja cię kocham... - powtarzał. Miał łzy w oczach. Kevin nigdy się tak nie wzruszał, ona też nie. Miłość i kochanie się z Markiem były dla Ellen zupełnie nowym doznaniem. Nie spodziewała się, że jej odczucia mogą się aż tak bardzo różnić od tych, jakie znała przedtem. Nie miała pojęcia, że w ogóle można coś takiego przeżywać. Bo i skąd

miałaby to wiedzieć? „Ten mężczyzna ma takie same reakcje jak ja - myślała. - Jesteśmy z jednego kruszcu”.

Co tydzień zmieniali hotel, a Ellen wymyślała coraz to nowe powody, dla których nie nocuje w domu.

- To nie ma sensu - oznajmił w końcu Mark. - Pójdę do twego domu i powiem im prawdę.

- Nie możesz tego zrobić. Przecież nadal jestem zaręczona z Kevinem. A poza tym mama jest zbyt chora, by narażać ją na przykrości, jakie niewątpliwie czekałyby ją ze strony ojca. A co z twoją rodziną? Czy twój ojciec nie będzie rozdzierał szat z mego powodu? Słyszałam, że oni to robią.

- Nie sądzę - odparł ponurym głosem Mark. - Może uczyni to w duszy, ale na pewno niczego nie będzie darł.

- Przecież nie mogliśmy nic na tę miłość poradzić. Kiedy dziewczyna dorasta, zawsze pyta, jak można rozpoznać prawdziwe uczucie. I na to nikt nie jest w stanie dać jej satysfakcjonującej odpowiedzi. „Sama się dowiesz” - mówią, i to wszystko. To prawda. Możesz mi wierzyć...

Przed pierwszym listopada w oknach wystawowych sklepów pojawiły się dynie, prawdziwe i te zrobione z czekolady lub papieru. Kiedyś na spacerze Mark przypomniał, że Święto Dziękczynienia jest już blisko.

- Tak, wiem i przyznam ci się, iż tak się tej daty boję, że aż mi to sen odbiera.

Tego wieczoru matka znowu jej spytała, czy jest szczęśliwa.

- Już mnie o to pytałaś - odpowiedziała łagodnie.

- Myślę, że gdybyś nie była, to i tak byś mi nie powiedziała.

„To jasne - zgodziła się w duchu Ellen - że bym ci się nie zwierzyła. Wiem od lekarzy, że twój czas się kończy, że to są twoje ostatnie tygodnie, a może nawet dni. Zastanawiam się, czy sama o tym wiesz. Jeśli

znasz prawdę, też jej nam nie mówisz. Wszyscy staramy się oszczędzić sobie wzajemnie bólu".

Gdy Susan umarła, Kevin przyleciał do Stanów na pogrzeb. Przez kilka następnych dni dom Ellen oblegany był przez odwiedzających, składających kondolencje, i bez przerwy nękany telefonami. Pod koniec tego trudnego tygodnia Kevin wystąpił z propozycją, by Ellen odwiedziła go w jego mieszkaniu. Tłumaczył, że ona koniecznie potrzebuje choć krótkiego wytchnienia, a u niego znajdzie parę godzin spokoju.

RS

Kiedy przekręcał klucz w zamku, Ellen czuła, że zbliża się najgorsza godzina w jej życiu. Często przymierzała się do tej sceny i ćwiczyła ją w różnych wariantach, ale wciąż nie miała pomysłu, co mogłaby mu powiedzieć, żeby go za bardzo nie zranić.

Gdy ją objął, nie stawiała oporu, ale stała sztywno, z opuszczonymi ramionami. Postanowiła być dla niego bardzo, bardzo miła, ale gdy poczuła, jak prze na nią swoim ciałem, zrozumiała, że nie da rady.

Cofnął się o krok, na jego twarzy odmalowało się zdumienie i jakby przestrah.

- Nie rozumiem - powiedział. - Nie cieszysz się, że jestem z tobą.

- Tak, ale, ale... - dukała - tyle się zdarzyło. Trudno mi o tym mówić.

- Wiem. Twoja matka... - starał się wyjść jej naprzeciw. Poczuła, że ją coś dławi w gardle. Spojrzała w stronę

okna, w ciemność kryjącą się za nim i na dalekie światła miasta.

- Nie tylko o mamę chodzi, Kevinie. Jest coś jeszcze. Nie wiem, jak ci o tym powiedzieć. Czuję się jak zdrajczyni, złodziejka, oszustka... Nie spodziewałam się, że to mnie może się coś takiego przydarzyć, ale się zdarzyło. Po prostu się stało. Nie chciałam cię zdradzić, a jednak...

Patrzył na nią z uwagą. Widziała, jak sięga ręką, by przytrzymać się oparcia krzesła. Przez parę chwil stali oboje twarzą w twarz i patrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- Kim on jest, Ellen?

- Daj spokój, to nie ma znaczenia - prosiła.

- Nie bój się! Nie zabiję go, powiedz!

- Spotkałam go pewnego dnia tego lata. Jest przyzwoitym, dobrym człowiekiem, takim samym jak ty. Żadne z nas nie chciało oszukiwać ani zadawać bólu... Nie potrafiliśmy jednak nic poradzić na to, co się stało. To jest cała prawda, przysięgam ci. ,

- I oczywiście spałaś z nim, podczas gdy ja byłam daleko stąd i tęskniłam za tobą.

Zdenerwowany, z całej siły ścisnął dłońią oparcie krzesła, aż mu zbieleły knykcie. Wiedziała, że tak się mówi, że istnieje takie utarte powiedzonko, ale jego knykcie naprawdę były białe.

- Mógłbym cię zwymyślać i niejedno ci wygarnąć, ale tego nie zrobię. Szkoda mego trudu. Nie jesteś tego warta... - wyrecytował ze złością.

Minęło sporo lat, ale czas nie zatarł tej sceny w jej pamięci. Nastrój tamtej chwili, słowa, jakie wtedy padły, i milczenie, które potem nastąpiło, nadal żyły w jej myślach, nie tracąc nic z dawnego impetu. Pamiętała nie tylko tę scenę, ale i inne, które miały miejsce nieco później.

Kevin wrócił do Francji z pierścionkiem zaręczynowym w kieszeni. Od wspólnych znajomych Ellen dowiedziała się, że bardzo ciężko przeżył rozstanie. Wiadomość o tym, co zaszło, jeszcze gorzej przyjął jej ojciec.

- Zapomniałaś, co to prawda i honor, Ellen. Nie do wiary... moja córka ma coś do ukrycia, kłamie i oszukuje przyzwoitego i godnego zaufania człowieka. To jest w najwyższym stopniu oburzające! - pienił się tata.

- Zmieniłbyś zdanie, gdybyś się spotkał z Markiem - tłumaczyła. - Nie jest w porządku, że go nie znasz, a już potępiasz... - Nie błagała go; mówiła z podniesionym czołem.

- Nie muszę go oglądać i tak wiem o nim wystarczająco dużo. On do ciebie nie pasuje... To wszystko! Prosiłem cię, żebyś dla własnego dobra jeszcze raz tę sprawę przemyślała, ale nie chcesz. Jesteś głupia, uparta i samowolna! Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Taki sam dramat rozegrał się w domu Marka.

W końcu Ellen spakowała swoje rzeczy, skreśliła kilka ciepłych słów pożegnania do ojca i poślubiła Marka w urzędzie stanu cywilnego.

Do spotkania młodych z oboma ojcami jednak doszło. Stało się to w jakiejś pół roku później, za sprawą babci, która urządziła u siebie przyjęcie dla całej rodziny. Aby zachować pozory, nazwała je spóźnionym przyjęciem ślubnym dla Marka i Ellen. Przyjęcie odbywało się w ogrodzie, na rozległym trawniku, tak dużym, że pewne osoby, szczególnie

zaś obaj ojcowie, nie musieli wchodzić sobie w drogę, zwłaszcza że babcia zadbała o to, by paru jej starszych krewnych i sąsiadów przyjęło na siebie rolę zderzaków, nie dopuszczając do kontaktowania się zważnionych stron.

- Kontakty? Owszem, ale na bezpieczną odległość -zartował Mark.

Mimo że był piękny letni dzień, a w ogrodzie pachniały róże i serwowano poncz, na przyjęciu panowała okropna atmosfera. Jedyne niektóre starsze panie, zachwycone romansową historią młodej pary, którą przyrównywały do Romea i Julii, odważnie podtrzymywały konwersację. Ta zaś jak nadmuchany balonik w każdej chwili narażona była na to, że powietrze z niej ujdzie i oklapnie.

Pierwsza ze skłóconych rodziców opamiętała się Brenda. Ellen zawsze będzie jej za to wdzięczna. Potem przyjscie na świat małej Lucy stało się punktem zwrotnym, od którego spór zaczął łagodnieć. Ostatecznie obaj ojcowie pogodzili się na tyle, że zaakceptowali związek Marka i Ellen pod warunkiem, iż nikt ich nie będzie zmuszał do spotykania się ze sobą.

Ellen odłożyła na miejsce deskę do prasowania i zaczęła szykować kolację. Rozmyślając o przeszłości, doszła do wniosku, że nienawiść, jaką do siebie żywili obaj ojcowie, była zjawiskiem patologicznym. „Trudno - powiedziała sobie - tak widać musi być”.

Wkrótce do domu wrócił Mark.

- Umieram z głodu - zaanonsował od progu i odłożywszy teczkę, ucałował Ellen i dzieci. - Co to za list? -zainteresował się.

- Od babci. Zaprasza nas w przyszłym tygodniu na obiad i proponuje, żebyśmy zostali u niej na noc.

Mark przeczytał zaproszenie na głos:

„ Proszę Cię, Ellen, żebyś nie wspominała o naszym spotkaniu ojcu, gdyż tym razem poprosiłam także rodziców Marka. Twego ojca zaproszą przy następnej okazji”.

- Nie wiesz, czy rodzice się wybierają? - spytał Mark.

- Tak, jadą i zabiorą nas swoim autem.
- Powinniśmy częściej widywać twoją babcię. Uroczą z niej starszka. Myślę, że za młodu musiała być podobna do ciebie.
- Gdy Freddie będzie trochę starszy, zacniemy częściej jeździć do babci. Teraz to trochę skomplikowane.
- Pamiętasz, jak nam urządziła ślubne przyjęcie? Boże, cóż to była za męczarnia! Spocilem się wówczas jak mysz, a wszystko przez naszych zagniewanych tatusiów... Minęło dziewięć lat, ale zapewniam cię, że nie byłbym w stanie jeszcze raz przez to przejść. - I zaśmiał się, wspominając stare dzieje.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Aneta miała dobry zwyczaj, wywodzący się jeszcze z czasów dzieciństwa, że bez względu na to, co się w ciągu dnia wydarzyło, tuż przed zaśnięciem zawsze myślała o czymś przyjemnym, co miało ją spotkać nazajutrz. Najczęściej chodziło o coś małego i niewiele znaczącego. Cieszyła się na przykład, że się jutro wybierze do miejscowej księgarni i przejrzy nowe książki albo że spędzi popołudnie ze starą przyjaciółką. Czasem chodziło o rzecz tak trywialną jak parówki w cieście, które sobie wymarzyła na śniadanie. Nie przejmując się tym, co mówią inni, Aneta święcie wierzyła, że za sprawą małych przyjemności duże zmartwienia stają się bardziej znośne. Nie uważała się przy tym za znawczynię, jeśli chodzi o zmartwienia.

- Niewiele miałam trudnych chwil w życiu - przyznawała. - Najgorsze to śmierć męża i ów tragiczny wypadek, w którym zginęły bliźniaki Cynthii.

Rozumiała, że nie może porównywać swoich obecnych kłopotów z tamtymi tragicznymi wydarzeniami. Niemniej bolał ją fakt, że jej synowie rozstali się w gniewie, że dalej w nim trwają i że ta sytuacja się przewleka. „W naszym języku - myślała - istnieją takie pojęcia jak »rodzeni bra-cia« albo »braterska miłość«, mam więc chyba prawo wierzyć, że moi synowie są za starzy i zbyt inteligentni, by chcieli takie cenne związki podeptać”.

W rodzinie zdarzyły się jeszcze inne wypadki, które naruszały jej poczucie sprawiedliwości. Na przykład mający wkrótce nastąpić - jej zdaniem zupełnie niepotrzebny - rozwód Cynthii z sympatycznym mło-

dym mężem. Bolało ją także, że teściowie Ellen byli raczej nieprzychylnie do niej nastawieni, co niewątpliwie uprzykrzało jej wnuczce życie. „Co, na Boga, dzieje się z tymi świątymi przecież ludźmi? Dlaczego nie zachowują się tak, jak osobom w ich wieku przystało?” Miała ochotę mocno im przygadać.

Niełatwo było jednak pogodzić skłóconą rodzinę. W jednym krótkim, natchnionym momencie uwierzyła, że to się może udać, i właśnie wtedy wysłała owe perfidne zaproszenia. Już jutro rano wszyscy się tutaj zjadą... Na myśl o tym oblatywał ją paniczny strach.

Poszła do biblioteki, stanęła naprzeciw portretu zmarłego męża i przyznała mu się do swoich planów. Bystre piwne oczy Lewisa uważnie jej się przyglądały. Na lewej dłoni, spoczywającej na otwartej książce, lśniła ślubna obrączka. Przez chwilę jej się zdawało, że Lewis, jak to nieraz robił za życia, znowu sobie z niej pokpiwa. Jakby mówił: „Co ty wyrabiasz, Aneto? Po co intrygujesz? Dlaczego jesteś wścibska?”

- Nieprawda! Nie jestem! - powiedziała na głos. - Gdybyś żył, sam dałbyś swoim synom nauczkę.

Przypomniały jej się czasy, gdy ich mali synkowie kąpali się razem w wannie. Rozbawiło ją wspomnienie dnia, kiedy dość już duzi na to, by się kąpać bez opieki, zalali wodą całą łazienkę.

Na ich głośny krzyk, który podnieśli w momencie, gdy wesołość przemieniła się w przerażenie, biegiem zjawili się rodzice. Na podłodze utworzyło się już małe jezioro, a obaj chłopcy zawzięcie mocowali się w wannie.

- On wsadził mi mydło do oczu! - wrzeszczał jeden.

- A on mnie uderzył! - krzyczał drugi.

Zanim ta mokra, śliska i głośno protestująca para została wyciągnięta z wanny i uspokojona, zanim podłogę powycierano i przywrócono porządek w łazience, oboje z Lewisem byli przemoczeni do suchej nitki.

A jak się sprawa zakończyła? Wszyscy poszli razem na lody, byli weseli i szczęśliwi, jak tylko można sobie wymarzyć. Gdybyż to mogła

równie łatwo poradzić sobie z dzisiejszymi zmartwieniami... Tymczasem Cyntia, zamiast dołożyć starań, by uratować swoje małżeństwo, decyduje się na rozwód. Dlaczego?

- Przecież nasze życie też się nie składało z samych przyjemności. Nie stąpaliśmy po różach i nie piliśmy bez przerwy szampana, prawda? Powiedz sam, Lewisie! Albo te dzieciaki, Ellen i Mark. Ich rodzicom nie podoba się, że się młodzi w sobie zakochali. A jak było z nami? Ty nie miałeś grosza przy duszy, kiedyśmy się pobierali. Wiem, że moi rodzice nie byli tym zachwyceni, ale nigdy nie powiedzieli złego słowa.

Aneta skończyła rozmawiać z portretem i w pokoju zapadła przeraźliwa cisza. Psy spały w swoich koszykach i nawet gdy śniły o polowaniu, nie drgnął im żaden mięsień. „Pewnie śnią o dawnych latach - pomyślała. - Są tak stare jak ja. Mam nadzieję, że mnie nie przeżyją, bo kto by się nimi wtedy opiekował? Chciałabym wiedzieć, ile im jeszcze pozostało życia, aby móc sobie wszystko zaplanować. Przecież w naszych czasach ludzie dożywają dziewięćdziesiątki, choć liczyć na to nie można. Wydaje mi się, że na nic nie można teraz, niestety, liczyć... Może to mój wiek sprawia, że mam taki właśnie punkt widzenia? Jestem stara, więc prawie młodym morały. A jednak trochę ich się boję. Ciekawa jestem, co się tu jutro będzie działo”.

Uświadomiła sobie nagle, że powinna poprosić o pomoc. Byłoby szaleństwem nie skorzystać z tej szansy. Podeszła do telefonu.

Maria Lester mieszkała w pół drogi między domem Byrne'ów a liceum, w którym od lat uczyła. Dobiegała pięćdziesiątki, ale wyglądała o dziesięć lat młodziej. Była niezwykłą osobą; łączyła ją z Anetą prawdziwa przyjaźń.

Aneta zawsze się udzielała społecznie, przez wiele lat działała też w radzie szkolnej, i to nawet długo potem, kiedy jej wnuki - nie mówiąc już o dzieciach - ukończyły i opuściły szkołę. Z Marią nawiązała bliską znajomość, która z czasem przerodziła się w przyjaźń.

Któregoś sobotniego ranka Aneta nieoczekiwanie spotkała ją w lesie należącym do Byrne'ów, spacerującą z grupą przedszkolaków. Maria udzielała dzieciom pogładowej lekcji przyrody.

- Mario, czyżbyś się już zmęczyła uczeniem nastolatków? - spytała zdziwiona.

- Nic podobnego. Jestem w zarządzie Komitetu Ochrony Przyrody, a że dziś rano w przedszkolu zabrakło nauczycielki i nie miał kto pójść z dziećmi na poranny spacer, chętnie się nimi zajęłam. W ten sposób dzieci nie straciły lekcji, a mnie odmiana sprawiła przyjemność.

Aneta odniosła wrażenie, że Maria jest smutna. Od kilku lat była wdową, mieszkała sama, jej dzieci dorosły i wyjechały w świat. W małym miasteczku nie było zbyt wielu kawalerów do wzięcia, a nauczycielkom brak czasu nie pozwalał wyruszyć na poszukiwania gdzieś dalej. Nawet taka piękna kobieta jak Maria pozostała samotna. Anecie było jej żal; uważała, że się marnuje. Teraz skorzystała z okazji i zaprosiła Marię na kolację.

- Wpadnij do mnie któregoś wieczoru w tygodniu, jeśli oczywiście nie masz nic innego do roboty - dodała. - A może towarzystwo starszej pani nie jest dla ciebie zbyt interesujące?

- To zależy, kim jest ta starsza pani - odparła z uśmiechem Maria. - Nie musisz zaznaczać, że mam przyjść w tygodniu, bo często miewam wolne weekendy.

- Może więc spotkałybyśmy się dziś wieczór?

- Z przyjemnością, i dziękuję za zaproszenie. Wieczór spędziły bardzo miło; od tej pory często takie spotkania powtarzały. Obie kochały książki, muzykę i przyrodę. Namiętnie też studiowały różne szczytne idee i teorie. A poza tym, jak wszystkie kobiety będące matkami, lubiły sobie opowiadać historie dotyczące ich własnych rodzin.

Aneta miała tę przewagę, że będąc osobą zamożną, mogła podróżować po świecie. Woląla jednak nie opowiadać o tym, co i gdzie widziała, bo uważała takie opisy za mało interesujące.

- Przyznam ci się - mówiła Marii - że za największych nudziarzy uważam ludzi, którzy z upodobaniem relacjonują przygody, jakie ich spotkały w podróży. Opowiadają o tanich hotelach, na jakie udało im się natrafić, albo się żalą na żołądkowe przypadłości trapiące ich za granicą.

- Ale twoje historie nigdy nie są nudne - oponowała Maria. - Opowiedz mi o rzece Ganges. Czy naprawdę płyną w niej ludzkie zwłoki? I czy to prawda, że w Mongolii pije się sfermentowane mleko kłacki? Zapewniam cię, że ani trochę mnie nie znudzisz.

Z Marii emanował niezwykle spokoj. Tak się przynajmniej na zewnątrz wydawało. Co tkwiło w niej w środku, tego oczywiście nikt nie wiedział. Zadumana, z zasluchanym wyrazem twarzy, zawsze mówiła łagodnym głosem. Gładkie, ciemne włosy, z przedziałkiem pośrodku, szeszyła ku uszom. Cała jej postać oddziaływała na ludzi kojąco. Przyjemnie było zarówno jej słuchać, jak ją oglądać. Aneta nie mogła się dopatrzeć w Marii ani zapobiegliwości, ani przedsiębiorczości, jakie cechowały Cyntię i Ellen. „Moje wnuczki najprawdopodobniej odziedziczyły te cechy po mnie” - pomyślała, uśmiechając się do siebie.

Obie panie nie tylko się lubiły i podziwiała, ale także świadczyły sobie różne małe przysługi, jak to zwykle bywa wśród przyjaciół. Maria zrobiła Anecie piękny sweter na drutach, ta zaś zrewanżowała się przyjaciółce książkami i zaproszeniem do kina na poranny seans. Obie panie chętnie się sobie zwierzały. Tak więc Maria wiedziała wszystko o skomplikowanych problemach i długotrwałych nieporozumieniach, jakie trapiły liczną rodzinę Anety. W tej właśnie sprawie starsza pani teraz do niej zatelefonowała.

- Mario - powiedziała - potrzebuję twojej pomocy. Muszę wyprostować ścieżki błądzących członków mojej rodziny. Nie ma sensu, żeby moi bliscy nadal zatruwali sobie wzajemnie życie. - Ale że mimo wszystko dręczyły ją pewne wątpliwości, poprosiła: - Powiedz mi prawdę: Czy postępuję słusznie? Czy może wścibiam nos w nie swoje sprawy?

- Oczywiście, że wścibiasz, ale to nie znaczy, że nie powinnaś tego robić. Największe osiągnięcia zawdzięczamy ludziom, którzy wtykali nosy w sprawy innych.

- A więc przyjdiesz? To dobrze! Możesz się wygodnie rozsiąść w moim biurze. Mam taki mały, ustronny kącik, gdzie sprawdzam rachunki, wypisuję czeki i przeglądam prasę. Chciałabym, żebyś się tam

rozgościła. Możesz sobie w tym pokoiku czytać, ale gdy usłyszysz, że dochodzi do głośnej wymiany zdań, a jestem pewna, że do niej dojdzie, wyjdiesz i zadziałasz jak zderzak. Rozumiesz? Masz być buforem rozdzielającym zwaśnionych. Zgadzasz się?

- Dobrze! Przyjdę trochę wcześniej... Zdaje się, że wizyta zapowiada się bardzo interesująco.

W głosie Marii Aneta usłyszała ukryty śmiech i od razu się uspokoiła. Wiedziała, że zdobyła sprzymierzeńca.

- Połóż się spać, Aneto! - radziła jej przyjaciółka. -I jak zwykle pomyśl o czymś miłym, co może cię jutro spotkać.

Dokładnie o dziesiątej opony samochodu Gene'a za-chręściły na zwirowym podjeździe. Od najmłodszych lat, od kiedy się nauczył rozpoznawać godziny, zawsze był na umówionym miejscu punktualnie co do minuty, albo nawet jakieś pięć minut wcześniej. Jego skrupulatność stała się w rodzinie przysłowiowa.

„Może tym razem - myślała Aneta - uda mi się przekonać go do podjęcia potrzebnych i słusznych kroków”.

Kawa i jego ulubione cyrmonowe rogaliki przyniesiono na tacy i podano na werandzie, gdzie Gene lubił siadywać w wiklinowym ogrodowym fotelu pośród kwitnących roślin.

- Widzę, że przemalowałaś fotele - zwrócił się do matki. Zauważył zmianę koloru natychmiast po przyjściu.

- Pomyślałam, że białe foteliki będą miłą odmianą. Podobają ci się?

- Tak! Są bardzo ładne. I podoba mi się także, że się nadal otaczasz afrykańskimi fiołkami. Tu czuje się lato.

- Ten efekt osiągam głównie dzięki właściwemu oświetleniu. Wszystko inne nie jest takie istotne.

- Trudno uwierzyć, siedząc tutaj, że na zewnątrz jest około czterech stopni mrozu!

- Przekonałam się o tym, kiedy wyprowadzałam psy na spacer.

- Stary Roscoe wciąż w dobrej formie, prawda?

- Jak najbardziej. Świetnie się trzyma, biorąc pod uwagę jego wiek. Popatrz, jak to psisko lubi słońce!

Gene spojrzął na psa, który ułożył się na plamie słońca tuż obok fotela Anety. Potem przesunął wzrok na matkę i stwierdził, że ona także zachowała doskonałą formę, choć już nie jest najmłodsza. Wciąż była szczupła, elegancka i zadbana - począwszy od wyglansowanych bucików, blado-niebieskiej sukni z samodziałowej wełny, a skończywszy na pięknie ułożonych siwych włosach. Gdy wreszcie wzrok Gene'a spoczął na tacy, na której stały dwie filiżanki i dwa talerze, odetchnął z ulgą. Ucieszył się, że prócz niego nie będzie innych gości, a miał już pewne obawy, że spotka tu adwokatów i lekarzy, których mama mogła ściągnąć na konsultacje. Nic takiego jednak nie zaszło.

- Przerzucalam różne starocie na strychu - ciągnęła rozmowę Aneta - i byłam zaskoczona, widząc, ile rzeczy się tam nagromadziło. Znalazłam przedmioty, których się wcale nie spodziewałam. Niespodzianką była na przykład wasza dziecinna kolejka elektryczna. Myślałam, że dawno temu oddaliśmy ją komuś, a tymczasem wagoniki leżały na strychu, doskonale zabezpieczone, każdy zawinięty w bibułę. Chyba zrobił to wasz ojciec. A poza tym znajdował się tam jeszcze tabor uzupełniający i cała masa elementów, takich jak mosty, tunele, rzeki, wioski i drzewa. Za parę lat to moje znalezisko okaże się prawdziwym skarbem dla Freddiego.

- Oczywiście! - zgodził się Gene. - Nie wiem tylko, gdzie jego rodzice zamieszczą kolejkę z tak bogatym wyposażeniem. W ciasnym mieszkaniu może nie być dla niej miejsca.

W czasie rozmowy z matką Gene wciąż się zastanawiał, dlaczego zaprosiła go właśnie na ten dzień. „»Zaprosiła« -to nie jest właściwe słowo - myślał. - »Wezwała«, byłoby odpowiedniejsze". Bo teraz, kiedy do tej sprawy wrócił, list, jaki otrzymał od matki, wydał mu się nieco dziwny. Niby dlaczego miał przyjechać akurat dziś i przenocować? Byłoby bardziej naturalne, gdyby napisała: „Będzie mi miło, jeśli mnie

wkrótce odwiedzi. Co sądzisz o najbliższym lub następnym tygodniu?"

Jeśli jednak popatrzeć na tę sprawę z innej strony, nie jest to wcale nadzwyczajne, ale raczej zupełnie zrozumiałe w jej wieku, że pragnie jak najszybciej zobaczyć swego syna.

- A jak się miewa mała Lucy? - indagowała go matka. - Nie widziałam jej od czasu, gdy przyjechali do mnie w wolny weekend na Święto Pracy, i bardzo za nią tęsknię.

- Lucy to moja największa radość... Wziąłem ją na przedstawienie *Dziadka do orzechów* w zeszłym tygodniu. W teatrze było mnóstwo dzieci, a wszyscy tylko na nią patrzyli i wymieniali miłe uwagi. Miała na sobie czarną aksamitną sukienkę, którą, jak mi Ellen powiedziała, dostała od ciebie, i wyglądała prześlicznie ze swoją złoto-blond główką... A do tego jeszcze ten uroczy szczebiot...

- Ależ z ciebie dumny dziadek! - śmiała się Aneta.

- Przyznaję, że tak jest. Ale ona naprawdę zwraca na siebie powszechną uwagę. Jest podobna do Ellen jak dwie krople wody. Nie uważasz? A z kolei Ellen jest bardzo podobna do ciebie.

- To niezasłużony komplement. Ellen wygląda dokładnie tak jak jej matka.

- Susan? - Nieraz całymi dniami czuł się pogodzony z jej stratą, ale czasem wystarczyło wspomnieć jej imię albo pomyśleć o jej pięknej twarzy, czy nawet usłyszeć strzęp jej ulubionej melodii, a już ostry ból przeszywał mu pierś. - Okropnie mi jej brak - nic więcej nie mógł powiedzieć.

- Wiem - szepnęła Aneta - to nagle człowieka dopada, prawda? Takie bolesne ukłucie w sercu. Znam ten ból.

Przez chwilę oboje milczeli. Ona wpatrzona w przestrzeń gdzieś daleko nad jego głową. „Wspomina mego ojca” - pomyślał Gene. I udzielił mu się jej smutek.

- Tak, tak... - powtarzała cichym głosem - wciąż wracamy do przeszłości. To nieuchronne. Jakbyśmy patrzyli w teleskop, tylko z odwrotnej strony. Wtedy wszystko się oddala: trawnik przed domem, łąki,

wzgórza, góry i to, co za nimi. Im dalej patrzymy, tym stają się mniejsze. Tak jak w życiu... to, co oddalone w czasie, wydaje się coraz mniej istotne.

W Genie obudziła się czujność. Matka raczej nie była skłonna do banalnego filozofowania. Ale że nie do końca wyłożyła swój punkt widzenia, więc uprzejmie słuchał, co jeszcze ma do powiedzenia.

- Jest też inny aspekt upływającego czasu - mówiła. - Tak się nieszczęśliwie składa i to jest naprawdę smutne, że gdy po latach wracamy myślą do tego, co było w naszym życiu dobre, obraz tych szczęśliwych chwil stapia się w jakąś zamazaną różową mgiełkę. Natomiast to, co było złe, uwidacznia się, tworząc wyraźne czarne plamy. Zauważyłeś to? Kiedyś pokłóciłam się ze swoją siostrą i mimo że się potem pogodziłyśmy, to gdy umarła, wciąż pamiętałam o sporze. Nie chciałam jej tego pamiętać, ale to we mnie tkwiło... Byłam wdzięczna losowi, że zdążyłam się z nią wcześniej pogodzić.

„Ach! - pomyślał - więc o to chodzi! Znów nawiązuje do starej sprawy”. Sięgnął po dzbanek, by nalać sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, i cały czas się głowił, jakim sposobem można by oględnie przerwać matce kontynuowanie tego bolesnego wątku. Nagle Roscoe się poderwał i ostro zawarczał, a z frontowego holu doszło ich histeryczne, wrzaskliwe szczekanie spaniela. Po chwili dały się słyszeć głosy nowo przybyłych gości.

- Witaj, Jenny! - donośnie zabrzmiał męski głos.

„O mój Boże! - pomyślał Gene. - Przecież to Lewis!”

- Pięknie wyglądasz, Jenny! Wcale sienie starzejesz... - To mówiła Daisy, szwagierka, której nie znosił, podobnie jak jej udawanego angielskiego akcentu.

- Powieszę wasze płaszcze, a wy już wchodźcie! Matka jest na werandzie.

Poznał po głosie Jenny. Na pewno została wtajemniczona w plany matki i teraz pęka z ciekawości, co się dziś zdarzy.

Trzy osoby stanęły w drzwiach werandy i zaglądały do środka. Jedną z nich była Cyntia. Gene uniósł się w fotelu i zaraz usiadł. Zapanoowało

przykre milczenie. Aneta zerwała się z miejsca, ale przez moment wydawała się niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

„Tym razem za daleko się posunęłaś, mamó! – pomyślał Gene. - A teraz, biedactwo, nie wiesz, co robić”. Poczul, że mu serce przepelnia litość.

Zrozumiał już, dlaczego tak nalegała, by przyjechał o dziesiątej. Chciała mieć pewność, że się samochody braci nie spotkają na wąskich wiejskich drogach i żaden z nich nie zawróci.

Siłą woli Aneta zdołała się opanować i wziąć w garść. Zachowywała się tak, jakby przybycie nowych członków rodziny było czymś zupełnie naturalnym: witała się z nimi, całowała, wskazywała, gdzie mają usiąść, i proponowała świeżo parzoną kawę. Ale tamci trzymali się z daleka i nikt nie ruszył się z miejsca.

Pierwszy odezwał się Lewis.

- Co to ma znaczyć, mamó? Czy to miał być żart? Jeśli taką miałaś intencję, to żart jest raczej kiepski.

- Nic podobnego. Cel był jasny: chciałam zobaczyć moich synów, obu razem. - Serce jej mocno kołatało, ale głos brzmiał pewnie.

- Bardzo cię szanuję, mamó - powiedziała Daisy - ale uważam, że miałaś fatalny pomysł. Przebyliśmy z Lewisem szmat drogi, żeby się tu dostać z Waszyngtonu. Niepokoiłiśmy się o ciebie. Myśleliśmy, że jesteś chora. Naprawdę...

- Trzeba aż zachorować, żeby zasłużyć na waszą wizytę?

- Oczywiście, że nie; niemniej popełniłaś straszny błąd!

- Pozwól, niech się moi synowie sami na ten temat wypowiedzą.

Tymczasem obaj bracia stali, nie patrzyli na siebie, nic nie mówili i wyglądali, jakby się zbierali do ucieczki. Byli bardzo do siebie podobni: przystojni, dystygowani, ciemne włosy lekko przyprószyła siwizna. Przypominali wytwornych panów z reklamy propagującej bank inwestycyjny. Obaj mieli szerokie, proste i gęste brwi, i wydatne, zmysłowe wargi, w czym byli podobni do ojca. Na pewno można by ich nazwać atrakcyjnymi mężczyznami, choć żaden urodą nie dorównywał ojcu. „Gdyby on tu był, miałby im niejedno do wyrzucenia - pomyślała Ane-

ta. - Ale jeśli myślą, że im pozwolę stąd wyjść, nie rozmówiwszy się, to się mylą".

- Popelniłaś straszny błąd - powtórzyła Daisy. - Przykro mi, mamó, że choć z bólem serca, ale muszę ci to powiedzieć.

Aneta była zła, a lodowata uprzejmość Daisy jeszcze jej złość spotęgowała. Daisy spędziła rok na angielskiej pensji i mimo że to było bardzo dawno temu, nadal nosiła szkockie kilty zapięte na agrafkę i mówiła z udanym angielskim akcentem. Aneta starała się ją polubić i przeważnie jej się to udawało, czasem jednak przychodziło z trudem, i tak właśnie było tym razem.

- I mnie jest przykro, że tak to odczuwasz, Daisy. Ale jestem ich matką i chcę, żeby między nimi zapanowała zgoda.

- Na to jest już za późno - znowu odezwał się Lewis.

- Póki człowiek żyje, na nic nie jest za późno.

- Przebrała się miarka, mamó!

- To śmieszne, co mówisz! - Sama się sobie dziwiła, że jest w stanie zachować spokój w głosie i postawie, choć serce jej biło jak szalone.

- Śmieszne? - powtórzył po niej Gene. - Nie wiem, jak możesz tak mówić. - Ostatni raz widział Lewisa, gdy ze swoimi adwokatami obaj opuszczali sąd. Wtedy ze sobą nie rozmawiali i na pewno nie zrobią tego teraz. W żadnym wypadku... Nie po tym wszystkim, co przeszedł... -Kiedy ludzie zeznają przeciwko sobie na sali sądowej, nie jest im do śmiechu, mamó!

- Masz rację, Gene! Cofam to słowo. Należało raczej nazwać tę sytuację tragiczną. Tak, to by było właściwe określenie.

- Ach, dajcie spokój! - zawołała Cyntia, nie kierując swoich słów do nikogo konkretnego.

Cyntia budziła litość. Gene szukał wzroku bratanicy, by mogła w jego oczach wyczytać - chociaż na pewno i tak to wiedziała - że nienawisć, jaką żywi do jej ojca, nie ma z nią nic wspólnego. Ale Cyntia miała spuszczone wzrok, cienie pod oczami i wydała mu się strasznie szczupła. Nosiła modny kostium, znacznie różniący się od stroju Ellen, która miała trochę konserwatywny gust. Awangardowy ubiór Cyntii

jeszcze bardziej podkreślał zmiany, jakie w niej zaszły. Gene rzadko widywał bratanicę po tragedii, jaka ją spotkała. Zdarzało mu się to jedynie przy nielicznych okazjach, gdy w czasie odwiedzin u Ellen akurat zastawał u niej Cyntię. Przypuszczał, że nieczęsto bywała u Ellen, gdyż taka wizyta łączyła się z bolesnymi wspomnieniami. Freddie był niemal w tym samym wieku co jej bliźniaki wtedy, gdy zginęły.

- Chodźmy stąd, Cyntio! - zawołała Daisy. - Tylko tego ci brakuje... Jakbyś nie miała dość własnych zmartwień.

Gdy opuściły werandę, Aneta stanęła w drzwiach, blokując wyjście.

- A teraz proszę, żebyście wy dwaj posłuchali, co mam wam do powiedzenia. Tyłe jesteście mi chyba winni. Usiądźcie!

- Zostanę, ale robię to tylko dla ciebie - powiedział Lewis - bo nie chcę cię jeszcze bardziej martwić. Proszę cię jednak, mam, żebyś nie używała słów, które bolą i ranią. Nie zasłużyłem na nie. Czyżbyś już zapomniała, co przeszedłem, jak się miotalem, atakowany to przez adwokatów, to znów przez prasę? Wycierpiałem więcej, niż wymaga tego sprawiedliwość. Postawiono mnie pod pręgierzem. Czy muszę raz jeszcze przez to wszystko przejść?

- Nie rozumiecie, o co mi chodzi - odparła miękko. - Proszę was obu tylko o jedno: żebyście z tym wszystkim skończyli i raz na zawsze przestali do tej sprawy wracać. Przeszliście obaj wiele, ale spróbujcie potraktować to jak chorobę... Czy gdybyście byli chorzy i leżeli w szpitalu, chcielibyście po wyzdrowieniu wciąż na nowo przeżywać ten trudny okres do końca życia...? Czy nie staralibyście się raczej zapomnieć o tych bolesnych dniach?

- To właśnie robię. Dlatego przenieśliśmy się z Daisy do Waszyngtonu. Mam tam ważną pracę i wiele robię dla dobra ogółu, że tak powiem... Mogę więc śmiało stwierdzić, że mam już ten cały dramat za sobą - perorował Lewis.

- Nie możesz tego powiedzieć, skoro wciąż się gniewasz z bratem!

- A właśnie że mogę! Na tym przecież polega kuracja. Prosisz, żebym wybaczył i zapomniał, co mi Gene zrobił? To niemożliwe!

Lewis nie mógł zapomnieć, jak bezwzględni, cyniczni prawnicy ubliżali mu, przedstawiając go jako przestępcę, beztroskiego ignoranta, który nie zadbał o to, by zbadać poważny zarzut, i nie przejął się możliwością potwornych konsekwencji tego zaniedbania. Do tych konsekwencji jednak doszło i świadomość tego będzie go na wieki prześladować. Czy rzeczywiście był wtedy beztroskim ignorantem? - zastanawiał się. Chyba nie. Ale Gene nie pomógł mu oczyścić się z zarzutu.

- Czy mam zapomnieć, że Gene całą winę zwałił na mnie? Nie mogę, to wciąż boli... Nie zasłużyłem na to, żeby mnie adwokaci i prasa rozrywali na strzępy.

- Mnie też nękali dziennikarze. Co więcej, twierdzili, że to ty ich nasłałeś.

- Ja ich naslałem? - Lewis mówił podniesionym i chrapliwym głosem. - Ja? To idiotyczne!

Z głębi fotela, ustawionego możliwie najdalej od miejsca, które zajmował Lewis, Gene odparł:

- Nie spodobało ci się, że powiedziałem prawdę, iż nie chciałeś sprawdzić, co się dzieje w firmie Sprague'a, mimo oskarżycielskich doniesień Victora. To proste.

- Mogłeś jednak nie mówić o mnie jak o przestępcy działającym z premedytacją. Mogłeś trochę stonować swoje uwagi.

„Co tam było do stonowania? - zastanawiał się Gene. -Przecież Victor przedstawił niezbite fakty, a ja zeznawałem pod przysięgą. Żaluję tylko, że sam nie skontrolowałem betonu dostarczonego przez Sprague'a. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że zawsze ustępowałem Lewisowi. Był starszy i zaczął pracować w naszej firmie trzy lata przede mną". Czuł, że znów go ponosi złość.

- Oczekiwałeś, że dla ciebie skłamię, co?! - krzyknął. -Mnie chodziło tylko o jeden drobiazg, o prawdę...

- A mnie o honor i godność osobistą - wszedł mu w słowo Lewis. - Ale czy można spodziewać się honorowego postępowania po człowieku

robiącym własnej córce piekło, gdy porzuciła kandydata na męża, którego on aprobował, i dokonała innego wyboru?

Wymiana zdań stawała się coraz bardziej obrzydliwa. Najgorsze zaś było to, że do jej punktu kulminacyjnego doszło właśnie tu, w domu ich matki. Ona odczuła to jak wbicie noża w serce.

- Pomyśl o tych biednych, niewinnych ludziach, którzy zginęli w hotelu - pastwił się nad bratem Gene. - Ale nie... Ty myślisz tylko o sobie, o tym, jak sam cierpiełeś.

- Doprowadzasz mnie do szału... - próbował się odciąć Lewis. - Jesteś taki sam jak ci wszyscy gorliwcy, którzy krzyczą wielkim głosem i łatwo ronią łzy, litując się nad całym światem, podczas gdy w domu krzywdzą własne dzieci.

Gene cały wychylił się do przodu.

- Niech cię diabli! Co Ellen ma z tym wszystkim wspólnego? Sam nie wiesz, co mówisz. Zostaw ją w spokoju, nie mieszaj jej do tego, rozumiesz?!!

Zdenerwowany Gene gwałtownym ruchem wysunął ramię do przodu i strącił ze stołu wazę z owocami. Roztrzaskała się na drobne kawałki, a jabłka i mandarynki potoczyły się po podłodze.

- Przepraszam, tak mi przykro! - krzyknął i pochylił się, żeby pozbierać rozsypane owoce i sprzątnąć odłamki. - Odkupię ci tę wazę, mamu! Uwważaj na stłuczone szkło, żebyś się nie pokaleczyła!

Lecz to nie było zwykłe szkło, tylko cenny autentyczny kryształ od Laligue'a, ulubiony przez Anetę. Waza miała ciekawy, biegnący brzegiem deseń: przedstawiał misterne sylwetki ptaków. Kupili sobie z Lewisem tę wazę dla uczczenia dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Wyjechali wtedy w podróż do Europy, płynęli s/s „France”, a kryształ miał być pamiątką pięknych dni, jakie tam spędzili.

- Nie przejmuj się, Gene! Potem to sprzątnę. Nic się nie stało, naprawdę... - powtórzyła, widząc, że jej tak zawsze uważający i skrupulatny syn z przejęcia był czerwony jak burak.

- Muszę już stąd wyjść, ale najpierw daj mi jakąś gazetę, żebym mógł pozbierać kawałki szkła z podłogi, zanim ktoś się skaleczy. Prze-

praszam cię, mamó - dodał po chwili -ale pozwól mi wrócić do domu. Zobaczą się z tobą w jakiś inny dzień, nie później niż w przyszłym tygodniu. Na pewno!

Aneta była przekonana, że jeśli nie uda jej się ich obu tu teraz przytrzymać, nie zdoła tego uczynić także nigdy potem. Nie miała co do tego wątpliwości.

- Nie! - zaprotestowała oschle. - Nie! Jesteście obaj dorosłymi mężczyznami i nie możecie się zachowywać jak dzieci. Gdyby był tu wasz ojciec... - I zamilkła w pół słowa, poczuła bowiem pieczenie w głębi nosa, co oznaczało, że zbiera jej się na płacz.

- Lepiej, że go tu nie ma... wolałbym mu tego oszczędzić - powiedział ze smutkiem Lewis.

- Ale ja tu jestem... Dlaczego mnie niczego nie chcecie oszczędzić?

- Mamó, spróbuj nas zrozumieć! Przeżyliśmy katastrofę. To nas zalało. Równie dobrze mogłabyś próbować skleić kawałki tej rozbitej wazy. Byłby to taki sam daremny trud jak to, co usiłujesz zrobić z nami. Zrozum, mamó! Pojednanie się nie jest możliwe. Im szybciej zdasz sobie z tego sprawę, tym łatwiej się z tym pogodzisz.

Oczami wyobraźni Aneta znowu ujrzała swoich synów, kiedy byli małymi chłopcami. Widziała ich, jak razem kąpią się w wannie, jak w niedzielę wkładają takie same marynarskie ubranka, jak w biletach na głowie uczestniczą w uniwersyteckiej uroczystości nadawania stopni naukowych. Wyobraziła ich sobie także owej feralnej nocy, gdy zapadły się ściany hotelu.

Dlaczego tak bardzo ją obeszło, że jej synowie, mężczyźni w średnim wieku, są ze sobą skłóceny? Nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego to było dla niej takie ważne. Po prostu było... i już! „Życie jest zbyt krótkie, by trwonić czas na kłótniach” - myślała. Może więc o to jej chodziło.

- Nienawisć - mówił Lewis - pochłania mnóstwo energii, a ja potrzebuję teraz całego jej zasobu, by pomóc córce. Wszystko inne jest dla mnie nieważne, oczywiście z wyjątkiem ciebie, mamó. Nic mnie jednak

nie obchodzi mój brat... Ale czas już na mnie... Wybacz, mamó, chciałbym poszukać swojej rodziny i побыć z nią choć trochę razem.

- Baba z wozu, koniom lżej! - obwieścił Gene, gdy za Lewisem zamknęły się drzwi. Podniósł owoce, położył je na tacy i pozbierał okrucy kryształu do papierowej serwetki. - W jednej rzeczy mogę się z moim bratem zgodzić, a mianowicie, że pora stąd wyjść.

- Pięknie! Nie ma co mówić! Bóg mi świadkiem, że nie spodziewałam się, iż dożyję dnia, w którym od was obu coś takiego usłyszę.

- Mamó! - Chwycił ją za ręce i przytrzymał. - Wiem, co to dla ciebie znaczy i co przeżywasz - mówił czule. - Ja też nigdy nie sądziłem, że przyjdzie mi coś takiego przechodzić. Ale nic nie poradzimy. Nasz spór jest zbyt głęboki i za długo trwa. Zapewniam cię jednak, że każdego z nas wciąż masz do swojej dyspozycji. Kiedykolwiek będziesz nas potrzebowała, stawimy się na twoje zawołanie. Tylko nie możesz mieć nas tutaj obu razem, w tym samym czasie... To wszystko!

Aneta patrzyła na uczciwą, inteligentną twarz Gene'a i smutno potrzasała głową.

- Wstyd mi za was - powiedziała w końcu z goryczą w głosie. - Wstyd mi. Słyszysz? Obaj powinniście się wstydzić. - Uwolniła ręce z jego uścisku i wyszła.

Po opuszczeniu werandy Daisy i Cyntia udały się do biblioteki. Ciężko im było na sercu, a Daisy z trudem dusiła w sobie złość.

- Nie mogę zrozumieć - wybuchła wreszcie - co dziś twoją babcie napadło! Kto by pomyślał... Ona, zawsze taka taktowna, powiedziała-bym nawet, że staroświecka w manierach... Po prostu nie do wiary, że ktoś taki jak ona mógł się tak okropnie zachować. Bóg jeden wie, czy ci dwaj mężczyźni nie wezmą się tam za bary... Nie chcę sugerować, że to zrobią, choć kto wie, może i chcę... W każdym razie istnieje duże prawdopodobieństwo, że mogliby to zrobić. Wszystko się może zdarzyć. Na tym świecie trzeba być przygotowanym na każde szaleństwo...

- Tak! - przyznała Cyntia i powiedziała to z taką pewnością jak ktoś, kto aż za dobrze o tym wie.

Stała przy oknie i patrzyła w dal, obserwując ponury zimowy krajobraz: szarą ziemię, zamrznięty staw i ciemne, nisko nawisłe chmury.

- Wygląda, jakby miał padać śnieg, deszcz ze śniegiem lub coś w tym rodzaju - oznajmiła.

- Nie mów! To fatalne! Chciałabym wrócić do miasta, zanim zacznie padać. Nie lubię prowadzić, kiedy na szosie jest lód. A ty przestań się bawić naszyjnikami - zwróciła uwagę córce. - Zaraz go złamiesz. - I od razu połączyła się w duchu: „Ja tu o naszyjniku, a ona, biedactwo, serce ma złamane, ot co. Kiedyś miała wszystko, a teraz nic... Zupełnie jakby ją spotkało bombardowanie, pożar albo ciężkie pobicie. Oby Bóg skarał Andrew za to, że zadał jej ten ostatni cios! Tak, niech go diabli porwą... Gdybyśmy tylko mogli z Lewisem coś dla niej zrobić! Ale my tylko mówimy i mówimy... Albo rozmyślały nad nią i marzymy, że nastąpi cud, że wejdziemy do mieszkania i zastaniemy ją jak dawniej - spokojną, opanowaną, z uśmiechem czającym się w kącikach ust”.

Nie najlepszy to był pomysł, by ją tu przywieźć. Zbyt dużo wspomnień łączyło ją z tym starym miasteczkiem: kościół, ślub, przyjęcie po powrocie z miodowego miesiąca - pamiętała ją schodzącą po schodach w pięknej lawendowej sukni - i wreszcie cmentarz.

- Piękny jest ten pokój - powiedziała na głos. - Wiesz, co zamierzam? Gdy twój ojciec zakończy pracę w Waszyngtonie i wrócimy do domu, chciałabym przerobić jego gabinet na coś podobnego do tej biblioteki. Wystrój byłby utrzymany w tych samych kolorach. Myślę, że Aneta nie będzie miała nic przeciwko temu, żebym skopiowała jej dekoracyjny pomysł.

- Mamo, ze mną jest wszystko w porządku - zapewniła ją Cyntia, odwracając się od okna - nie musisz się tak usilnie starać mnie zabawić.

- Nie wysilam się, kochanie, przychodzi mi to całkiem naturalnie i bez trudu. Sądząc jednak po twoim wyglądzie, myślę, że potrzebne ci pocieszenie.

- Wiem, że jestem nudna i kiepska ze mnie towarzysza. Nie powinnam tu była przyjeżdżać. O wiele lepiej jest mi w pracy. Tam czuję, że niosę ludziom pomoc i tym samym pomagam też sobie.

- Tak, chyba masz rację... - Daisy wahała się, czy ma zadać córce to pytanie. W końcu zdecydowała się i zapytała, czy coś nowego u niej zaszło, czy może Andrew się odezwał.

- Gdyby tak było, przecież bym ci powiedziała. Nie sądzisz?

- Mnie się wydaje, że jego rodzice powinni by spróbować porozumieć się z tobą.

- Myślę, że dali sobie z tym spokój, zrezygnowali... Przecież ty i tato też nie porozumiewaliście się z Andrew.

- Wołałabym nie być obecna przy tym, gdy twój ojciec spotka się z Andrew.

- Moim zdaniem tata nigdy tego nie zrobi, więc nie masz się o co martwić.

Nieraz, kiedy nie mogła zasnąć i leżała, licząc uderzenia serca, jej myśli krążyły wokół Andrew. Wymyślała różne hipotetyczne sytuacje, w jakich mogłaby się z nim przypadkiem spotkać, na przykład na ulicy lub w autobusie, gdzie zająłby miejsce przy niej i usilnie ją namawiał, żeby mu pozwoliła wrócić do domu. Albo spotkaliby się w teatrze. Andrew usiadłby tuż za nią, a ona, czując na sobie jego wzrok, czekałaby zaleknieiona, czy nie nastąpi z jego strony jakiś mściwy, poniżający gest lub nie padną jakieś przykre słowa. Ilekroć sobie tę scenę wyobrażała, czuła, że jej mięśnie same się napinają...

Możliwe, że spotkają się w sądzie na sprawie rozwodowej. Nie była co prawda pewna, czy rzeczywiście jest to nie do uniknięcia, ale gdyby do spotkania dojść musiało, postanowiła udać, że go nie widzi.

Patrząc przez okno, zauważyła, że zamarznęty staw przybrał barwę ciemnoniebieską. Na samym środku, gdzie nie było lodu, pływały dwa dorosłe łabędzie z młodym potomstwem. Teraz, w grudniu, pisklęta już prawie dorównywały rodzicom. U małych ptaków o tej porze roku rodzice wyrzucają pisklęta z gniazda i przymuszają do latania. Podobnie dzieje się u łabędzi przygotowujących swoje potomstwo do poznawania

świata. Cyntia interesowała się łabędziami od czasu, gdy jej dziadek sprawił sobie pierwszą parę tych pięknych ptaków. Zastanawiała się, ile pokoleń dzieli obecną rodzinę łabędzią od tamtej. Przyglądała się, jak wielki łabędź ojciec wzbil się w powietrze, leciał nisko, po czym wrócił do swojej ciasno stłoczonej rodziny i znowu uniósł się w górę, by powtórzyć lot. Uczył łabędziątka latania.

Łabędzie są monogamiczne, wierne...

W pewnej chwili Cyntia, śledząc wielkie białe skrzydła, odwróciła głowę i wtedy zobaczyła, że na podjazd wjeżdża jakiś samochód. „A któż to? - zaciekawiła się. - Kogo jeszcze oczekują? Czyżby to był Mark i Ellen?”

- No, nie! Mamo! Nie uwierzysz swoim oczom. Chodź i zobacz, kto przyjechał! Ellen i Mark! Przywieźli ze sobą dzieci i wiesz, kogo jeszcze? Rodziców Marka!

Daisy wyjrzała oknem.

- Ze wszystkich bezsensownych, pokrętnych i idiotycznych pomysłów ten otrzyma palmę pierwszeństwa. Co też wstąpiło w Anetę? Gdybym nie wiedziała na pewno, że tak nie jest, pomyślałabym, że cierpi na demencję. Czy zdajesz sobie sprawę, że ci dwaj faceci: Gene i ojciec Marka, żywią do siebie straszną niechęć i nie widzieli się, to znaczy nie przebywali w tym samym pokoju - zaraz, niech pomyślę - chyba od ośmiu czy dziewięciu lat?

Z holu dochodziły odgłosy kroków i rozmów, a potem krótka procesja z Jenny na czele wyłoniła się zza rogu i zatrzymała przed zdumionym audytorium.

Jenny z rumieńcem podniecenia na twarzy pytała:

- Czy jest wam tu wygodnie? Mamy mnóstwo foteli. Czy przynieść wam coś do picia?

- Nie, dziękuję, przywieźliśmy ze sobą wszystko, co potrzebne. Nie fatyguj się, Jenny! - zapewniała ją Ellen.

I rzeczywiście, wyglądali na dobrze zaopatrzonych. Mieli ze sobą torbę pełną zabawek, drugą z pieluszkami i całe naręczne sweterków.

Mark w jednej ręce trzymał nad-pitą butelkę mleka, a drugą starał się wciągnąć sobie Freddiego na kolana.

„Teraz Gene będzie miał dwóch wrogów - pomyślała Daisy. - To się zapowiada interesująco”.

- Ale niespodzianka! - powiedział Mark z uśmiechem. - Zastanawialiśmy się, czyj to samochód.

- Wypożyczyliśmy go - wyjaśniła Daisy.

- Nie wiem, czy wy się jeszcze pamiętacie? - spytała Ellen. - To moja ciotka, Daisy Byrne, a to rodzice Marka - doktor Aaron Sachs i jego żona, Brenda.

- Miło mi - mruknęła Daisy, która zapamiętała tylko czarne bokobrody doktora.

Mała Lucy podbiegła do Brendy i przytuliła się, a ta ją serdecznie uściskała.

- Kochana, babcina laleczka... Kochasz babcię, prawda? Babcia ciebie też kocha.

- A gdzie babcia Aneta? - zainteresowała się Lucy. Pytanie na chwilę zawisło w powietrzu, wreszcie Daisy

odparła:

- Jest na werandzie z Gene'em i Lewisem. Ellen głośno wciągnęła powietrze.

- Co się dzieje? Doszli do porozumienia?

- Wątpię. Jeśli o mnie chodzi, przyznam się, że gdy stamtąd wychodziłam, dziękowałam Bogu, iż żaden z nich nie jest uzbrojony.

- Co właściwie babcia chciała osiągnąć?

- Niestety, na to pytanie tylko babcia może ci odpowiedzieć.

- To wszystko jest takie smutne i niepotrzebne - zauważyła Cyntia.

Ellen uśmiechnęła się do niej. Bez względu na to, co czuli do siebie ich ojcowie, kuzynki bardzo się lubiły. Niestety ich ścieżki się rozeszły. „Wyobrażam sobie, jak bolesne jest dla Cyntii spotkanie z nami i naszymi dziećmi - pomyślała. - Doskonale rozumiem, dlaczego tak rzadko u nas bywa”.

- Chyba Freddie się zmożył - półgłosem zakomunikował Mark.

- Co? Znowu? - zdziwiła się Ellen. - Włóż mu rękę, gdzie trzeba, i sprawdź!

- Rzeczywiście, pomyliłem się. Przepraszam cię, Freddie! Ale teraz zejdź mi z kolan i pobaw się klockami.

„Jakież to miły człowiek z tego Marka - pomyślała Cyntia. Patrzyła, jak z klocków utworzył się na podłodze mały stos. - Nie widziałam Freddiego od miesiący. To nie jest w porządku” - wyrzucała sobie. Czowała się winna i zawstydzona na myśl, że choć mieszkają w tym samym mieście, trzyma się od kuzynostwa z daleka. „Powinnam była przyjść na przyjęcie, które Ellen wydała z okazji pierwszych urodzin małego. Wysłanie ładnego prezentu nie wystarczy. Słodki z niego dzieciak, okrągłutki jak niemowlak”.

- Czy państwo gdzieś blisko mieszkają? - spytała Brenda. Napotkała wzrok Daisy i zdawało jej się, że powinna coś do niej powiedzieć.

- Nie! Teraz mieszkamy w Waszyngtonie.

- Prawda! - Brenda skinęła potakująco głową. - Ellen wspominała mi o tym, że państwo wyjechali z Nowego Jorku, ale nie pamiętałam do-
kład... - Ciągnąc tę konwersację na siłę, uzmysłowiła sobie, że podobnie zachowują się ludzie biorący udział w pogrzebie, gdy czekają na rozpoczęcie ceremonii. Przeważnie czują wtedy potrzebę zagadania do jakiegokolwiek obcej osoby, która siedzi obok. „Co za dziwne myśli mnie nachodzą?” - szepnęła do siebie samej i spojrzała w stronę Aarona, jakby szukała w nim oparcia.

Lecz Aaron nie zwracał na nią uwagi. Klęczał na podłodze obok Freddiego i jego klocków. Wyczuwał jakieś dziwne fluidy krążące w tym pokoju. Rozchodziły się niczym elektryczne prądy i przekazywały tajemnicze przesłania od jednego człowieka do drugiego. W nim wibracje wzbudziły niepokój, Brenda czuła się nieswojo, nawet jego syn był zakłopotany. „A ta młoda kobieta? - myślał. - Czy nie nazywa się Cyntia? Nie tylko nosi żałobę, ma ją także w sercu”. Spojrzał na Daisy, matkę Cyntii, i zobaczył, że usiłuje zdusić kipiącą w niej złość.

„Daj spokój, stary! - upomniął sam siebie. - Nie twój interes”.

- Babciu Brendo - zainteresowała się mała Lucy - czy to prawda, że jest tu dziadzio Gene?

Brenda rzuciła pytające spojrzenie w stronę Marka, ale on tego nie zauważył, bo właśnie w taki sam bezgłośny sposób porozumiewał się z Ellen.

- Nie wiem - odparła Brenda.

Lucy zeszła z jej kolan i podeszła do Daisy.

- Powiedziałas, że dziadek jest z babcią Anetą. Dlaczego nie przyśzedł się ze mną przywitać?

- Nie wiem - powiedziała Daisy.

- Chcę go zobaczyć! - nalegała Lucy.

- Dobrze, zobaczysz go, ale nie w tej chwili. „Rozpieszczona jest ta mała - pomyślała Daisy. - Na

dziecko tak piękne jak ona zwraca się za dużo uwagi. Lucy naprawdę ma twarzyczkę jak lalka. Ciekawa jestem, jak wyglądałaby nasza Laura, gdyby dożyła tego wieku... ale niepotrzebnie się nad tym zastanawiam" - szepnęła do siebie.

- Musisz poczekać, Lucy, dziadek na pewno przyjdzie - tłumaczyła dziewczynce Ellen.

- Nie, chcę go już teraz zobaczyć! - upierała się mała.

- Jeszcze nie teraz, kochanie! - I zwracając się do Daisy, Ellen nieopatrznie dodała: - Ona naprawdę bardzo kocha mego ojca.

- To widać - zgodziła się Daisy. To dziecko rzeczywiście miało wiele uroku, ale ona nie była w nastroju, żeby zajmować się dziećmi, nawet najbardziej uroczymi. I jak mogła Ellen zrobić taką głupią uwagę, kierując ją właśnie do niej, jakby nie wiedziała o wzajemnych animozjach w rodzinie?

Tymczasem Ellen poważnie się zaniepokoiła, co się dzieje na werandzie.

- Zastanawiam się, czy oni myślą tam być przez cały dzień - powiedziała, adresując tę uwagę do wszystkich obecnych, lecz nikt jej nie odpowiedział.

Aaron zbudował okazałą wieżę z klocków, którą Freddie z wielką radością przewrócił. Dziadek jednak budował dalej, niczym się nie zrażając, póki Freddie nie stracił zainteresowania i nie zaczął grzebać w torbie w poszukiwaniu innych zabawek. Wtedy doktor wstał z kolan, otrzepał spodnie, stanął przy oknie i obserwował, co dzieje się na dworze. Stwierdził, że niebo wygląda bardzo groźnie.

- Dobrze, że zostajemy tu na noc - ucieszył się Mark. - Wolałbym się nie ruszać z dziećmi w drogę w taką pogodę.

Sądzę, że zapowiada się jakaś burza śnieżna lub coś w tym rodzaju.

- Was też zaproszono na noc? - spytała Ellen, zwracając się do Cynthii.

- My... - zaczęła Cynntia, ale Daisy weszła jej w słowo:

- Owszem, zaproszono nas, ale nie mamy zamiaru zostać. Właściwie mogłabym już teraz wyjechać.

- Nie podoba ci się u babci Anety? Nie lubisz jej? - indagowała Lucy, podniósłszy na Daisy duże niebieskie oczy.

Daisy lubiła dzieci, lecz w tym momencie miała tej małej po uszy. Rodzice, widząc, co się dzieje, powinni dziecko uciszyć. Mogli przecież zauważyć, że wszyscy są zdenerwowani.

Lucy badawczo przyglądała się Daisy, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. Najwyraźniej była nią zafascynowana.

- Masz bluzeczkę w kwiatki - zauważyła.

- Podobają ci się?

- Tak, są piękne.

- Dziękuję!

- Powiedz mi, czemu tamten pan nie lubi dziadka Gene'a?

To dziecko jest stanowczo zbyt przemądrzałe. „I dlaczego - zastanawiała się Daisy - mała przyczepiła się właśnie do mnie?”

- Nic o tym nie wiem - odparła, obdarzając Lucy uśmiechem, którym często, choć nie zawsze, udawało jej się zjednywać przekorne dzieci.

- Jak to nie wiesz? Przecież mówiłaś, że jest na werandzie!

Dorośli podejrzliwie się sobie przyglądali, jakby chcąc zbadać, kto z nich się wygadał. Przy dzieciach trzeba uważać na każde słowo...

Tymczasem Lucy straciła zainteresowanie dla Daisy i zwróciła się do Aarona:

- Dziadziu, czy ty też nie lubisz dziadka Gene'a? Chyba go nie nienawidzisz, prawda?

Aaron dostał nagłego ataku kaszlu.

- Chodź no tutaj, Lucy - szybko przywołał ją Mark. -Zajrzyj do torby z zabawkami, wybierz sobie jakąś i baw się.

- Nie, tatusiu! To są zabawki dla niemowląt; mnie się żadna z nich nie podoba.

- Jesteś dziś bardzo uparta - zniecierpliwiał się Mark.

- Marku, przecież to jasne, że Lucy się nudzi. Ma dopiero sześć lat. Czego po niej oczekujesz? - zwróciła synowi uwagę Brenda.

„Ale go strofuje... - pomyślała Daisy. - Nic dziwnego. Przecież jest, jak słyszałam, społeczną opiekunką nieletnich. Stąd się bierze jej nadmierna wyrozumiałość. Widać, że jest obkuta z psychologii i wierzy we Freuda. Stosowniej by postąpiła, uciszając małą. Powinna jej kazać siedzieć cicho. Głowa mi pęka z bólu”.

Ta niema skarga drogą telepatyczną dotarła do świadomości Aarona, który bezbłędnie ją odczytał: „Coś mi się zdaje, że Daisy nie aprobuje Brendy. Zadziiera nosa. Re-publikanka! Założę się, że należy do elitarnych klubów towarzyskich, a w szkole była kapitanem żeńskiej drużyny hokejowej. W dodatku jest pewnie czempionką w grze w golfa i w lataniu na lotniach. Boże, jakbym chciał już opuścić ten dom... Nie mogę oddychać w takiej atmosferze!”

- Co się, u licha, dzieje na tej werandzie? - zaniepokoiła się Daisy.

- Na pewno lada chwila stamtąd wyjdą i wszystko się dobrze skończy - uspokajała ją Ellen.

„Tylko tobie tak się wydaje, bo ci się wszystko w życiu dobrze układa” - pomyślała Cyntia, nie czując jednak do niej złości.

- Ten Gene...! - podniesionym głosem użalała się Daisy. - Nigdy nie wiadomo, co ten człowiek... - I urwała.

- Zapominasz się, mamó - ofuknęła ją Cyntia. - Stryj Gene jest ojcem Ellen.

- Wybacz mi, Ellen, że się uniosłam. - Daisy natychmiast ją przeprosiła. - Tak mi się wyrwało...

- Widzisz, nie tylko my go uważamy za drania - szepnął Aaron do Brendy, a ta cicho odpowiedziała:

- Lepiej się do tego nie mieszaj, Aaronie!

Cyntia nerwowo splatała i rozplatała dłonie. Czowała, że ją otacza nie do zniesienia wroga atmosfera. Nawet jej dziadek, patrzący ze złotych ram, wydał jej się nagle chłodny i zły, co było absurdem, wiedziała bowiem, że go powszechnie ceniono za niezwykłą dobroć i życzliwość. Pamiętała, jak pracował w umiłowanym ogródku. Obdarowywał ją ciepłymi od słońca truskawkami, z których był dumny, gdyż często przyznawano mu za nie nagrody.

- Pójdę na mały spacer - ogłosiła wszem wobec, czując, że musi wyjść z tego pokoju.

- Nie wychodź, Cindy! - usiłowała ją powstrzymać Daisy. - Wkrótce zjawi się ojciec i natychmiast stąd wyjedziemy. Nie chciała-bym cię wtedy szukać... nie wiadomo gdzie.

- Nie wybieram się daleko, tylko do stawu. Zobaczysz mnie z okna. Przepraszam, moi drodzy...

Dwa łabędzie ślizgały się po lodzie na szerokich czarnych stopach jak na łyżwach. Na trawie porastającej brzegi stawu wały się resztki pokrajanego w kostkę chleba. Babcia przez całą zimę karmiła łabędzie, bo wiedziała, że gdy staw zamarznie, nie będą mogły dostać się pod wodę, by samodzielnie zdobywać pożywienie.

Cyntia wodziła wzrokiem za łabędziami, póki nie dotarły do oczka wodnego, gdzie pływało kilkoro młodych łabędziątek. Jeszcze się nie nauczyły same sobie radzić. Spokój, jaki emanował od tych stworzeń, i cisza zimowego krajobrazu sprawiły, że minęło jej nerwowe napięcie.

Dął silny wiatr, ale nie słyhać było szelestu liści ani głosu ptaków. Stała w bezruchu i włuchiwała się w ciszę.

Nieraz snuła plany odejścia z domu. Chciała się udać gdzieś, gdzie nikogo nie znała ani jej nikt nie znał. Czasem na miejsce ewentualnego azylu wybierała chłodne okolice Alaski, w pobliżu polodowcowego jeziora, gdzie orły wily gniazda na drzewach. Innym razem myślała o ciepłym zakątku na jakiejś wysepce, dokąd nie docierają turyści i gdzie plażę łagodnie obmywają przybrzeżne fale. Prowadziłaby tam prosty tryb życia, ciesząc się każdym mijającym dniem. Unikałaby wspominań przeszłości i nie dbałaby o to, co miało się zdarzyć w przyszłości.

Mimo że snuła eskapistyczne plany, w gruncie rzeczy wiedziała, że są głupie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że najlepszą, a może i jedyną drogą do wyleczenia się z depresji jest praca i obcowanie z ludźmi. Tak właśnie postępowała: nie zasklepiała się w sobie ani się nad sobą nie rozczulała; uważała, że mazgajstwo jest obrzydliwe. Ale nie została uleczona.

Wiatr przybierał na sile. Poczula chłód, więc ciasno owinęła się płaszczem. Ten elegancki ciepły płaszcz z szarego kaszmiru był swego czasu tak horrendalnie drogi, że się wtedy wahała, czy go kupić. Gdy się jednak pracuje w świecie mody, nie można uniknąć pewnych ekstrawagancji, stanowią bowiem integralną część tej pracy. Miała wrażenie, że to wszystko działo się dawno temu, w innym życiu, do którego nie chciała już nigdy wrócić.

Ruszyła w stronę domu. Idąc, myślała o tym, że do tej pory ojciec ze stryjkiem zdołali może już się dogadać. Nie spodziewała się jednak dobrego rezultatu. Żal jej było babci z jej naiwną, lecz niegasnącą nadzieją, że wszystkie rodzinne sprawy potrafi jak najlepiej załatwić.

Zbliżając się do domu, zauważyła, że do trzech samochodów parkujących na podjeździe dołączył jeszcze jeden. Na jego widok stanęła jak wryta. „Niemożliwe - przemknęło jej przez głowę - żeby się tu znalazł wóz Andrew". Nie ulegało jednak kwestii, że to był jego samochód. Oburzyła się do tego stopnia, że z irytacji zabrakło jej przez chwilę tchu. Potem przyszło jej na myśl, że powinna zniknąć, i podbiegła do

drzwi kuchennych, aby się schować. Szybko sobie jednak uświadomiła, że to bez sensu, ponieważ przed powrotem do miasta na pewno by jej szukali po całym domu. Więc z wyprostowanymi plecami odważnie przemaszerowała przed frontem domu i weszła do holu.

Tam zastała Andrew. Stał i rozmawiał z Jenny. Najwyraźniej dopiero co nadjechał, bo jeszcze miał na sobie wełnianą kurtkę. I nagle przyszło jej wspomnienie: W którąś zimową sobotę oboje z Andrew wybrali się po zakupy.

Szukali podwójnego wózka dla bliźniaków. Kupili go, a zaraz potem wpadła im w oko bordowa wełniana kurtka męska, właśnie tę miał teraz Andrew na sobie. Przez moment zatrzymała wzrok na jego nieco speszzonej, zarumienionej od wiatru twarzy. Zauważyła, że ma ciemne koła pod oczami.

- Nie rozumiem, jakim sposobem się tu znalazłeś.

- Zostałem zaproszony. Twoja babcia zadzwoniła i zaprosiła mnie, nie mówiąc, o co chodzi.

- Ładna historia... I wcale nie wiedziałeś, że ja tu będę?

- Nie wiedziałem. - I uśmiechnął się zażenowany. Był w pojedynczym nastroju i jakby niepewny, co ona teraz uczyni. A ona miała ochotę go uderzyć i zetrzeć ten uśmiech z jego twarzy.

- Nie wierzę ci. Uknuleś ten spisek do spółki z moją babcią, która chyba straciła rozum...

- Nic nie poradzę na to, że mi nie wierzysz, ale to prawda. Zatrzymałem się na weekend w domu Jacka Owensa, a twoja babcia przypadkowo spotkała we wsi Mary Owens, od niej się dowiedziała, że tu jestem, i zatelefonowała.

- Trudno, ale skoro już tu jesteś, zrób teraz w tył zwrot i odejź!

- Nie mogę tego uczynić, póki nie zobaczę się z twoją babcią. Jakże mógłbym postąpić inaczej, Cindy?

- Dla ciebie nie jestem Cindy, tylko Cyntia, a najchętniej byłabym nikim, powietrzem...

- Proszę cię, Cyntio! Nie moglibyśmy porozmawiać ze sobą spokojnie i rozsądnie?

- Nie! A czy to, co zrobiłeś tamtej nocy, było rozsądne? Byłam w depresji, w strasznym dołku i sądziłam, że ty też coś podobnego przeżywasz, że po stracie naszych dzieci oboje znaleźliśmy się w mrocznym tunelu. I właśnie w momencie, gdy zaczynałam podnosić się z upadku, gdy zaczęłam dostrzegać światelko w tym ciemnym tunelu, wtedy ty...

- Nic mi o tym nie powiedziałaś, nie zauważyłem żadnej zmiany, nie wiedziałem, że twój stan się poprawia...

- Nie dałeś mi żadnej szansy na poprawę. Tamtej strasznej nocy pchnąłeś mnie z powrotem do błota. Tak! Twarzą do błota. To właśnie mi zrobiłeś... A teraz przychodzisz tu i ośmielasz się mówić o rozsądku.

- Cyntio! - Z salonu, gdzie byli goście, ostry głos Daisy dotarł aż do holu. - My się już ubieramy do wyjścia! - pokrzykiwała z daleka. Nagle zobaczyła Andrew. - A co ty tu robisz? - spytała zaskoczona.

Lewis szybko przemierzał hol i grzmiał na cały głos:

- Co cię, u diabła, tu przyniosło?! Czy nie dość już napsułeś mojej córce krwi, żeby tu ją jeszcze prześladować?

Teraz Aneta puściła się pędem w ich stronę. Śpieszyła się tak bardzo, że aż okulary spadły jej z nosa.

- Przestań, Lewisie! Andrew nie przyjechał tu do Cyntii. To ja go zaprosiłam.

- Ty, mamó? Znowu ty? Dość się już dzisiaj nasłuchałem bzdur. Wiele zła wyrządziłaś nam tego ranka, mamó. Jestem głęboko oburzony, wprost brak mi słów...

Hol, długi i niemal tak szeroki jak przeciętny pokój, nagle zapełnił się ludźmi. Zrobił się ruch jak na szosie w godzinach szczytu. Choć było tu nie więcej niż dwanaście osób, wszyscy, nawet Ellen z Frediem na ręce, tłoczyli się i przepychali. Wychodzili z różnych drzwi i kierowali się w stronę małej grupy pośrodku holu, skąd dochodziły głośnie i pełne irytacji słowa.

- Babciu - żaliła się Cyntia - jak mogłaś mi to zrobić? Co cię do tego skłoniło? Przecież wiedziałaś o wszystkim, co między Andrew i mną zaszło.

- Owszem, wiedziałam - odparła. - I właśnie dlatego tak postąpiłam.

Upokorzona wywelekaniem jej najbardziej osobistych spraw, Cyntia zaczęła płakać. Daisy otoczyła córkę ramieniem.

- Cały dzisiejszy ranek to jeden wielki cyrk - powiedziała. - Obrzydliwość. Właśnie zbieramy się do wyjazdu. Tak się sprawy ułożyły, że musimy wyjechać, a twoja obecność, Andrew, była kroplą, która przepełniła kielich. Zabieramy Cyntię do domu - wyjaśniła Anecie. - I to natychmiast! A ty, Andrew, trzymaj się od niej z daleka.

Przybyłeś tu, żeby coś wywęszyć, tylko nie wiem co... Ale radzę ci, żebyś trzymał się od niej z daleka. Mówię poważnie!

- Te sprawy dotyczą tylko Cyntii i mnie, mamó.

- Jakim prawem nazywasz ją mamą? Utraciłeś to prawo, gdy się tamtej nocy zachowałeś jak zwierzę... - obruszył się Lewis.

- Proszę was, przestańcie! - błagała Aneta. - Przyznaję się do błędu. Miałam jak najlepsze intencje, ale nic z nich nie wyszło. - Oczy jej zwilgotniały. Wyjęła z mankietu białą koronkową chusteczkę i wytarła łzy.

- Lepiej już pójdę - powiedział Andrew. - Za bardzo przeżywasz, zresztą my też...

Aneta chwyciła go za klapy.

- Nie! Zaprosiłam cię, żebyś przyszedł, i nie pozwolę, żebyś nas w taki sposób opuścił. Nie zrobiłeś nic złego, Andrew."Nie pozwolę ci odejść.

Aaronowi zrobiło się żal Anety. Z zawstydzieniem patrzył, jak rodzina atakuje starszą panią. Nieraz spotykał się z takimi przypadkami w swojej zawodowej praktyce i nigdy wtedy nie milczał.

- Nie bądź w swym duchu porywczy do gniewu! -zacytował Pismo tak głośno, by każdy mógł jego słowa usłyszeć.

- Dziękujemy za pouczenie, ale większość z nas jest dobrze odczytana w Biblii - warknęła Lewis.

- Mówiłem ci, Brendo, że nie chcę tu przyjeżdżać. To jest zwariowany dom... - szepnął do żony Aaron.

- Ach, ludzie, ludzie... Jakież to wszystko tragiczne... -smutno westchnęła Brenda.

- Jak im nie wstyd - dodał Aaron. - Wrzeszczą jak dzikusy.
- A ja pamiętam, że sam też nieraz wrzeszczałeś, i to jak!
- Możliwe, ale na pewno nie w taki sposób jak ci tutaj.
- Kochanie, widać już zapomniałeś, jak wrzeszczałeś wtedy, gdy Mark uciekł z domu i poślubił Ellen. Bałam się, żeby sąsiedzi nie usłyszeli twoich krzyków. Jeśli chcesz wiedzieć, to państwo, którzy mieszkają na naszym piętrze, dobrze cię słyszeli.

Aneta znowu wytarła oczy; nie mogła pohamować łez. Ta wysoka, postawna kobieta jakby się nagle skurczyła, wydawała się bardzo mała.

- Dziadku Gene! - zawołała Lucy, widząc, że wchodzi innymi drzwiami, gdzieś spod schodów. - Dziadku Gene, popatrz, babcia Aneta płacze...!

- O Boże, Brendo! Tylko tego tu brakowało. Zobacz, kto się zjawił: mój najlepszy przyjaciel... - mruknął Aaron, gdy zmierzył się wzrokiem z nowo przybyłym.

- Cicho bądź! - szepnęła Brenda. - Gorzej, że utknęliśmy tu na dobre. Prędzej niż jutro stąd się nie ruszymy.

- A dlaczego nie moglibyśmy teraz wyjechać?

- Coś ty? Nie możemy się wybrać w tak męczącą podróż z Fredem. Już droga tutaj była dla niego za długa. A poza tym zapowiadają burzę.

- Marku - zwrócił się do zięcia Gene - czy ty wiedziałeś, że ma się tu odbyć takie liczne zebranie?

- Wiedziałem tylko, że jesteśmy zaproszeni razem z moimi rodzicami.

- Ciekawe... - powiedział Gene półgłosem, jakby do siebie. - Bardzo ciekawe... - Potem zwrócił się do matki i otoczył ją ramieniem. - Nie płacz, mamó! Każdy wie, że miałaś jak najlepsze intencje. A to, że twój zamysł się nie powiódł, nie jest twoją winą. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli teraz wszyscy wrócimy do domu i pozwolimy, żeby tutaj znowu zapanował spokój. Idź się położyć, odpocznij i nie przejmuj się za bardzo, że się eksperyment nie udał. Nie warto tracić przez to zdrowia. Mówi-

lem już, że w przyszłym tygodniu przyjadę i spędzę z tobą cały dzień. Obiecałem i słowa dotrzymam.

„Jeśli o mnie chodzi, nie musisz dotrzymywać tego przyrzeczenia” - pomyślała Aneta, ale się nie odezwała. Czuła się rozżalona i przegrana. Ktoś inny na jej miejscu uniósłby ramiona i krzyknął na cały głos: „Mam to wszystko w nosie. Możecie się nawet pozabijać, mnie to już nie obchodzi!” Przecież próbowała podejść z miłością do swoich synów, ale nic z tego nie wyszło. Miała nadzieję, że gdy się Andrew i Cytia zobaczą, coś z dawnego ognia znowu w nich rozgorzeje. Ale także i to się nie udało. Teraz jej goście postanowili wyjechać... Trudno, niech się więc na tym sprawa zakończy.

W tym jednak momencie z jadalni wyszła Maria i niemal biegiem dołączyła do Anety.

- Co tu się dzieje?! - zawołała. - Dlaczego państwo wychodzą? Przecież podano obiad. Jest na stole!

Aneta od razu przypomniała sobie o obowiązku pani domu, przemo-gła łzy i serdecznym głosem dokonała prezentacji.

- Niektórzy z was na pewno znają moją najbliższą przyjaciółkę, Marię Lester - powiedziała.

- Ja ją znam! - wykrzyknęła Lucy. - Maria dała mi lalkę w słomianym kapeluszu. Miałam ją przywieźć, ale mama powiedziała, że jest za duża, że nie zmieści się w torbie, i nie pozwoliła mi jej wziąć. Dziadek Gene -szczebiotała nadal Lucy - obiecał mi na urodziny dużą lalkę - chłopca. Dziadku Gene, prawda, że mi go kupisz? Dlaczego się wszyscy ubierają? Nie zostaniecie na obiedzie? Dziadek Aaron i babcia Brenda zostaną. Będziemy tu aż do jutra rana. A ty, dziadku Gene, nie zostajesz?

- Właściwie... - wił się Gene i złorzeczył w duchu. Niezła draka, niech to diabli...

Tymczasem Maria weszła na pierwszy stopień schodów i klasnęła w ręce:

- Nie mogą państwo stąd teraz wyjść. Po prostu nie możecie tego zrobić Anecie. - Maria przemawiała jak nauczycielka do uczniów, bo

przecież była nauczycielką. -Jenny przygotowała wspaniały obiad - perorowała - na który wszystkich państwa zapraszamy. Przecież państwo przyjęli zaproszenie, żeby tu przybyć, więc proszę odłożyć płaszcze i wejść do jadalni.

„A to ci dopiero! - pomyślała Daisy. - Za kogo się ona uważa? Rządzi tu nami, jakbyśmy byli przedszkolakami”.

Gene śmiał się w duchu. „Nie brak jej tupetu, od razu to widać. Przypominam ją sobie. Jest nauczycielką. Klaszcze w dłonie, co jest typowe dla nauczycieli. I ładna z niej kobieta. Ten perkaty, zuchwały mały nosek...”

- Pani Mario - zwrócił się do niej Lewis. - Rozumiem pani intencje, ale moja córka nie czuje się dobrze. Musimy ją zawieźć do domu.

Jednak Maria nie dała się zwieść.

- Jest już po dwunastej, a przed państwem długa droga do miasta. I tak musielibyście zatrzymać się w drodze, żeby coś przekąsić. Czy nie lepiej przed wyjazdem zjeść dobry obiad tutaj?

- Zostańcie na obiedzie, koniecznie! - namawiała ich Ellen, która miała nadzieję, że może Cyntia i Andrew zrobią jakiś krok ku sobie, choć na razie wcale się na to nie zanosilo.

- Nie możecie zrobić zawodu Anecie ani Jenny, która tyle pracy włożyła w ten obiad - argumentowała Maria. -Po prostu nie możecie... To, że niektórzy z was z trudem tolerują innych - jak widzicie, dobrze się orientuję w tych sprawach - nie stanowi żadnego problemu, bo przecież wchodzimy do jadalni osobno i kiedy chcemy. To jest bufetowe przyjęcie. Weźmiecie sobie, co chcecie, i pójdziecie z tym, dokąd chcecie. Wiem też, że są tu tacy, którzy się ze sobą przyjaźnią. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście państwo razem zasiedli do obiadu. W tym domu jest wystarczająco dużo miejsca, by wszyscy mogli się swobodnie rozmieścić i wygodnie usadowić.

- Zdaje mi się, że musimy jednak zostać, mam - powiedziała Cyntia. Bolał ją widok zasmuconej twarzy babci.

- Dziwię się, że z taką łatwością wybaczasz jej przykrość, jaką ci niewątpliwie wyrządziła - i tu Daisy ru-uchem głowy wskazała na Andrew.

- Nie mówię, że jej wybaczyłam, mnie jest jej po prostu bardzo żal.

- Niemniej jesteś dla niej o wiele bardziej tolerancyjna niż ja. Gdyby nie była taka stara, wygarnęłabym jej, co o niej myślę. Może jej się wydaje, że hece, jakie urządziła, są zabawne...

- Nie mów głupstw! - skarcił żonę Lewis. - Przecież znasz mamę na tyle, by wiedzieć, że nie zasługuje na takie słowa. A teraz chodźmy na obiad - rzucił zirytowany i popychając przed sobą żonę i córkę, wprowadził je do jadalni.

Po kilku minutach wszyscy troje stamtąd wyszli i trzymając w rękę pełne talerze, usadowili się w zacisznym gabinecie Anety, aby zjeść obiad tylko we własnym gronie.

Długi stół w jadalni zastawiono salaterkami i półmiskami. Były tam pokrojone w plastry zimne mięsa, gorące paszteciki nadziewane farszem z kurczaka, ogromna misa z jarzynową sałatką, trzy rodzaje tostowego pieczywa, ciasteczka z melasą, placek z brzoskwiniami i świeże owoce. Salaterki i półmiski pochodziły z najlepszego serwisu starej porcelany, jaki miała Aneta. Pośrodku stołu ustawiono wazon pełen kremowych róż.

- Ale się wystawili... - mruknął do siebie Andrew.

W holu zapanowało lekkie zamieszanie; obecni zastanawiali się, kto po Lewisie i jego rodzinie ma teraz w pierwszej kolejności podejść do stołu i w jaki sposób ci, co się nie lubią, mogą uniknąć bezpośredniego kontaktu. Andrew wzruszył się, stanąwszy twarzą w twarz ze swoją żoną. Wciąż myślał o Cyntii jako o swojej żonie, i to nie dlatego, że zgodnie z prawem nadal nią była, ale dlatego, że ciągle czuł się z nią mocno związany. Stał z talerzem w rękę u dołu schodów i nie bardzo wiedział, dokąd się udać. W tym momencie dostrzegł go Gene i serdecznie przywitał:

- Andrew! - zawołał. - Tak długo cię nie widziałem -i cały czas z żalem myślał o tym, że Lewis nie znajduje się dość blisko, by widzieć, jak gorąco wita jego zięcia. -Chodź z nami, Andrew! Nasza rodzinka ma zamiar wziąć w posiadanie werandę. Tam jest kamienna posadzka, więc jeśli Lucy coś wyleje, co jej się często zdarza, nie stanie się żadna szkoda. Chodź! Pośpieszmy się!

Mimo że Andrew był w kiepskim stanie ducha, nie mógł się powstrzymać od śmiechu. A rozśmieszyło go nawoływanie Gene'a do pośpiechu. Zrozumiał, że chodzi o to, by ubiec rodziców Marka i nie dopuścić, żeby weszli tam pierwsi.

Tymczasem Aaron i Brenda podeszli do stołu na samym końcu.

- Bóg jeden wie, co nam podadzą do jedzenia - z góry się martwił doktor. - Najprawdopodobniej będzie to sałatka z krewetek.

- Nie szkodzi! Jesteś dość gruby, by sobie darować jeden obiad - uszczypliwie zauważyła Brenda. Zły nastrój i jej się zaczął udzielać.

Aaron, który bardzo wcześnie zjadł tego dnia śniadanie, z wielką ulgą stwierdził, że na stole jest wystarczająco dużo sałatek i owoców, by mógł się posilić, nie popełniając grzechu.

Jedzenie zabrali ze sobą do biblioteki. Ponieważ poprzednio spędzili w niej nieco czasu, spodziewali się, że będzie im tam bardziej swojsko. Czuli się jednak nadal trochę zagubieni, ale tylko do czasu, gdy nadszedł Mark z Lucy. Usiadł, nabrał pełne usta jadła, a potem rozejrzał się po talerzach i uśmiechnął do rodziców. Oboje dobrze znali ten uśmiech. Miał im powiedzieć, że syn rozumie niezręczność ich sytuacji. A im od razu nasunęła się myśl, jakby to było inaczej, gdyby Mark na żonę wybrał sobie Jennifer Cohen. Oczywiście także Ellen inaczej ułożyłoby się życie, gdyby poślubiła swego pierwszego narzeczonego. Przypuszczalnie mieszkałaby w Paryżu na jakimś placu... nieważne zresztą jakim.

Po chwili Mark powiedział:

- Smutno tu. Znaleźliśmy się w bardzo dziwnej sytuacji, żeby nie powiedzieć więcej...

- Wydaje mi się, że w takim niełatwym położeniu jest więcej osób - dodał Aaron.

- Taki los... - podsumowała Brenda. - Spójrzcie na tę młodą parę: Cyntię i Andrew. Wydawałoby się, że po tragedii, jaką przeżyli, będą raczej do siebie lgnąć, a tymczasem...

- To nie takie proste - sprzeciwił się Aaron. - Jesteś kuratorem społecznym, a nie wiesz, jak bardzo skomplikowane mogą być stosunki między ludźmi.

- Oczywiście, że wiem. U nich musiało się jeszcze coś innego zdarzyć, coś, co zaszło już po tym strasznym wypadku z dziećmi. To jasne...

- Tak, coś takiego rzeczywiście się zdarzyło, ale to miało miejsce już jakiś czas temu. - Mark spojrzał znacząco w stronę Lucy i przerwał swój wywód.

Brenda się wzdrygnęła, jakby ją przeszedł dreszcz.

- Mam takie uczucie, jakby w tym domu ktoś umarł.

- Nie przejmuj się, mamo - pocieszał ją Mark. - Za parę minut całe to towarzystwo ruszy w drogę powrotną do domu i nic ich nie zatrzyma. Są zdecydowani nawet zмагаć się z pogodą.

W pokoju pociemniało. Mark wstał, by zapalić światło. Niebo przybrało kolor szary jak żelazo i wyglądało surowo i posępnie. Rozmowy przycichły i wszyscy, każdy z talerzem na kolanach, oddali się niemej kontemplacji. Nawet Lucy w zamyśleniu przeżuwała ciasteczka z miasą i milczała.

Gdy niespodzianie do pokoju weszła Aneta, podnieśli wzrok i czekali, co powie. Ona zaś przechodziła z pokoju do pokoju, próbując zachowywać się tak, jakby to było zupełnie naturalne, że jej goście rozproszyli się i rozbiegli po różnych pomieszczeniach. Przypudrowała nos, usunęła ślady łez i postanowiła sobie, że z godnością doprowadzi spotkanie do końca. Musiała przyznać, że ją od klęski uratowała Maria, która teraz w jadalni sprawowała pieczę nad czajnikami z herbatą i dzbankami z kawą.

- Jak sobie radzicie? - wesoło zapytała Aneta. - Czy macie dość jedzenia?

- Ja nie mam! - zawołała Lucy, podskakując. - Proszę o jeszcze jeden kawałek placeka.

- Ależ z przyjemnością. Chodź ze mną, ja ci się postaram o placek.

- Dziadziu, ty też chodź z nami. Weźmiemy ciasto i zaniemiemy dziadkowi Gene'owi. On bardzo lubi placek z brzoskwiniami.

Przez chwilę nikt się nie odezwał, milczenie przerwał Mark:

- Zostaw dziadka w spokoju, bo jeszcze nie skończył obiadu. Idź z babcią i same zajmijcie się placekiem.

- Nigdy nie chcesz się widzieć z dziadkiem Gene'em -z wyrzutem zwróciła się do Aarona mała Lucy. - Unikasz go.

W tym momencie Aneta wzięła ją za rękę.

- Chodź, Lucy! - powiedziała stanowczo. - Jeśli się nie pośpieszymy, zjedzą nam cały placek.

- Często zapominamy o tym, że dzieci wszystko obserwują - zauważyła Brenda, kiedy wyszły. - Nawet jeśli nie rozumieją, o co chodzi, potrafią podpatrzeć wiele sekretów, które na próżno usiłujemy przed nimi ukryć. Powiada się nawet, że już noworodki i niemowlęta doskonale wyczuwają nastroje swoich opiekunów i gwałtownie reagują, kiedy są traktowane z obojętnością lub gdy słyszą wokół podniesione głosy. - Na tym skończyła. Tym razem ani mąż, ani syn nie próbowali przeczyć jej racjom.

„W naszym domu dzieci nie mają takich problemów -myślał Mark. - Są bezpiecznie oddalone od wszelkiego zła". Jego tłuściutkiemu synkowi i pełnej temperamentu córeczce nic nie groziło.

- Zostaw go w spokoju, kochanie - prosiła Ellen, gdy Lucy, całując Freddiego, rozsmarowała mu na policzku resztki czekoladowego cukierka.

Biorąc pod uwagę to, co się słyszy i czyta o zazdrości rodzeństwa, fakt, że Lucy tak łatwo zaakceptowała przyjsie na świat Freddiego, był rzeczywiście dość niezwykły. Bawiąc się z koleżankami, Lucy potrafiła być nieraz drażliwa, a nawet brutalna, ale w stosunku do braciszka za-

chowowała się zawsze delikatnie i czule. „Możliwe, że dzieje się tak dlatego - rozumowała Ellen - iż mała widzi wokół siebie kochających się ludzi i sama jest obdarzana przez nich sporą dozą miłości”.

- Jestem znudzona - poskarżyła się w pewnej chwili Lucy.

- Ciekaw jestem - zachichotał Gene - skąd wzięła to powiedzonko.

- Nie mam pojęcia. Na pewno nie usłyszała tego ode mnie, bo nie mam czasu, by się nudzić.

- O co chodzi? - Aneta, kontynuując obchód domu, weszła na werandę. - Znudzona? Oczywiście, że jej się nudzi. Zjadła obiad i nie ma nic do roboty. Dlaczego nie weźmiesz jej do parku, Ellen? Niechby sobie obejrzała łąbędzie...

- Zimno na dworze, może zmarznąć - ostrzegł Gene, jak zawsze opiekuńczy.

- Trzeba ją ciepło ubrać, a wtedy świeże i chłodne powietrze z pewnością jej nie zaszkodzi. Freddiemu też dobrze zrobi.

Ellen od razu przystała na tę propozycję. Była rada, że może wyjść z domu. Idąc po wierzchnie ubrania dla siebie i dzieci, uświadomiła sobie, że jest jakaś nieswoja. Nie odczuwała zadowolenia, ogarnęło ją dziwne przygnębienie, a nawet lęk, tak jakby się coś złego miało wydarzyć. Nie zwykła wpadać w przesadę ani się martwić na zapas, ale dziś był wyjątkowy dzień. Skoro pod jednym dachem zebrało się tak wiele wrogich sobie osób, w każdej chwili mogła nastąpić eksplozja.

Zwróciła uwagę na Andrew. Patrzył na Freddiego ze smutnym uśmiechem, a Bóg jeden wie, jakie katusze znosił w sercu. Współczuła mu, choć wiedziała, że bardzo rozczarował Cyntię i ściągnął na siebie gniew jej rodziców.

Byłe jaka, nawet przypadkiem posłyszana uwaga mogła doprowadzić do wściekłości zarówno stryja Lewisa, jak i jej ojca. Ten z kolei mógłby zrobić lub powiedzieć coś, co rozżłościłoby Lewisa lub Aarona. A znowu Aaron mógłby obrazić jej ojca... i tak bez końca. Ulegając zapiekłym żalom i złości, nawet ludzie uważający się za cywilizowanych byli zdolni do szalonych postępów.

Znalazłszy się na dworze, Ellen głęboko wciągnęła do płuc powietrze. Ostrożnie znosiła ze wzgórza Freddiego, kierując się w stronę stawu, a zbrązowiała, zmarznięta trawa chrzęściła pod jej stopami. Lucy jak zwykle biegła przodem.

Nawet zimą, w grudniu, było tu pięknie. Drzewa, ogołoczone z liści, teraz dopiero ukazywały prawdziwą urodę nagich gałęzi, uniesionych w górę na kształt ramion. Wrony, choć trudno by te ptaki uznać za ładne, też wyglądały wdzięcznie, gdy się zrywały do lotu i szybowały pod nie

RS

bem. Oczy Ellen, wyczulone na kolor, potrafiły rozpoznać w lasach, otaczających babciną posiadłość, sosny i świerki, daglezie i jodły, a także zielone drzewa oliwne, trawę i mech. Znajdował się tu nawet ozdobny, szaroniebieski świerk srebrzysty - egzotyczny samotnik pośród zieleni. Nie mógł wyrosnąć przypadkowo, na pewno posadził go dziadek. „Muszę to drzewo kiedyś namalować - pomyślała - dokładnie tak jak wygląda albo jeszcze lepiej: w migotliwych światłocieniach letniego słońca.

Wszyscy ci ludzie, gnuśniejący teraz w domu, mogliby wybrać się na spacer przez las ścieżką, którą babcia kazała wytyczyć dla harcerzy. Ale nie, wolą hodować swoje nienawiści, niektóre tak zastarzałe, że stały się wręcz nałogiem nie dającym się wykorzenić. Już łatwiej byłoby wykorzenić drzewo, nawet gdyby przyszło je wykopywać za pomocą dziecinnej łopaty.

Z dawnych czasów Ellen pamiętała skałę nad brzegiem stawu, z płaskim występem, na którym można było siedzieć. Widziało się stąd cały staw aż po miejsce, gdzie łączył się z dużym jeziorem.

- Usiądź przy mnie na chwilę, Lucy! - poprosiła matka. - Rozejrzyj się dokoła i powiedz mi, co widzisz.

Lucy najpierw okręciła się w kółko, po czym spytała:

- Dlaczego na tym drzewie są jeszcze liście? Przecież mówiłaś, że liście zawsze spadają z drzew, gdy na dworze robi się zimno.

- Ten szczególny gatunek dębu traci liście dopiero na wiosnę, czyli wtedy, gdy na innych drzewach zaczynają się pojawiać nowe liście.

- Dlaczego?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Ale się dowiem i ci o tym powiem, obiecuję.

Nie ulegało kwestii, że Ellen będzie się musiała dowiedzieć, jak to jest z tym dębem, bo Lucy zanotowała go sobie w pamięci i na pewno wkrótce zażąda odpowiedzi. Ta mała osóbką o żywym usposobieniu była nie tylko dociekliwa, ale i bardzo inteligentna. Jej rodzice zdawali sobie z tego sprawę, nie musieli nawet zasięgać opinii szkolnego psychologa. Ellen uśmiechnęła się do siebie na myśl, że trzeba nie lada

energii, aby tej pierwszoklasistce dotrzymać kroku. Natomiast Freddie diametralnie różnił się od siostry. Przede wszystkim był od niej znacznie spokojniejszy. Teraz ze smoczkiem w buzi siedział sobie wygodnie na matczynych kolanach.

- Jest strasznie zimno, mamusiu! - zauważyła Lucy.

- Masz rację. Robi się coraz chłodniej. Chodź, przejdziemy się brzegiem stawu, z bliska przyjrzymy się łabędom, a potem biegiem wrócimy do domu.

Ellen upajała się spokojem i ciszą, była sama z dziećmi i nie miała jeszcze ochoty wracać. Zaczął jednak padać deszcz ze śniegiem i igielki lodu kłuły ją w twarz.

- A teraz pobiegamy! Popatrz! Łabędzie pokruszyły lód i zrobiły sobie długi kanał, żeby miały gdzie pływać. Gdy lód jest cienki, wystarczy, że prąc do przodu naciskają na niego piersią, a już się kruszy. To ciężka praca, ale w ten sposób zapewniają sobie dostęp do wody i pożywienia.

Trzy łabędzie z dumnie zadartymi do góry pomarańczowymi dziobami unosiły się na wodzie. Ich białe skrzydła, nastroszone po bokach, wyglądały jak spódniczki baletnic.

- Widzisz tu - wyjaśniała córeczce Ellen - łabędzią rodzinę: tatę, mamę i jedno z ich dorosłych już dzieci, które jeszcze nie opuściło gniazda rodziców. Czy nie są piękne?

- Chciałabym je pogłaskać.

- Nie możesz, przecież pływają.

- A gdyby przyszły do nas po lodzie?

- Nie! Nie trzeba ich głaskać. One tego nie lubią. Łabędzie bywają nieraz bardzo wojownicze, nawet psy się ich boją.

- Chyba nie szczekają na psy?

- Nie! Te łabędzie są nieme, to znaczy, że mają skromne możliwości głosowe, czasem tylko pochrapują lub syczą, a ich piskłeta trochę popiskują, to wszystko...

- A gdzie mieszkają ich dzieci?

- W gnieździe, tak samo jak piskłęta małych ptaków. Pamiętasz? Kiedyś w szkole pokazywano wam ptasie gniazdo.

- Tylko że gniazdo łabędzia jest na pewno o wiele większe - zastanawiała się Lucy.

- Oczywiście! Jest niemal tak duże jak nasza kanapa w domu.

- A gdzie się ono mieści?

- Niedaleko stąd, po drugiej stronie stawu. Ale nie wiem, czy ptaki zostawiają je na zimę.

- Chodźmy zobaczyć, czy tam jeszcze jest!

- Nie teraz. Deszcz ze śniegiem rozpadał się na dobre. Lepiej po-
biegajmy.

- Chcę zobaczyć łabędzie gniazdo... - upierała się Lucy.

- Nie, Lucy! Powiedziałam już, że nie!

- Zaraz wrócę, mamusiu, naprawdę!

- Nie, Lucy!

- Ale ja zaraz wrócę... - I pobiegła po lodzie w stronę łabędzi.

- Wracaj! Natychmiast! Lucy, wróć! - krzyczała Ellen. Przerażona wrzeszczała, wydzierając się na całe gardło,

i patrzyła, jak Lucy biegnie... Łabędzie z pluskiem rozłożyły skrzydła i uniosły się w powietrze, a Lucy wpadła do wody i zniknęła. Ciemna tafla stawu od razu się nad nią zamknęła.

Przez chwilę Ellen rozglądała się dzikim wzrokiem dokoła, a potem, położywszy na trawie dziecko, które trzymała na ręku, puściła się biegiem po lodzie, poślizgnęła się, upadła, podniosła się i zsunęła do wody.

Mark i jego rodzice nadal siedzieli w bibliotece, trzymając się z dala od innych. Mark usiadł przy oknie i zadumany spoglądał w stronę stawu.

- Znalazłem się dzisiaj w dziwnej sytuacji - mówił półgłosem, jakby do siebie. - Zawsze lubiłem Cyntię, ale Andy'ego także bardzo lubię. W niedzielne poranki nieraz grywałem z nim w tenisa. Ale gdybym chciał

teraz z nimi porozmawiać, nie mógłbym podejść do żadnego z nich, bo bałbym się, że sprawię tym przykrość drugiemu.

- Biedacy... - westchnęła Brenda. - Stracić dziecko to najgorsze, co się może przydarzyć.

- Stracili dwoje dzieci, nie jedno - poprawił żonę Aaron i wzdrygnął się z przejęcia. Zaabsorbowany własnymi myślami, tylko połowicznie słuchał tego, o czym rozmawiali Brenda i Mark. Udzieliła mu się panująca w tym domu atmosfera, a także szczególna aura pokoju bibliotecznego z jego wspaniałymi portretami i cennymi książkami. Myślał o ludziach, którzy w tej rezydencji mieszkali. Niedzisiejsi Amerykanie, od wielu pokoleń będący tu u siebie, żyli od dawien dawna w tym samym miejscu, otoczeni stuletnimi i jeszcze starszymi drzewami. W oszklonej szafce, wydzielone spośród tomów mieszczących się na półkach i regałach, stały pięknie oprawione woluminy sławnych autorów. Ich nazwiska mówiły same za siebie: Dickens, Balzac, Thackeray... „Jak to się dzieje - zastanawiał się Aaron - że ktoś, kto wychowywał się w tak szlachetnym otoczeniu, może mieć w sobie tyle nienawiści co Gene Byrne?" I od razu skierował takie samo pytanie do siebie: „Co sprawiło, że ja również mam wrogi stosunek do niego? Przecież i mnie nikt nie wychowywał w duchu nienawiści do kogokolwiek".

- Spójrz na te książki! - zwrócił się do syna. - Na pewno pierwsze wydania, nie sądzisz? Prawdziwy skarb! Te wszystkie wielkie umysły...

Przerwał w połowie zdania, usłyszawszy straszliwy krzyk Marka.

- Co się dzieje? Stało się coś?

- Tam, na stawie. O Boże! One wpadły do wody. Brenda krzyknęła i podbiegła do okna.

- Gdzie? Gdzie? Nic nie widzę...

Ale Mark i Aaron pędzili już przez hol, na zewnątrz, schodami w dół na trawnik i w stronę stawu.

W holu otworzyły się wszystkie drzwi: z kuchni, z gabinetu Anety, z werandy i zewsząd wyglądali ludzie.

- Co się stało? O co chodzi?

- Co się tu wyprawia, na Boga?! - wrzasnął Gene. Zdenerwował go krzyk Brendy. - Co to za zamieszanie?

- Ellen! - krzycząc, wyjaśniała Brenda. - Ellen i Lucy wpadły do stawu.

Teraz już wszyscy ruszyli przed siebie. Wybiegli, tak jak stali, bez płaszcza, nie bacząc na padający deszcz ze śniegiem. Potykając się i ześlizgując po zboczu wzgórza, podążali w ślad za Markiem i Aaronem.

Kanał wodny na zamrożonym stawie był wąski, niewiele szerszy od łabędzia, który własną pierśią utorował szlak. Jeden brzeg kanału był poszczerbiony, tam gdzie lód załamał się pod ciężarem Ellen. Mark się zanurzył, usiłując wydostać ją z toni. Ellen wciąż jeszcze walczyła, by się utrzymać na powierzchni, w czym pomagała jej gruba puchowa kurtka i ciężkie buty.

- Lucy, Lucy, ratuj dziecko! - błagała.

- Potrzebny jest mocny sznur lub lina! - zawołał Lewis. Pod jego ciężarem z trzaskiem pękł kawał lodu i Lewis

odskoczył do tyłu. Lód kruszył się już po obu stronach kanału.

Nadbiegł Andrew z liną.

- Miałem ją w bagażniku - powiedział, dysząc, i wyciągnął linę w stronę Marka. - Myślisz, że uda jej się po nią sięgnąć? - spytał.

- Nie! Lucy na pewno nie da rady... - odparł Mark, walcząc ze łzami.

Andrew od razu pojął, że Lucy nie zrozumie, iż trzeba uchwycić linę i jej się trzymać. Staw miał około pięciu metrów głębokości. Dziecko było na dnie. W dodatku lina mogła okazać się za krótka.

Mężczyzn było czterech, bo teraz doszedł do nich jeszcze Gene, który stanął z tyłu. Na moment zastygli nieruchomo jak zahipnotyzowani, sparaliżowani rozpaczą. Andrew zdjął buty i przygotowywał się do skoczenia do wody, gdy nagle ktoś gwałtownie odsunął go na bok.

- Pozwól, że ja to zrobię - oznajmiła Daisy. - Owiąż mnie liną dookoła talii! - Zdjęła buciki i spódnicę. - Módl się, by lina okazała się wystarczająco długa. Staraj się przywiązać ją na samym końcu i daj mi trzy minuty. Jeśli wcześniej nie pociągnę za sznur - wyciągnij mnie.

Ellen zemdląła, oparta na ramieniu Marka. Aaron i Gene próbowali wyciągnąć ich oboje na powierzchnię, ale bez liny czy sznura nie sposób było tego dokonać. Andrew trzymał obiema rękami linę, która mocno się napięła. To mogło oznaczać, że albo jest za krótka, albo Daisy już osiągnęła dno i może znalazła Lucy.

Zapadła cisza. Słysząc było jedynie dzwonienie deszczu ' ze śniegiem padającego na lód. Grupka przerażonych ludzi stała w arktycznym zimnie na szybko bielejącej trawie bez słowa i bez najmniejszego ruchu. Przypominali widzów przyglądających się scenie awaryjnego lądowania uszkodzonego samolotu. Uda się czy nie uda? Mieli szeroko rozwarte oczy i rozdziawione usta. Nawet psy się nie poruszyły, jakby wiedziały, że dzieje się coś niezwykłego.

Andrew nie liczył, czy minęły już zapowiadane trzy minuty, gdy nagle poczuł szarpnięcie.

- To Daisy! - krzyknął. - Pociągnęła za linę! - Lewis natychmiast podskoczył, by mu pomóc, ale Andrew się nie zgodził. - Sam się tym zajmę - powiedział. - Jestem młodszy i nie mam, jak ty, kłopotów z krzyżem.

Gene także od razu podbiegł, zostawiwszy Marka, który stał w wodzie i jednym ramieniem podtrzymywał Ellen, a drugim na próżno usiłował unieść się na tyle, by móc się wgramolić na śliski lód.

Wspólnymi siłami, powoli Andrew i obaj bracia ciągnęli linę. Jednocześnie walczyli o oparcie dla stóp, ślizgali się, upadali, wstawali i dalej ciągnęli... dopóty, póki głowa Daisy nie pojawiła się nad powierzchnią. Miała siną twarz i włosy ociekające wodą; brakło jej tchu, ale w ramionach trzymała przyciśniętą do serca Lucy.

Stłoczona na trawie grupka kobiet przywitała ją krzykiem radości. Wszyscy, nawet Jenny, ruszyli biegiem w jej stronę. Gene chwycił Lucy, a Daisy, dysząc, opadła na lód.

- Proszę, żeby się wszyscy cofnęli - ostrzegł Andrew -lód blisko brzegu jest kruchy i niepewny. Proszę, cofnijcie się!

W ramionach Gene'a mała Lucy leżała bez życia, z jej długich włosów ściekała woda, a nogi bezwładnie dyndały w powietrzu.

- O Boże! - jęknął Gene. - Ona nie oddycha...

- Daj ją mnie! - powiedział doktor Aaron Sachs; wziął dziecko z rąk Gene'a i ułożył niedaleko na trawie.

- Na litość boską! - błagał Mark. - Niech ktoś podniesie Ellen, bo dłużej już jej nie utrzymam!

Andrew i Lewis, którzy dotąd zajmowali się Daisy, teraz przybiegli z liną do Marka, ciasno owiązali nią jego i Ellen i pociągnęli. Mark, zziębnięty i do cna wyczerpany, zrobił parę chwiejnych kroków i osunął się na lód. Ellen była nieprzytomna.

- Nic dziwnego - mruknął Andrew - przecież temperatura wody nie przekracza zera stopni.

Początkowo każdy działał na własną rękę, ale już po chwili Aaron objął dowodzenie. Widać było, że pracuje w dużym napięciu, a komendy, które wydawał, brzmiały szorstko.

- Połóżcie Ellen na ziemię! Niech ktoś zaprowadzi Daisy do domu. Szybko! Trzeba jej natychmiast zapewnić ciepłe, suche ubranie, koc i coś gorącego do picia. Pośpieszcie się! - rzucał słowa jak pociski. - Ty jesteś chyba Andrew? Czy umiesz udzielać pierwszej pomocy? Wiesz, jak się robi sztuczne oddychanie?

- Nie wiem, ale jak mi pokażesz, to sobie poradzę.

- Ja umiem robić sztuczne oddychanie - włączył się Lewis. - Już to robiłem... Od kogo mam zacząć?

- Zajmij się Ellen! A Andrew niech pomoże twojej żonie dostać się do domu. Ja będę ratował dziecko. Musimy działać bardzo szybko!

Ani matka, ani leżące obok niej dziecko nie oddychały.

- Rób to co ja - pouczał Lewisa Aaron. - Najpierw odchyl jej głowę do tyłu, najdalej jak potrafisz, potem nachyl ją jak najgłębiej do przodu. Tylko jeden raz! Patrz, jak ja to robię: raz do tyłu i raz do przodu - to wszystko. Chodzi o oczyszczenie dróg oddechowych. Teraz ściśnij jej nos. Nie tak! Ściśnij! Przyłóż swoje usta do jej ust - muszą szczelnie przylegać - i wdmuchuj strumień powietrza do jej płuc.

Aaron klęczał nad małą Lucy, próbując przywrócić wnuczce życie. Lewis robił to samo, walcząc o życie bratanicy. Obaj nie zwracali uwagi na deszcz ze śniegiem, który nieprzerwanie na nich padał.

Gene i stojące obok panie trzęśli się z zimna. Wyszli z domu, tak jak stali, bez okryć. Wszyscy czekali, nikt nie ruszył się z miejsca. Aneta cicho płakała. Mark odpoczywał, leżąc na trawie. Cyntia, trzymając na ręku małego Freddiego, nie spuszczała oka z akcji ratunkowej ojca. Brenda z podziwem patrzyła na męża. Była pewna, że jeśli uratowanie Lucy jest możliwe, Aaron tego dokona.

Czas mijał, lecz nikt z uczestników tych dramatycznych wydarzeń nie był i nigdy nie będzie w stanie ocenić, jak długo trwało sztuczne oddychanie, ile minut upłynęło -dwie czy dwadzieścia.

Nagle Lucy się poruszyła i zakaszła. Z jej ust buchnął strumień wody, zaczęła płakać i po chwili dostała torsji. Mark zerwał się z miejsca, na chwiejnych nogach podszedł do dziecka, podniósł je i przytulił moką, zapłakaną, rozdygotaną córeczkę do piersi.

Parę minut potem Ellen również wydalila z siebie wodę zalegającą drogi oddechowe. Była zdezorientowana, próbowała wstać, a kiedy otworzyła oczy i wróciła jej przytomność, zaczęła histerycznie krzyczeć:

- Lucy! Co z Lucy? Gdzie jest Freddie? O Boże! Przecież zostawiłam go na trawie. Co się z nim stało?!

- Z Freddiem wszystko w porządku. Cyntia się nim zajęła - szeptał Lewis. - A Lucy jest tu z nami, zobacz! Nic jej nie jest. Uspokój się, Ellen. Lucy jest z Markiem, a obok stoi twój ojciec.

- Potrzebujemy samochodu i pomocy - powiedział Aaron. - One nie mogą wrócić do domu piechotą.

Ale praktyczna Maria już zawczasu o tym pomyślała, teraz była w pół drogi do miejsca, gdzie stały zaparkowane samochody. W parę chwil później jej terenowy jeep z napędem na cztery koła zjeżdżał z górki, podskakując na wybojach i kępkach trawy. Ellen wraz z tulącą się do niej Lucy wniesiono do środka.

- Wszyscy pozostali niech lepiej biegiem pędzą do domu - radził Aaron. - Przebywaliśmy tutaj dobre dwadzieścia minut, a takie oziębienie ciała to nie żarty.

Ci, którzy nie zmieścili się do jeeпа, mokrzy, trzęsący się z zimna, z przemarzniętymi palcami i stopami, pędem ruszyli w stronę domu.

* * *

W godzinę potem wszyscy zebrali się w bibliotece, gdzie Jenny nałożyła polan do kominka i rozpałała wielki ogień. Przedtem ci, którzy ucierpieli najgorzej, zostali poddani na górze dokładnym oględzinom lekarskim. Teraz w pobliżu trzaskającego ognia i w zasięgu jego ciepła drzemały wygodnie w fotelu Jenny z Lucy na kolanach, przykryte grubym czerwonym kocem. Po drugiej stronie kominka zasiedli w fotelach, także przykryci kocami, Mark i Daisy, a na podłodze pomiędzy nimi rozłożył klocki i bawił się mały Freddie. Na stole stała duża taca z różnymi napojami, począwszy od brandy, a skończywszy na kawie i kakao dla Lucy. Aneta, pamiętając o tym, że cukier pomaga wyczerpanym odzyskać siły, podała gościom duży talerz polukrowanych ciasteczek.

- Cóż może robić osoba w moim wieku i w mojej sytuacji? Tylko podejmować gości dobrym jedzeniem! Powinna bym zrobić coś jeszcze, ale nie wiem co - zwierzała się Marii Aneta. - Wciąż jeszcze trzęsę się ze zdenerwowania i czuję się bezużyteczna.

- Bezużyteczna? Ty? Jesteś ostatnią osobą, która może tak o sobie powiedzieć.

- Mówisz tak, bo jesteś moją lojalną przyjaciółką.

- Nie, to szczerą prawdą.

- Nie dałabym sobie dziś rady bez twojej pomocy, Mario.

- Nic wielkiego nie zrobiłam, ale miło mi, że mogłam ci pomóc. A teraz pójdę już lepiej do domu.

- Nie zjesz z nami kolacji?

- Nie! Zostanę jeszcze pół godziny, ale pogoda robi się coraz gorsza. Chciałabym wrócić, zanim zapadnie ciemność.

W pokoju panowała cisza, słychać było jedynie trzaskający ogień. Ci, którzy skupili się blisko kominka, powoli wracali do siebie, a pozostali pozwolili im spokojnie odpoczywać. Aneta uzmysłowiła sobie naraz, że jej goście -po raz pierwszy, od kiedy wkroczyli w progi jej domu -znaleźli się wszyscy razem w tym samym pokoju, chociaż nadal byli w pewnym sensie porozmieszczani po całej bibliotece. Gene ulokował się na kozetce obok matki. Andrew przyciągnął krzesło w pobliżu sofy i siedział tam z psami, które pokładły się u jego stóp. Cyntia zajęła miejsce **jak** najdalej od Andrew i razem z ojcem usadowiła się po drugiej stronie pokoju blisko Daisy. Towarzyszyli im Aaron i Brenda, z którymi tworzyli luźną grupę. Aneta znajdowała się na końcu stołu i stąd nie mogła słyszeć uwag, które tamci półgłosem wymieniali. Sądziła, że ich zachowanie jest naturalną reakcją po szoku, jaki tego dnia przeżyli, kiedy w ciągu niepoliczonych, ale straszliwych minut niepewności stali w zupełnej ciszy, zastanawiając się, czy Ellen i Lucy wyżyją. Może byłoby bardziej normalne, gdyby teraz pozwolili swoim emocjom wybuchnąć. Nie umiała znaleźć odpowiedzi. Wiedziała tylko, że w końcu ktoś się powinien głośno odezwać.

A więc podniesionym tonem, by każdy ją usłyszał, zapytała:

- Jak się czujecie, kochani? Ciepłej wam?

- Mnie jest ciepło - odparł doktor Sachs - ale chciałbym wiedzieć, jak się czuje pani Daisy Byrne.

- Proszę mi mówić Daisy - powiedziała sucho i zwięźle, jak to było w jej zwyczaju. - Czuję się dobrze, dziękuję.

- Ciociu Daisy - zapewnił ją Mark - dla mnie jesteś bohaterką i będziesz nią po wsze czasy; do końca życia nie przestanę być ci wdzięczny. Nie umiem... nie potrafię wyrazić tego, co czuję...

- Według mego zegarka - dodał Andrew - byłaś pod wodą przez dwie i trzy czwarte minuty bez oddychania. To chyba górna granica wytrzymałości...

- Bohaterka - powtórzył Aaron. - Bohaterka z dobrymi płucami.

Aneta spojrzała na Gene'a, który nerwowo odchrząknął, jakby mu coś w krtani przeszkadzało, potem się pochylił, żeby pogłaskać psa, a kiedy znowu podniósł głowę, odezwał się dziwnie nieśmiałym głosem:

- Nikt nie wymyślił jeszcze lepszych słów niż „dziękuję”. Dziękuję ci, Daisy. Tylko kilka sylab, a ważą tyle co życie dziecka. - Głos mu się załamał. - Dziękuję ci, dziękuję, Daisy!

Przez następnych kilka minut nikt się nie odzywał. Potem głos zabrał Lewis.

- Mieliśmy w klubie dwóch młodzieńców, którzy uprawiali pływanie pod lodem. Uważaliśmy ich za wariatów. Ale któregoś dnia Daisy też się na to zdobyła. Ci chłopcy pokazali jej jak... Byłem na nią zły, ale Daisy się na wszystko odważa. Taką ma naturę.

Aneta doznała piekącego uczucia wstydu. Jakie miała prawo patrzeć na Daisy z góry? Nawet jeśli nigdy tego nie uzewnętrzniała, w duchu ją potępiała. Śmieszły ją ćwiczenia fizyczne, jakie Daisy uprawiała podobno jeszcze na pensji, i te, których się nauczyła w klubie. „Uważałam ją za gorszą tylko dlatego, że nie jest podobna do mnie - łąjała się w duchu Aneta. - Miałam się za kogoś lepszego, poważniejszego od niej. Mój Boże, gdybyśmy tylko wszyscy chcieli dokładnie i uczciwie przyrzec się samym sobie, myślę, że to, co byśmy zobaczyli, nie zawsze by się nam spodobało”.

- Obniżenie temperatury ciała - tłumaczył Aaron - nawet na kilka minut, może spowodować, że wylądujemy w szpitalu. Hipotermia jest niebezpieczna. Tak, tak... wystarczy kilka minut...

- To dziwne - mówił jakby do siebie Andrew - ale kiedy ostatni raz czyściłem bagażnik samochodu, miałem zamiar wyjąć tę linę. Trzymałem ją tam od czasu, kiedy podczas wyjazdu na narty w Vermont utkwilem w zaspie śnieżnej. Co za szczęście - dodał - że jej nie wyrzuciłem!

- Nigdy nie próbowałem nurkować - zwierzał się Mark - ani nie zainteresowałem się techniką udzielania pierwszej pomocy. Teraz mam zamiar się tego wszystkiego nauczyć.

- Najlepiej w Czerwonym Krzyżu - poradził mu Lewis. - Oboje z Daisy przeszliśmy tam kurs. To nawet całkiem przyjemne zajęcie.

Choć wszyscy ze sobą rozmawiali, to jednak nie patrzyli na siebie. „Wyglądają tak - myślała Aneta - jakby przemawiali na publicznym zebraniu, albo po prostu mówili w powietrze czy głośno myśleli”.

Cyntia milczała. Obserwowała Freddiego, który po wielu cierpliwych próbach zdobył się wreszcie na zbudowanie wieży z trzech klocków. Próbowała sobie przypomnieć, co wyczytała w jednej z licznych książek o dzieciach - po śmierci bliźniaków oddała je wszystkie z domu - na temat różnych stadiów rozwoju dziecka. Jakie głupie zmartwienia mają ludzie... Jakby to było ważne, że ładne i zdrowe dziecko, na przykład takie jak Freddie, jest nieco sprytniejsze lub trochę wolniej myślące niż dziecko sąsiada. Policzki Freddiego, przedtem czerwone z zimna, teraz poczerwieniały z gorąca. Z radosnym śmiechem zburzył wieżę i zaraz zaczął ją budować od nowa. Nie mogła oderwać od niego oczu.

Mimo to nie uszło jej uwagi, że Andrew odwrócił głowę i zerkał w stronę, gdzie siedziała. Czy się patrzył na nią, czy na Freddiego, nie potrafiła orzec, ale to i tak nie miało znaczenia, bo jej zdaniem Andrew w ogóle nie powinien był się znaleźć w tym miejscu. Już tu nie należał.

Postanowiła częściej widywać się z Ellen i Markiem. „Bóg jeden wie dlaczego - myślała - widok Freddiego i to, że go wzięłam na ręce, kiedy płakał, leżąc na trawie, jakoś mnie odmieniły. Nie spodziewałam się, że będę w stanie znowu trzymać w ramionach dziecko”.

- Czas szykować kolację dla Freddiego - oznajmił Mark, wstając z fotela.

- Powiedz mi tylko, co on je, a ja już się tym zajmę -zaoferowała Cyntia.

- Naprawdę masz na to ochotę? - spytał z uśmiechem.

- Tak! Jeśli się zgodzisz...

Kiwnął potakująco głową i Cyntia się domyśliła, że zrozumiał pobudki, jakie nią kierowały.

- Dostaje zestaw dla młodszego dziecka, a potem mleko w butelce. Wszystko znajdziesz w naszej torbie w holu. Zaczekaj! Zaraz ci ją przyniosę.

- Nie trzeba. Sama ją znajdę. Freddie pójdzie ze mną. Zauważyłam, że mnie lubi.,

- Jenny da ci wysokie krzeselko do karmienia! - zawołała za nią Aneta.

Cyntia wzięła Freddiego do gabinetu Anety i tam go karmiła. Właśnie dostał swoją butelkę, kiedy Maria już ubrana do wyjścia, w palcie i wysokich botkach, przeszła obok otwartych drzwi.

- Ładny widok - zauważyła, mijając ich.

- Wejdz na chwilę! - poprosiła Cyntia. - Chciałabym ci podziękować za to, żeś babci dzisiaj tak skutecznie pomogła. I za wszystko inne też.

- Muszę powiedzieć, że dzień był naprawdę okropny. A jednak, choć to brzmi idiotycznie, jest szansa, że może z niego coś dobrego wyniknąć.

- I mnie się tak wydaje. To, co się tu dziś wydarzyło, dało memu stryjowi i ojcu dużo do myślenia. Będąc z nimi, odniosłam wrażenie, że już teraz obaj zaczęli inaczej na siebie patrzeć.

- Śmierć, a nawet samo jej niebezpieczeństwo, wywiera ogromny wpływ na ludzi. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak przemożny jest ten wpływ, dopóki sama mu nie uległam.

- Babcia mi wspominała, że jesteś wdową.

- Tak! Owdowiałam nagle, całkiem niespodzianie. Wybraliśmy się z mężem do miasta na krótki, weekendowy pobyt. Poszliśmy na wspólną kolację, obejrzelśmy doskonałą sztukę w teatrze i zadowoleni wróciliśmy na noc do naszego hotelowego pokoju. Rano mąż wstał, widziałam, jak przechodzi przez pokój, i nagle upadł..

Maria przysiadła na brzeżku krzesła. Może to dziwne, ale jej martwa, pozbawiona wyrazu twarz bardziej Cyntię wzruszyła, niż gdyby dojrzała w jej oczach łzy.

- Mój mąż - mówiła dalej Maria - był wysokim, szczupłym blondynem o wysportowanej sylwetce. Wywodził się ze skandynawskiej rodziny i był typowym nordykiem. A w ogóle to wyglądał na człowieka stworzonego, by długo żyć...

- Jakież to musiało być dla ciebie straszne!

- Nieraz byłam na niego zła, zdarzały nam się różne nieporozumienia. Kiedy pomyślę, ile godzin, ile dni zmarnowaliśmy na te kłótnie... A teraz go nie ma. Odszedł na zawsze... Już nigdy... - dramatycznym gestem rozłożyła ręce. - Tak to jest... - Raptem wstała i znów była energiczna i rzeczowa jak zawsze. - Nie wiem doprawdy, po co ci to wszystko opowiadam. Przepraszam! - Uśmiechnęła się do Freddiego. - Jaki słodki chłopczyk! Ma śliczne oczy. Ale już lepiej pójdę. Muszę się pośpieszyć, bo robi się ciemno.

„Nie wiem, po co ci to wszystko opowiadam - powtórzyła Cyntia, uśmiechając się pobłaźliwie. - Chciałaś mi dać lekcję, ot co. Ale niestety, nic z tego nie wyjdzie, Mario, bo moja sytuacja jest zupełnie inna, diametralnie różna od twojej”.

Zaniosła Freddiego do biblioteki; Ellen, zupełnie już rozbudzona, wzięła go od niej i Cyntia znów została z pustymi rękami. Ogarnęło ją przykre uczucie osamotnienia. Stała speszona i słuchała, jak od wichury drżą okienne szyby.

- Za żadne skarby nie chciałabym dzisiejszej nocy podróżować samochodem - oznajmiła Aneta.

- Dobrze, że o tym wspomniałaś, bo właśnie chcę się pożegnać i natychmiast wyruszyć w drogę - powiedział Andrew.

- Absolutnie się na to nie zgadzam - zaprotestowała stanowczym tonem. A w duchu pomyślała: „Postanowił wyjechać, bo Cyntia nie chce nawet na niego spojrzeć”. Głośno zaś powiedziała: - Masz do pokonania piętnasto-kilometrową odległość, a przed chwilą Jenny usłyszała w radio ostrzeżenie, że drogi są potwornie oblodzone. Natomiast tu miejsca jest pod dostatkiem. Mój dom jest elastyczny, rozciąga się stosownie do potrzeb. - A kiedy Andrew wciąż się wahał, dodała z

rozmyśłem, nietaktownie: - Przecież dobrze o tym wiesz. Bywałeś u nas częstym gościem. Siedź więc cicho i nigdzie się nie ruszaj!

W pokoju zapanowało nagle ogólne poruszenie, jakby goście zbyt szybko się zasiedzieli lub powiedzieli już wszystko, co mieli do powiedzenia, i z przykrością sobie uzmysłowali, ile jeszcze rzeczy zostało nie dopowiedzianych.

Brenda poskładała w kostkę czerwone koce. Były już zbędne.

Aneta powiedziała, co zobaczyła w sypialniach na górze:

- Brenda pościeliła wam wszystkim łóżka na noc. I co wy na to? Poszłam na górę i patrzę, a ona ściele łóżka. Niepotrzebnie się trudziłaś, Brendo! Naprawdę!

- Wiem, że Jenny ma dość roboty w kuchni, a tu ludzi huk... Ale nie martw się, Aneto, nie zrobiłam bałaganu w twojej szafce z bielizną pościelową. Wszystko poukładałam jak należy. Pewnie powiesz, że straszna ze mnie męczycielka, Aaronie - zwróciła się do męża - lecz zanim usiadłeś w fotelu, trzeba było pomyśleć! Przecież twoje ubranie jest wciąż jeszcze mokre...

- Wiem, ale co mam zrobić? Nie przywozłem ze sobą drugiego ubrania... - Szybko jednak wstał z zajmowanego miejsca.

- O Boże! Jak ty strasznie przemokłeś! - zawołała Aneta. - Czy nikt z was nie mógłby... - mówiąc, rozglądała się po obecnych. - Najbardziej zbliżony wzrostem do Aarona wydajesz się ty, Gene.

- Jest między nami tylko piętnaście centymetrów różnicy, drobiazg, co? - roześmiał się Aaron, choć był wyraźnie speszony.

Gene z przesadną gorliwością zajął się Roscoem, choć nigdy przedtem tego nie robił i wcale nie był miłośnikiem psów.

- Mam tu parę ubrań... Coś może znajdę - bąknął zmieszany.

- A więc ten problem mamy z głowy - ucieszyła się Aneta. „Zobaczmy, co się będzie działo podczas kolacji - pomyślała. - Niczego nie można być pewnym, ale dzięki Bogu jakiś postęp jest już widoczny"... - Proponuję, żebyśmy poszli na górę odpocząć - dodała wesoło. - Oczywiście pod warunkiem, że macie na to ochotę. Wydaje mi się, że wszy-

scy zasłużyliśmy na odpoczynek. Jeśli o mnie chodzi, potrzebuję małej drzemki przed kolacją. I przypominam, że kolacja będzie o siódmej.

Jadalniany stół nakryty do kolacji wyglądał całkiem inaczej niż podczas obiadu. Andrew, który na takie rzeczy zwracał uwagę, porównał go z kobietą: na co dzień chodzi w swetrze i spódnicy i nawet jest jej w tym do twarzy, ale dopiero suknia balowa zupełnie kobietę przeobraża. Blask świec w srebrnych lichtarzach rozjaśniał bladożółtą porcelaną o brzegach zdobionych w znany grecki motyw. Dekoracje z kremowych róż w dużym wazonie wzbogacono gałązkami mniejszych kwiatów, ułożonych na środku stołu. „Jeszcze raz Aneta pokazała, co potrafi - pomyślał Andrew. - Z powodzeniem mogłaby ubierać stoły na weselnych przyjęciach. Już kiedyś to zrobiła”... - wspomniał z goryczą.

Aneta, zawsze przywiązująca wagę do najdrobniejszych szczegółów, uważnym okiem obrzuciła stół i poczuła prawdziwe zadowolenie. Ostatnio rzadko zasiadano do uroczystych kolacji w tym pięknym pokoju. Nie tak jak dawniej, kiedy to całymi latami przy wspaniałe jarzających się światłach prowadzono inteligentne rozmowy. Teraz mieszkała w tym domu tylko z Jenny i psami i życie toczyło się spokojnie. Przez chwilę z nadzieją myślała, że od czasu porannej katastrofy w nastrojach nastąpiła duża zmiana na lepsze. Zobaczymy, co będzie dalej...

- Nabieramy potrawy z półmisek stojących na bufecie, a siadamy tam, gdzie nam wygodnie - zapowiedziała. - Gene, czy mógłbyś zająć się winem? A ty, Lewisie, dobrze kroisz mięso, więc weź się do rostbefu.

- Ach, rostbef... - westchnął Lewis. - Przysparza cholesterolu, ale ja go uwielbiam. Nie jadłem rostbefu od sześciu miesięcy, teraz sobie odbiję.

- Dla Aarona i Brendy mamy makaron. Jenny zrobiła do niego wspaniały czerwony sos bez mięsa. No i jest mnóstwo jarzyn... - zapewniała Aneta. Patrząc na nich, z trudem powstrzymywała się od śmiechu, tak komicznie Aaron wyglądał w pożyczonym ubraniu.

- Nie musisz się kępować! Śmieję się! - zachęcał ją Aaron. - Widziałem, jak wyglądam, kiedy, schodząc ze schodów, na sekundę spojrzełem w lustro.

- Czyżbyś czytał w moich myślach? Ale prawdą jest... że...

Teraz Aaron się roześmiał.

- Nawet nie mów, bo i tak każdy to widzi... Nogawki, co najmniej o piętnaście centymetrów za długie, podkasał i spiął agrafkami, Żeby zaś spodnie nie spadły, przytrzymał je w pasie jeszcze jedną dużą agrafką, wypożyczoną z torby z rzeczami Freddiego.

- Oczywiście, gdy siedzę, niczego nie widać, i tylko tak mogę ratować swoją godność.

- A jak wam smakuje makaron?

- Doskonały, dziękujemy. Tyle trudu sobie dla nas zadałaś! - powiedziała Brenda.

- To żaden trud, lecz czysta przyjemność. "

Mark obserwował rodziców z drugiego końca stołu

i czuł, że rośnie w nim duma z posiadania takiej matki. Była kobietą pełną wdzięku. Nigdy, nawet przez chwilę się nie zastanawiał, jak się jego matka prezentuje publicznie, jak wygląda w oczach innych ludzi. Nie brał pod uwagę opinii swego teścia, bo dobrze wiedział, jakie ten człowiek ma uprzedzenia. Przyglądając się teraz matce, stwierdził, że jest spokojna i opanowana i pięknie wygląda w tej ciemnej, eleganckiej sukni z wąskim złotym naszyjnikiem na szyi. Ogarnęło go uczucie ogromnej czułości.

Taką samą czułością darzył swoją ukochaną Ellen, małą Lucy, siedzącą teraz wysoko na grubym dwutomowym słowniku oksfordzkim, i Freddiego, bezpiecznie śpiącego na górze w przenośnym łóżeczku. Nie miał wątpliwości, że te osoby były dla niego cenniejsze niż własne życie. Tego jednak wieczoru jego poczucie jedności z innymi ludźmi tak dalece się umocniło, że mógł śmiało powiedzieć, iż kocha każdego, kto znajduje się w tym pokoju. Oczywiście, jednych kochał więcej, innych mniej, a i samo słowo „kocha" można było rozmaicie rozumieć.

Aneta potrafiła odczytać z wyrazu twarzy Marka, co czuje, i bardzo ją to wzruszyło. Po raz któryś tego wieczoru nawiedziła ją myśl, że atmosfera przyjęcia nie jest już tak napięta jak przedtem i że jej goście - a siedzieli ich przy stole dwanaścioro - w dużym stopniu zmienili swoje nieprzyjemne nastawienie do innych uczestników spotkania. W tym momencie sobie uświadomiła, że sama ma mocno napięte mięśnie i powinna się zrelaksować.

Jej goście wyglądali tak cywilizowanie, że trudno było uwierzyć, iż są to ci sami ludzie, którzy się tak barbarzyńsko zachowali w holu dziś rano. Być może podczas krótkiej poobiedniej drzemki zdobyli się na jakąś poważniejszą refleksję.

Powiodła spojrzeniem po wszystkich obecnych, zaczynając od swoich synów. Czyżby to czysty przypadek sprawił, że zajęli miejsca obok siebie? Potem wzrok jej spoczął na Lucy w pięknej różowej sukience, na świetlistych przeblaskach w brązowych włosach Ellen i na zgrabnie przyciętej brodzie Aarona Sachsa. Była zadowolona z tego, co zobaczyła.

Gdy jednak oczy jej spoczęły na Cyntii, pomyślała ze smutkiem, że to już jest całkiem inna historia... Cyntia wyglądała perfekcyjnie w szarej jedwabnej sukni i odpowiednio dobranych perłach. Przypominała marmurową statwę, chłodną, daleką i obojętną. W sercu Anety współczucie dla Cyntii walczyło o lepsze z niecierpliwością. Za-uwżyła, że rodzice Cyntii najwyraźniej zbliżyli się już do Andrew. A co ona? Była tylko babcią, nie jej rzeczą jest wydawać sądy.

- Czy wiecie, że ja wpadłam do wody? - ogłosiła rewelację Lucy. - Nie wiem, jak się z niej wydostałam, ale jakoś wyszłam...

- To ciocia Daisy cię uratowała - wyjaśniła Ellen. - Podziękuj jej ładnie.

Lucy zsunęła się ze swego siedzenia, przy okazji wywróciła na podłogę słowniki, i podbiegłszy do Daisy, mocno ją uściskała.

- Opowiem o tobie wszystkim dzieciom w mojej klasie; powiem im, co dla mnie zrobiłaś... - zapowiedziała.

„Niesforna jest ta mała - pomyślała Daisy, odwzajemniając uścisk. - Nie brak jej tupetu. Pewnie nieźle się daje we znaki Ellen. Ale mimo wszystko jest bardzo słodkim dzieckiem. Może to głupie z mojej strony, ale mam w stosunku do niej dziwnie zaborcze uczucia”.

- Im dłużej rozmyślam o tym, co zrobiła Daisy, tym jej czyn wydaje mi się trudniejszy do uwierzenia - wyznał Gene. - Nie wiem, jak potrafię wam wszystkim podziękować. Nie wypłacę się, nawet gdybym dożył setki. Wybaczcie! - I speszony starł z oczu łzy.

Lewis, zakłopotany, poklepał brata po ramieniu.

- W porządku, Gene! Już nam podziękowałeś. Wiemy, co czujesz, i dobrze cię rozumiemy.

Patrząc na obu braci, Aaron sam się dziwił, jakie mu się nasunęły refleksje. „To śmieszne - myślał - ale nigdy sobie nie wyobrażałem, że mężczyźni ich pokroju nie wstydzą się swoich łez. Wydawali mi się tacy dumni, tacy ważni, kto by pomyślał... Oczywiście nigdy się do takich ludzi przedtem nie zbliżałem. Są jakby z innego świata. Mieszkamy w tym samym mieście, lecz żyjemy w innym świecie. A jednak wszyscy, jak tu siedzimy, żywimy podobne uczucia: i ta mała dziewczynka, i jej matka... Siedzimy tu, objadamy się, podobnie odczuwamy głód, mamy takie same żołądki i - jak mi dobrze wiadomo - takie same kości...”

Tylko parę razy widziałem starszego z braci i nie wyrobiłem sobie o nim żadnej opinii - ani dobrej, ani złej. Wiem, że jest dżentelmenem, i nic więcej. Chłodny... Obaj bracia są w moich oczach tacy sami, tylko że córka młodszego z nich wyszła za mego syna... i chyba to jedynie go wyróżnia. Teraz mam wrażenie, że stanowiska obu braci zbliżają się do siebie. Mam nadzieję, że się pogodzą. Chciałbym, żeby tak było i ze względu na Anetę, i na nich samych. Złe stosunki w rodzinie są czymś okropnym. Na pewno”.

- Do końca życia - zwierzał się Gene - męczyć mnie będą nocne koszmary i ukazywać mi się w nich będzie to, co mogło się dziś wydarzyć...

- Ale się nie wydarzyło - przerwał Lewis. - A jeśli chodzi o nocne koszmary, obaj mieliśmy ich chyba dosyć.

Gdy jego słowa przebrzmiały, zapanowała cisza. Aneta rozmawiała z Brendą, a jednocześnie łowiła uchem, co mówią inni. Daisy już miała powiedzieć Andrew jakieś dobre słowo, ale się powstrzymała. Wprawdzie nadal była na niego wściekła, ale dziś okazał jej tyle dobroci, że nawet wspomniała o tym Cyntii.

- Na pewno koszmarów przeżyliśmy aż nadto... - powtórzył Lewis. „Mógłbym się teraz przyznać - pomyślał - że w sprawie hotelu uległem złym wpływom i to niewątpliwie było głupie z mojej strony. Gdyby nie chodziło o rodzinę Sprague'ów i wielki prestiż tych ludzi - wszak ich dziadek był sędzią - przypuszczalnie bym do nich poszedł, zażądał całej prawdy i nie wahałbym się rozpętać piekła". - Dziś inaczej patrzę na tamte sprawy - powiedział na głos.

- Tak, tak... - potakiwał Gene. - Rozumiem, co masz na myśli. Zmieniły się okoliczności i dziś inaczej oceniasz tamte zdarzenia. Może to i frazes, ale frazesy zawierają dużo prawdy.

Przez chwilę się zastanawiał, czy to możliwe, że Jerry Victor był rozrabiaką, który widział w tym wszystkim jakiś własny cel. Nie sądzę, by tak było, ale nawet gdyby... i tak nie umniejsza to w niczym winy Sprague'a. Jest jednak prawdopodobne, że Lewis nie chciał wystąpić z oskarżeniem Sprague'a, ponieważ podejrzewał Victora o złe intencje. To w jakimś sensie usprawiedliwiłoby jego postępowanie... Kto wie, może gdyby Sprague był moim przyjacielem, ja też bym się wahał. Zbyt pochopnie potępiłem brata i nawet nie próbowałem go zrozumieć ani mu przebaczyć".

Aneta obserwowała swoich synów. „Pewnie nieraz musiało być Gene'owi przykro, że jest zawsze na drugim miejscu - myślała. - Jako młodszy brat musiał czekać na otrzymanie przywilejów związanych z wiekiem. Musiał nawet czekać na to, by go przyjęto do firmy. Taki jest porządek rzeczy i inaczej być nie mogło, ale trudno się dziwić, że ta sytuacja budziła w młodszym bracie zawiść. A gdy ten starszy ją do-

strzegł"... I nagle wypsnęły jej się słowa, których wcale nie miała zamiaru wypowiedzieć:

- Obu was cechuje niepomahowana duma. Dlatego nie potrafiliscie się rozmówić i dojść do porozumienia. Wasz ojciec też miał w sobie taką wyniosłość, więc pewnie po nim to macie...

- Wiesz, mamó, że po raz pierwszy usłyszałem z twych ust słowo krytyki o naszym ojcu! - zawołał Lewis.

- A coście myśleli? Że był doskonały? Proszę bardzo, pokażcie mi kogoś, kto jest doskonały! To była niepomahowana duma... - powtórzyła niemal ze złością.

- Pycha człowieka poniża go, natomiast pokorny duchem zdobędzie uznanie... - zacytował Pismo Święte Aaron.

- Aaronie! - jęknęła Brenda. - Co się z tobą dzieje?

- Nic złego z nim się nie dzieje - powiedziała Daisy. - Cytuje Biblię. Mój ojciec często to robił.

- Ale to nie czas i miejsce po temu! - Jednak po chwili, jakby na przekór samej sobie, Brenda się roześmiała. - Powiem wam, co się stało: mój mąż wypił za dużo wina!

- Wino czyni z nas prześmiewców, mocny zaś trunek prowadzi do zwady - odparował Aaron z porozumiewawczym mrugnięciem.

Zawtórował mu śmiech tak głośny, że Jenny zajrzała przez kuchenne drzwi, uśmiechnęła się i ze zdziwieniem pokiwała głową.

- Chcę zatańczyć! - głośno oznajmiła Lucy. - My zawsze w domu tańczymy.

- Rzeczywiście, Mark i ja lubimy sobie czasem potańczyć - wyjaśniła Ellen. - Rolujemy dywany i nastawiamy płyty kompaktowe. Lucy ma swój własny odtwarzacz. Mówi, że chce zostać baleriną.

- Jaka jest jej ulubiona melodia? - spytała Aneta.

- *Gaieté parisienne*. Może to masz?

- Mam, ale tego dywanu nie można zrolować.

- Nie szkodzi. Zatańczę w holu - postanowiła Lucy.

Za dużo uwagi poświęca się temu dziecku. Ellen wiedziała, że nie jest to właściwe, ale wiedziała też, że dziś na niejedno jej pozwoli. Dlaczegoż by nie? Dziś może mieć wszystko, czego chce.

Puszczono płytę. Wszyscy wstali i patrzyli, jak Lucy tańczy. Przejęta poczuciem własnej ważności, a jeszcze bardziej rytmem, Lucy wirowała i robiła piruety, unosząc ramiona nad głową.

- Kto ze mną zatańczy? - spytała.

- Ja! - od razu zgłosił się Aaron.

Upstrzony agrafkami, jedną ręką przytrzymał spodnie, a drugą obejmował Lucy i krążył z nią, wirując tam i z powrotem dookoła holu.

- Jaki z tego Aarona fajny chłop! - pośród ogólnego śmiechu szepnęła Anecie do ucha Daisy. - Wycofuję się z tego, co przedtem o nim i o Brendzie myślałam. Jeszcze dziś rano w bibliotece oboje wydawali mi się okropni i całkiem nie na miejscu. Miałam wrażenie, że niechętnie wśród nas przebywają.

- Nigdy nie wiadomo, co w ludziach siedzi, zanim się ich dobrze nie pozna - odparła Aneta. Miała na myśli Daisy. Jaki kaprys czy może brak pewności siebie kazał Daisy przybrać pozę osoby zarozumiałej i wyniosłej? A tymczasem była nie tylko dobra, ale i nieprawdopodobnie odważna... Aneta, wzruszona, wzięła Daisy za rękę i serdecznie ją uściśnęła.

- Marku i Ellen, chodźcie no tu! Przyłączcie się do nas! - wołał Aaron.

„Jak mogłem nie dostrzec - zastanawiał się Gene - że teść mojej Ellen jest taki dla niej miły? A sposób, w jaki ratował i przywrócił do życia małą Lucy? Co prawda Aaron jest lekarzem i tego się po lekarzach należy spodziewać, ale mimo wszystko nie zapomnę tego widoku, kiedy wdmuchiwał jej powietrze do płuc... A Brenda? Jak energicznie zabrała się do pracy, słała łóżka, przyniosła nam kawę, dała koce”.

- Chodź do nas, dziadku Gene! - poprosiła Lucy. - Zatańcz z nami!

I dziadek Gene przyłączył się do piruetów i galopady; wreszcie Aaron zastopował tańce.

- Już brak mi tchu - wysapał. - A poza tym nieustannie depczę po swoich spodniach, choć właściwie powinienem powiedzieć, że depczę po spodniach Gene'a.

- Teraz już wiem, po kim mój mąż odziedziczył poczucie humoru - zauważyła Ellen, gdy wszyscy wrócili na swoje miejsca.

Mark ruchem głowy zaprzeczył.

- Moje poczucie humoru ani nawet w połowie nie dorównuje dowcipowi ojca. Najkomiczniejsze u taty jest to, że mówiąc bardzo śmieszne rzeczy, zachowuje całkowitą powagę. Ale kiedy jest naprawdę poważny albo zły na coś, wtedy lepiej się do niego nie zbliżać, prawda, mamo?

- Ach, ci moi mężczyźni! - westchnęła Brenda.

- Ci mężczyźni... - jak echo powtórzyła Ellen.

- Gdy mężczyźni są źli, zachowują się jak dzieci -zauważyła Daisy.

„W moim domu panuje teraz taka sama atmosfera jak dawniej - pomyślała Aneta - pełna harmonia i wiele wesołości. Ciekawa jestem, co by było, gdybyśmy się nie znaleźli w obliczu tragedii? Czy to nie wstyd, że trzeba było aż takiej groźby, by przywrócić temu domowi spokój? Nie! - powiedziała do siebie, doszła bowiem do wniosku, że jest tak uparta, iż w końcu i bez tego doprowadziłaby rodzinę do zgody.

- Wiem, że by mi się to udało!"

Na deser podano puszyste białe bezy z truskawkami. Kiedy je rozoszono, Mark wstał i podniósł do góry kieliszek wina:

- Chciałbym wznieść toast na twoją cześć, babciu! Spójrzmy prawdzie w oczy. Twój mały spisek bardzo nas dziś rano zaniepokoił, ale - dokończył z uśmiechem - teraz musimy cię przeprosić, podziękować i życzyć ci sto dwadzieścia lat!

- Dziękuję! Sto zupełnie mi wystarczy. Mówiąc poważnie, muszę wam się przyznać, że po prostu zaryzykowałam. Zeszłej nocy byłam tak przerażona, że poprosiłam moją przyjaciółkę, Marię, aby mi przyszła na odsiecz. A teraz? Spójrzcie! Patrzą na was wszystkich... i lepiej już przestanę mówić, bo się rozpłaczę...

„Babcia rzeczywiście na nas patrzy, ale raczej nie w moją stronę i także nie na Andrew” - myślała Cyntia.

- Zniszczyłeś wszystko, co kiedyś do ciebie czułam -mruknęła cicho, patrząc w jego stronę. Szybko jednak odwróciła wzrok. Andrew wpa-trywał się w swój talerz. „Ten facet nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co uczynił -pomyślała. - A moi rodzice, którzy mnie przecież kochają, też nic nie rozumieją. Widziałam, jak z nim rozmawiali. Skąd ta nagła zmiana poglądów? Jak mogli tak postąpić? Pewnie mają nadzieję, że do niego wrócę. Zauważyłam, że mama się o niego opierała, gdy ją prowadził do domu. Przyniósł jej gorące ręczniki, koc i kawę. Bardzo ładnie... niezwykle uprzejmie, ale co to ma wspólnego ze mną? Patrzą na Marka i Ellen i cieszą się ich szczęściem... oni oboje zasługują na siebie. A ojciec i stryj Gene? Tak mi miło, że się pogodzili. Był już najwyższy czas... albo i po czasie... Jednak to też nie ma nic wspólnego z tym, co ja przeżyłam”.

- Zapraszam na kawę do biblioteki - zaproponowała Aneta, kiedy wstawali od stołu. - Siądziemy przy kominku i słabiutkim ogniu, który się tam jeszcze uchował.

Ogień w kominku w bibliotece już dogasał i rzucał różowy poblask na ścianę wypełnioną książkami, stanowiącą ciekawą mozaikę delikatnych kolorów. Na stole stał serwis do kawy, a pośrodku ustawiono stos makaroników w czekoladzie.

- O mój Boże! - zawołała Aneta. - A te skąd się tu wzięły?
- Z twojej ulubionej piekarni na East Side - odparł Gene.
- Ach, więc wy też się tam udaliście? - zdziwiła się Brenda.
- Nasze również stamtąd pochodzą - dodała Daisy.
- No proszę, a każdy z nas chciał być oryginalny -chichocząc, zauważyła Ellen.

Teraz już nie było końca śmiechom z powodu makaroników. Aneta wyczuwała serdeczność towarzyszącą tym wszystkim wygłupom i radowała się pogodnym nastrojem, jaki zapanował w bibliotece. Obserwowała swoich gości i słuchała, co mówią.

Brenda przyglądała się portretom. Ellen pokazywała Lucy album ze starymi fotografiami. Daisy wertowała książki stojące na półkach, a panowie, z wyjątkiem Andrew, stali w rogu i zabawiali się rozmową.

- Oszczędzam pieniądze - wyznał Mark. - Chciałbym wejść do spółki i przejąć jakąś galerię sztuki w górnym mieście. Nie wiem, czy mi się uda zebrać potrzebną kwotę, ale jeśli się tak stanie, spełni się moje największe marzenie. I wciąż jeszcze będę miał czas, żeby popracować nad książką. Znalazłem już wydawcę, który zainteresował się jej opublikowaniem.

Gene zauważył, że to, co jego zięć mówi, brzmi bardzo interesująco.

- Bez względu jednak na to, czy się moje marzenie spełni, czy nie, radzimy sobie z Ellen bardzo dobrze - zakończył Mark.

- Nie mógłbyś uzyskać pożyczki? - spytał Aaron.

- Bardzo trudno otrzymać pożyczkę, jeśli się nie ma poręczycieli.

Obaj ojcowie spojrzeli po sobie i po chwili Gene powiedział:

- Ta sprawa wymaga dokładniejszego przedyskutowania. Jeszcze do niej wrócimy.

- Całkiem na pewno - dodał Aaron. - Byłoby wielką stratą, gdyby ktoś szczerze oddany jakiejś sprawie musiał bez końca czekać na jej realizację.

Lewis, który się rozmowie przysłuchiwał, w zupełności się z tą opinią zgodził. Sam się ostatnio przekonał, jak bardzo brakuje mu czegoś, czemu mógłby się całkowicie i bez reszty oddać. Chciałby wrócić do prowadzenia firmy, takiej jak dawniej, ale na znacznie mniejszą skalę... Musiałby jednak wejść z kimś do spółki, bo sam nie dałby rady - przyznał.

- Nie mówię: nie, ale muszę to jeszcze przemyśleć - powiedział Gene ze znaczącym uśmiechem.

- Czas pójść do łóżka - oznajmiła Ellen. - Lucy pada ze zmęczenia.

- I my wszyscy także - dodał Aaron. - Mówiąc ogólnie, dzień był bardzo wyczerpujący.

Aneta pogasiła światła i ostatnia poszła na górę. Kiedy zamykała za sobą drzwi sypialni, usłyszała, jak Lewis szepnął do Gene'a:

- Spójrz na mamę! Zobacz, jakie szczęście maluje się na jej twarzy.

Tak... Była szczęśliwa... Martwiła ją tylko Cyntia. Przez cały wieczór starała się napotkać jej wzrok, by jej przekazać swoje przesłanie i prośbę, ale na próżno. Najwyraźniej Cyntia nie chciała wysłuchać ani jej przesłania, ani prośby.

„Co się ze mną dzieje? - zastanawiała się Aneta, układając się do snu. - Dążę do perfekcji... I w tym cały mój problem. Jakbym dziś wieczór nie miała jeszcze dość sukcesów, chcę czegoś więcej, chcę wszystkiego, co jest możliwe do osiągnięcia, i robię się taka niecierpliwa!"

Cyntia potoczyła wzrokiem po holu, spojrzała w górę, w dół i po całym skrzydle domu, które widziała ze swego okna, i stwierdziła, że wszystkie drzwi do sypialni zostały zamknięte. Pierwszy raz od czasu rozłąki, która wydawała jej się wiekiem, ona i Andrew będą znów spali pod jednym dachem. Przypomniała sobie, że pierwszy raz spędzili wspólną noc pod tym dachem wtedy, gdy powrócili z podróży poślubnej i babcia urządziła dla nich przyjęcie.

Teraz lepiej byłoby o tym wszystkim zapomnieć. W życiu każdej istoty ludzkiej są jednak takie godziny, które się w żaden sposób nie dadzą wymazać z pamięci. Może to być czas niewypowiedzianej zgrozy, jak ta, którą przeżyli dziś rano; ale może to być również niezwykle błogi czas, jak ten utrwalony na pięknie oprawionej fotografii, którą babcia z jej tylko wiadomych powodów postawiła na komodzie właśnie w tym pokoju. Andrew wyglądał na zdjęciu dość nienaturalnie, ubrany w tradycyjny czarny żakiet i sztuczkowe spodnie, ona spowita chmurą białego jedwabiu, a z obu ich stron druzbowie i druhny cali w uśmiechach. Państwo młodzi wydawali się tacy szczęśliwi, że to szczęście aż kipiało i przelewało się, wyciskając im łzy z oczu. Teraz stała tu samotna i korzystając ze światła lampy na nocnym stoliku, wpatrywała się w fotografię.

„Jakież to wszystko było naiwne: lato, kwiaty, butelka szampana zabrana do pokoju, pocałunki i wiara w wieczne szczęście. Chwała Bogu za to, że nie wiemy, co nas czeka nazajutrz, nie mówiąc już o odleglejszej przyszłości. Towarzyszyły nam uśmiechy i powszechna aprobata - wspominała Cyntia. - Mieliśmy wszystko, nie tak jak Ellen i Mark, którzy musieli cichaczem wymknąć się z domu i uciec przed grożącą im burzą”.

Podeszła do okna. Deszcz ustał i staw był teraz wyraźnie widoczny, lśnił zza mgieł jak moneta znaleziona w ulicznym kurzu. I nagle cała ta poranna straszna scena rozegrała się przed nią na nowo: jej matka zdzierająca z siebie ubranie, przerażona Ellen, Andrew stojący na brzegu i ciągnący linę, porzucone na trawie, płaczące niemowlę... to wszystko ożyło z całą wyrazistością.

„Kiedyśmy zasiedli przy kominku i potem, w czasie kolacji, powinienam była tak jak inni czuć tylko ulgę i wdzięczność - myślała Cyntia. - I w głębi serca to właśnie czułam. Ale w moim sercu było jeszcze coś, co różniło mnie od pozostałych i sprawiało, że zachowywałam się jak ktoś obcy, obserwujący cudzy dramat. Gdy słyszysz tragiczną historię, lzy same napływają ci do oczu, wzruszasz się -to zrozumiałe, masz przecież w sobie ludzkie uczucia, jesteś przyzwoitym człowiekiem, który potrafi się zdobyć na szczere współczucie... a jednak trzymasz się z daleka, osobno”.

Rozsunęła zasłony i zobaczyła, że chmury się rozproszyły i ustąpiły. Być może jutro będzie nawet słonecznie... Wyjadą stąd jak najwcześniej. Chciałaby też, by rodzice możliwie szybko wrócili do siebie do Waszyngtonu. Nie była na nich zła, lecz czuła się dotknięta. I temu nie dało się zaprzeczyć. Nadal uważała, że niepotrzebnie zachowywali się tak serdecznie w stosunku do Andrew. „Dobrze, że jutro wracam do pracy - pomyślała. - Tego potrzebuję najbardziej: pracy”.

Było jeszcze wcześniej, za wcześniej, by spać, ale że przywiozła ze sobą dwie książki, postanowiła wygodnie poczytać w łóżku. Dom babci, choć nie był jej rodzinnym domem, uważała za swoją drugą przystań. Babcia miała szczególny talent do otaczania ludzi wygodami. W

tym pokoju prócz szerokiego łoża, które liczyło pewnie ze sto lat, była lampa idealnie nadająca się do czytania, puchowa kołdra lekka jak piórko, a w doniczce na parapecie okna stała maleńka, kwitnąca roślina.

Cyntia, mimo że bardzo zmęczona, wzięła szybki prysznic, przygotowała ubrania, które miała zamiar rano włożyć, i na szyfonową nocną koszulę nałożyła ciepłą lizeskę. Jej garderoba - pomyślała, rozbierając się - pochodziła z czasów, gdy prowadziła inne życie, miała męża i zawodowe ambicje. Teraz to wszystko stało się nieaktualne.

Nie czytała zbyt długo, gdy ktoś - nie wątpiła, że to babcia, która lubiła wpadać na krótkie wieczorne rozmówki - zapukał do drzwi. Możliwe, że babcia chce się upewnić, czy Cyntia jej wybaczyła ów mały podstęp, jaki wobec niej zastosowała. Biedna babcia święcie wierzyła, że można naprawić każdą wyrządzoną komuś krzywdę. Uśmiechając się na wspomnienie Anety, Cyntia wstała i otworzyła drzwi.

- Czy mogę wejść? - szeptem zapytał Andrew.

- Cóż ty sobie wyobrażasz? - odparła równie cichym, lecz wściekłym głosem. - Nie, nie możesz wejść!

- Proszę cię, Cyntio, pozwól mi wejść, bo ja już się nie cofnę...

Otworzyła szerzej drzwi i zobaczyła, że rzeczywiście Andrew tak się ustawił, iż nie byłaby w stanie ich zamknąć. Po chwili sam je stanowiącym ruchem zaniknął i stanąwszy po drugiej stronie, oparł się o nie.

- Co ty wyrabiasz? Zachowujesz się beczelnie, bo wiesz, że nie mogę głośno krzyknąć.

- Możesz krzyczeć, ile chcesz. Masz prawo, bo przecież siłą się tu wdarłem. Taka reakcja wydawałaby się jednak dziwna, gdyż formalnie wciąż jestem twoim mężem i mam prawo być w twoim pokoju.

- Nie zgrywaj się na macho, bo to śmieszne... Lepiej powiedz, co masz do powiedzenia, i wyjdź.

Przyglądał jej się z ciekawością.

- Pamiętam tę koszulę - powiedział. - Jest w kolorze, który bardzo lubię, błękitna jak niebo.

Miała ochotę uderzyć go w twarz i zetrzeć z niej ten dziwny, trudny do rozszyfrowania wyraz, będący połączeniem żalu i błagania.

- Postępujesz obrzydliwie, ale proszę bardzo, rób tak dalej. Wykorzystaj swoją męską przewagę, to, że jesteś o dwadzieścia centymetrów wyższy i ważysz o trzydzieści kilo więcej niż ja. Nie dziwię się twemu zachowaniu. Jest typowe...

- Ach, Cindy, czy nie dość już sprzeczek? Trzeba z tym skończyć. Najwyższy czas!

- Czy przyszedłeś po to, żeby mi to zakomunikować?

Niepotrzebnie tracisz swoją energię i mój czas. Czytam bardzo ciekawą książkę.

- Błagam cię, Cindy! Wysłuchaj mnie! Byłem dziś rano tak samo zaszokowany jak ty, gdyśmy się tutaj niespodzianie spotkali. Ostatnio nie próbowałem nawiązywać z tobą kontaktu, bo kiedyś pod twoimi drzwiami zatrzymał mnie policjant i zwrócił mi uwagę, że niepotrzebnie pętam się koło twego domu. Mimo wszystko do końca nie zrezygnowałem, a kiedy mnie twoja babcia zaprosiła, pomyślałem, że może ma dla mnie jakieś dobre wiadomości...

- Dla nas już za późno na dobre wiadomości.

- Dlaczego? Sądziłem, że po tym, co dziś rano widzieliśmy, nuczysz się, iż nigdy nie jest za późno!

- Dla ciebie i dla mnie jest... - powtórzyła.

- Ja tak nie uważam. Kiedy dziś zobaczyłem, jak tulisz w ramionach Freddiego, przypomniałem sobie...

- Aż za dobrze wiem, co sobie przypomniałeś. Ale ja pamiętam nie tylko to, lecz znacznie więcej... - Chciała mu zadać ból i w dziwny, niemal perwersyjny sposób sama też chciała ten ból odczuć. Zdawała sobie sprawę, co przeżywa, ale nie była w stanie wyjaśnić przyczyny tego zjawiska.

Andrew usiadł i przez kilka minut siedział pochylony, trzymając głowę w dłoniach. Nic nie mówił. Cyntia zauważyła, że jest chudszy niż dawniej, blady i wygląda jak człowiek przegrany. Jednak nie chciała zrezygnować z zadawania mu cierpień.

- Wszystkie straszne wspomnienia teraz do mnie wróciły i to się stało przez ciebie - powiedziała, przerywając ciszę. - To, co mi robisz, nie jest przyzwoite. Czy nie dość mnie już skrzywdziłeś?

- Myślisz, że ta głupia baba coś dla mnie znaczyła? Na miłość boską, nawet nie pamiętam jej imienia, jeśli je w ogóle kiedykolwiek znałem. Gdybym się na nią teraz natknął, nawet bym jej nie poznał.

- Już mi to przedtem parę razy mówiłeś... Czy wreszcie wyjdiesz z pokoju, czy też postanowiłeś przesiedzieć tu całą noc? Mnie jest zimno, chciałabym wrócić do łóżka.

RS

- Nie wyjdę stąd, Cindy! Jeśli będę musiał, przesiedzę tu całą noc. Ale ty wróć do łóżka, skoro ci zimno...

- Mam wrócić do łóżka i zostać z tobą całą noc w tym samym pokoju? Chyba oszalałeś?

- Idź do łóżka! Nie tknę cię. Nie napadam na kobiety. To nie są moje metody.

- Czyżby? To ciekawe...

Gdy się z powrotem znalazła w łóżku, podciągnęła kołdrę i wysoko podniósłszy kolana, oparła o nie książkę.

- Jak mogłeś wtedy tak postąpić?! - wybuchnęła nagle.

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, Cindy. Przypuszczam, że w tym idiotycznym momencie po prostu chciałem poczuć, że żyję. Przez całe miesiące tylko wegetowałem, byłem jak martwy.

- Ty byłeś? A co ze mną?

- Też byłeś jak martwa. Ale wiem, że gdybyś ty uczyniła mi to, co ja tobie, już bym ci przebaczył.

„Byłeś jak martwy - pomyślała. - Nie kochaliśmy się przez ponad pół roku. Kiedy ma się złamane serce, wszystko inne też nie funkcjonuje jak należy”.

- Nie szukam dla siebie usprawiedliwienia. Przyznaję po raz nie wiem który, że wyrządziłem ci straszną krzywdę, i bardzo mi z tego powodu przykro. Żałuję, szczerze żałuję... Nie byłem wtedy sobą, ale jakby trochę szalony...

- Martwy i szalony? To raczej niezwykle połączenie, nie uważasz?

Wstał i stanął przy jej łóżku. „Jest błydy i wychudzony -pomyślała znowu - tak jak ja. Obojgu nam się dostało”.

- Widziałas, co się dziś zdarzyło, a mogło być jeszcze gorzej - powiedział. - Świat jest niebezpiecznym miejscem. Ale czy dlatego mamy przestać żyć?

- Bardzo szlachetna filozofia - mruknęła z goryczą w głosie.

- Cóż innego mogę zrobić niż tylko cię prosić, żebyśmy spróbowali zacząć raz jeszcze wszystko od nowa?

- Nie mogę - odparła, drżąc na całym ciele. - Nie mogę wrócić do tego, co było przedtem. A teraz pozwól mi spać. Może już wyjdiesz?

Potrząsała przecząco głową.

- Więc co będziesz robił? Przesiedzisz tu całą noc?

- Nie! Będę spał na podłodze.

- Niech cię diabli... Ale ja gaszę światło!

Przez dłuższy czas leżała, nie śpiąc. Czuła wzmagający się ból w piersi i przytłaczający ciężar wspomnień. Wróciły jej na pamięć bliźniaki, straszliwe cierpienie po ich stracie i jego zdrada.

Zegar stojący na podeście schodów wybił godzinę pierwszą. Możliwe, że się na krótką chwilę zdrzemnęła, nawet o tym nie wiedząc. Nie raz trudno jest rozróżnić sen od czuwania. Z pokoju nie dochodził żaden dźwięk, nawet najmniejszy szelest. Przypuszczała, że gdy się zdrzemnęła, Andrew wymknął się cichaczem z pokoju. Sięgnęła ręką do lampy i zapaliła światło.

Andrew spał na podłodze tuż przy jej łóżku. Zdjął marynarkę i - jak zawsze pedantyczny - zawiesił ją na poręczy krzesła. W zamięrowaniu do porządku był podobny do niej. W pokoju było zbyt chłodno, by leżeć na podłodze w samej tylko koszuli. Ze stojącego w rogu klubowego fotela zdjęła wełniany szal, najprawdopodobniej jeden z tych, co go babci matka własnoręcznie wydziergała, i przykryła męża. Leżał na plecach, idealnie prosto, tak jak się leży w trumnie. Nie nosił ślubnej obrączki, a przecież kiedyś sam nalegał, żeby dwukrotnie wymienili pierścionki. Miał duży zarost, przydałoby mu się powtórne golenie. Pamiętała, że zawsze pod koniec dnia musiał się jeszcze raz golić.

Cyntia ze zdziwieniem stwierdziła, że jest jedyną osobą na świecie, która wie o nim wszystko, a już z pewnością tyle, ile jeden człowiek może o drugim wiedzieć. Wiedziała, że w jego oczach zawsze pojawiają się łzy, ilekroć przeczyta w książce lub zobaczy na filmie historię o psie, który się zgubił i szukał swego pana. Wiedziała, że stale nosi ze sobą w teczce szczoteczka do zębów, a czasem, gdy jest sam w domu, lubi jeść palcami.

Poczuła nagły przyptyw litości i - co było już zupełnie nielogiczne - wzruszenie ścisnęło jej gardło.

„Rano mąż wstał, widziałam, jak przechodzi przez pokój i nagle upadł” - tak Maria wspominała swoją małżeńską tragedię.

„Mieiliście w sobie niepohamowaną dumę” - zarzuciła swoim synom Aneta.

A Aaron, cytując Pismo, powiedział: „Człowiecza pycha poniża go”...

Trzęsła się z zimna, ale nadal stała nad śpiącym mężem.

„Niech cię diabli! - myślała ze złością. - Niech cię diabli!” - powtórzyła niemal bezgłośnie i łzy spływały jej po policzkach.

Andrew widać przez sen poczuł, że ktoś nad nim stoi. Otworzył oczy, chwilę mrugał powiekami, gdyż raziło go światło lampy, a potem z przestraszoną miną usiadł.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Nic się nie stało. Przykryłam cię, to wszystko. Patrzył na jej łzy, a ona nie mogła oderwać wzroku od jego dłoni. Były poranione i całe w pęcherzach.

- Twoje ręce! - zawołała.

- Pęcherze zrobiły mi się od ciągnięcia liny. To nic takiego.

- I cały dzień tak chodzisz? Dlaczego nie poprosiłeś o jakąś maść?

- Nie wiem. Sądziłem, że to nieważne, gdy tak wiele się działo...

- Niestety nie mam tu żadnej kojącej maści, ale krem do twarzy też ci trochę pomoże.

Wstał, usiadł na łóżku i wyciągnął ku niej obie ręce. Nadal miała oczy pełne łez; koniuszkami palców delikatnie wmasowywała krem w jego dłonie.

Kiedy skończyła, spojrzał jej głęboko w oczy i długo nie spuszczał z nich wzroku, a potem wziął ją w ramiona.

- A niech cię diabli! - powiedziała i nagle parsknęła śmiechem.

- Zaczniemy wszystko od nowa, Cindy. Życie przed nami, możemy jeszcze wszystko mieć... Wierz mi, kochanie! Wszystko, rozumiesz?

- Tak!
- A teraz zgaś światło, kochanie. Czekaliśmy tak długo!

* * *

„W grudniu niebo bywa nieraz tak intensywnie niebieskie jak w maju” - myślała Aneta. Takie było tego ranka, gdy jej dom znów opustoszał. Po śniadaniu wszyscy zaczęli gromadzić w holu płaszcze i walizki.

- Wiesz, mamó, zastanawiałem się nad twoją przyjaciółką, Marią - szepnęła Anecie Gene. - Możesz pomyśleć, że to głupie, co powiem, ale ona mi trochę przypomina Susan.

- Wcale mi się to nie wydaje głupie. Jest może odrobinę szorstka, ale ileż w niej słodyczy... Tak, widzę w nich podobieństwo.

- Może mógłbym do niej od czasu do czasu zadzwonić i zaprosić ją do teatru lub gdzie indziej?

- Oczywiście! Dlaczego by nie? - odpowiedziała, mile poruszona i trochę rozbawiona nieśmiałością syna.

Zaczęło się pakowanie rzeczy do samochodów. Lewis i Daisy wracali do domu we dwoje, bo Cyntia postanowiła pojechać z Andrew. Wystarczyło tylko raz spojrzeć na tych dwoje, by wiedzieć, że razem spędzili noc. Ale Cyntia chciała, by babcia miała pewność, że się pogodzili. Objęła ją więc i szepnęła do ucha: Dziękuję ci, babciu!

- Wszystko w porządku? - spytała Aneta, mrugnawszy do niej porozumiewawczo.

- Tak, babciu! Jak najbardziej...

Powoli wszyscy się porozjeżdżali. Aneta stała i patrzyła, jak zjeżdżają podjazdem w dół, a potem na szosę, i odprowadzała ich wzrokiem, póki nie zniknęły jej z oczu. Gdy po chwili odwróciła się i spojrzała na swój dom, przypomniała sobie znamieny fragment wiersza Frosta:

Dom jest tam, gdzie szukając schronienia, zawsze je znajdziesz.

„Właściwie - pomyślała - nikt z mojej rodziny nie szukał tu schronienia. To ja chciałam ich u siebie gościć. Czy trzeba aż tragedii - zastanawiała się - aby ludzie docenili wagę rodzinnego domu i miłości? Mam nadzieję, że nie, ale czasem tak właśnie bywa”...

Wróciwszy do biblioteki, zatrzymała się przed portretem zmarłego męża.

- Wiesz, Lewisie - głośno mu się zwierzyła - mieliśmy trochę kłopotów od czasu, kiedy nas opuściłeś. Ale sobie z nimi poradziliśmy i już nam nie grożą. Myślę, że cię ucieszy ta wiadomość... Oczywiście nie jestem tak naiwna, by uwierzyć, że na przykład Gene i Aaron staną się bliskimi, oddanymi sobie przyjaciółmi. Nie! Ci dwaj chodzą różnymi drogami i ich ścieżki raczej się nie zejdą. Lecz już się teraz tolerują i jeśli się w przyszłości znów spotkają, obaj zachowają się jak należy. A co najważniejsze - ich dzieci nie będą już musiały cierpieć z powodu nienawiści zatruwającej atmosferę. Nasi synowie, chwała Bogu, też się pogodzili i znów są razem. Proszę cię, Lewisie! Podziękuj Panu Bogu za uratowanie Ellen i Lucy, a także za Andrew i Cyntię. Za wszystko Mu od nas podziękuj!

Na dworze lód zaczął tajać i lśniąca krople wody ska-pywały z drzew. W miarę jak zbliżało się południe, słońce świeciło coraz mocniej. Zapowiadał się piękny dzień.

- Chodź, Roscoe! - Aneta przywołała starego ulubieńca. - Idziemy na spacer. Poczekajcie, psiaki, tylko włożę płaszcz, i ruszamy w drogę!